



znak

Tomasz Różycki

Bestiarium

Wydawnictwo Znak

*Wy, którym ciężko zwalczyć melancholię,
pomyślcie, że są ponoć kraje, gdzie drzewa
co roku tracą wszystkie liście.*

Apoloniusz z Tiany

*Niestetyż, i posag, i ona
W jednej skrzynce zamknięta.*

Jan Kochanowski, *Tren VII*

Tej nocy zbudziłem się z poczuciem, że moje życie zrobiło pół obrotu, a świat zatrzymał się nagle ze zgrzytem i łomotem. Zegar zasuwiał jeszcze chwilę, riki tiki tak, siłą bezwładności, a potem nastąpiła cisza i tylko cień pomykał jak złodziej po spalonej ścianie. Noc stała fioletowa i ciężka.

Cisza niezręczna, jedynie głosy trawienne z układu, jedynie pohukiwania jelit, gulgotanie kiszek, bolesne skrzywienie włosów kiwających się wte i wewte jak fala kukurydzy na spieczonym polu, język wyschły, szorujący gardło, pumeks i kolczaste żwirry, popękany asfalt.

Zbudziłem się zdrętwiały w samym środku miasta, w miejscu niewygodnym i ciasnym – i wstałem, nie całkiem sam sobą władny, jakbym odrywał się od czegoś. I zrozumiałem, że przebywam nadal we śnie, jakby noc cała leżała na mnie, bulgocząc i mrużąc.

Nie wiedziałem dobrze, gdzie jestem. Krzesła, ściany, sufit były znane i nieznane, jak to bywa we śnie. Łóżko moje i nie moje razem, moje i nie moje drzwi. Rozmazane, niepewne, utraciły ostrość.

Obudziłem się, jakby zawołany, zdrętwiały i brakowało mi zaraz ręki, nogi lub innej, nieznanego kończyny. Zrzuciłem ciężar nocy z siebie, a mrok z westchnieniem głuchym stoczył się na podłogę. Wstałem z popiołów pościeli, wyplątując się ze sznurów, kokonów i nici. Powodowany różnicą ciśnień pomiędzy snem a jawą, chlupotaniem w głowie, straszliwym pragnieniem, udałem się do kuchni, żeby szukać wody.

Mniej jednak na nogach, bo tych nie czułem, bardziej zaś inaczej, nie do końca wiedząc jak, z kilkoma upadkami na tej krótkiej trasie. Moje ciało domagało się gwałtownie wody, aby odżyć. Widocznie sen ten był wzniosły, ale niespokojny.

Kiedy wstałem, zaraz zacząłem napotykać sprzęty niejasne i niespodziewane, stół, podłogę, próg, szafki i komodę, jakby ich ktoś bez ładu naustawiał ogromne mnóstwo, złośliwie.

Dotarłem do kuchni i dotknąłem zlewu, a on mi odpowiedział głuchym stęknieniem udręczonej duszy. Więc odkręciłem kran, ale ten tylko zacharczał, zagulgotał i zapiał jak kogut, zagdakał i zasyczał, warknął i zaszczekał, wygiął się i szarpnął, i wreszcie, targnięty konwulsją, wypuścił jedną tylko kroplę, która upadła w ciemną czeluść zlewu z hukiem strasznym, pomiędzy stos naczyń, brudne statki, tłuste sztuce, pomiędzy garnki, filiżanki, kubki, między kieliszki, łyżki i półmiski, tam, w samą otchłań, na samo dno straty. I zniknęła, połknięta przez nicość, zanim zdążyłem wykonać choć pół ruchu, zamurowany, jak zaczarowany.

A kiedy spadła, na ten dźwięk pusty wzdrygnęła się ciemność i całe mieszkanie lekko podskoczyło, i mrok się wzdrygnął i na moment błysnął bielizną, na moment pokazał goliznę, na jeden błysk krótki jak mgnienie. I nim zdążyłem

zrozumieć, co zobaczyłem, zamknęła się noc na nowo.

Zupełnie jakby taniec trwał, ale nieruchomo, w innych pokojach, za ciemną zasłoną, i błyskał stamtąd wirujący glob, i rytm dochodził cyku myku tak, co nie opuszczał mnie, odkąd uniosłem ciężką powiekę. Świątowałem jeszcze przez chwilę sam, nieznacznie, po cichu, niepostrzeżenie, wewnętrznie tańcząc, jakieś święto trwa we mnie jeszcze, bulgocze, przetrawione, święto, które weszło w fazę swego odbicia.

I nie wiem nawet, co się tu odbyło. A księżyc świeci, świeci blado, ale uparcie i zabija światłem, przebija promieniem. Wszystko tu było jak w domu umarłych, ukatrupione tym księżycą światłem, posrebrzone, zdenaturyzowane, zimne.

Na podłodze ciała jakieś skłębione, stękające z lekka, nogi i ręce, palpacje, drgania, chrapanie. Coś bulgocze w nich, wzbiera jakiś język podziemny, głębinowy, jakaś mowa brzuszna. Dyskurs głębi, ponieważ w tym kłębowisku na pewno widzę ciało pedagogiczne i akademickie ciało i ich dyskurs tam trwa, mamrocze coś. Księżyc je światłem swym oślenia i zagłada im w przerwy, w pauzy, w przydawki i zaimki im dzwoni. Trupim światłem ich prześwietla, srebrzystą igłą zabija, nicuje, wyjawia ich wewnętrzne skręty, wewnętrzną fermentację. Uciekać.

I oto ja, magister filologii obcej, w cudzym mieszkaniu, w takim położeniu, ze śladami walki na ubraniu. Wieczorek zapoznawczy? Integracja ciała pedagogicznego. Co, do cholery? Co na to żona moja? Dzieci moje? Gdzie oni teraz? O czwartej nad ranem świat więc wykręcił mi niezły numer i wrabiał mnie, wrabiał w jakieś cudo. Jakbym był wciąż pijany, jakbym się upalił czymś niewiadomym.

Byłem we śnie i wszelki absurd stał się możliwy, absurd stał się zwykłością.

Promień księżycy padł na drżącą szybę w białawym kredensie i widziałem kuchnię i mieszkanie mi znajome, i równocześnie niczego nie mogłem rozpoznać.

Kto tu tak nabrudził? Dlaczego rząd butelek stoi, ale wszystkie puste? Zacząłem zaglądać do każdej z osobna, może choć kropla na dnie, lecz nic, nic, ktoś wszystko opróżnił. Tak samo w wazonach z dawno zwiędłym kwiatkiem, pusto w karafkach, w lodówce sześciokolorowe pleśnie na kartonach, na słoiczkach i w puszkach i ani kropli napoju, ani kropli wody.

I pustki w szafkach, na półkach, w spizarce. W łazience porośniętej rafą i szarym kamieniem również pusto, ani kropli wody, ani śladu mgły na lustrze i nawet wilgoci na okiennej szybie, na rurach, ani zardzewiałej kropli świecącej w ukryciu za kolankiem umywalki, na sitku prysznic. Poczłogałem się więc do kranu w umywalce, tym razem przygotowany, z wyciągniętym językiem, żeby złapać w czas spadającą kroplę.

Było jasne, że mam do czynienia ze złośliwą awarią wodociągu, że gdzieś

tam, pod ziemią, pod piaskiem, chodnikiem, pod gliną i iłem, stało się coś – korozja zjadła metal, kamień go rozsadził i rura pękła, wylewając wodę i podtapiając sąsiednie piwnice. Więc na czworaka, z wyciągniętym zawczasu językiem. Do kranu, a w kranie dziwne rżenie, charkot i warkot, bulgot i hurgot, mlaskot, łoskot, ale ani kropelki.

Burczy, syczy, gwizdże. I czuję, że zamiast wypluwać wodę, siłą podciśnienia zaczyna zasysać gwałtownie powietrze, a ponieważ zatkałem językiem jego dopływ – zasysa mi język. Na nic szarpanie w tył, by ratować, siła kranu potężniejsza, czuję język mój ciągnięty ziewnięciem całych wodociągów, tysiący metrów podziemnych kanalizacji, płataniny rur, pajęczyny rurek, kolanek, zaworów, bojlerów, wanien, rezerwarów, łazienek, pisuarów i łaźni.

I ból, ból, ale senny, nieprawdziwy jakiś, a język tymczasem, wyciągnięty ponad możliwości, penetruje podziemia miasta, smakując korozję, szlam i kloaki tajnych kanałów pod urzędem miasta, zaglądając pod prysznice hoteli pracowniczych, zlizując rdzę przedszkolnych umywalek, wynurzając się w kratkach ściekowych śródmiejskich kamienic, pod koldrę wchodząc pracownikom, wsuwając się w kieszeń, w rękaw, do portfela. Tak drętwo, poza wszelkie granice, tak drętwo, daleko, że znów zasnąłem.

Język tymczasem, poza mną, buszował, penetrował, wił się, gdzieś ode mnie daleko, sam, w dziwnych dziedzinach. W śluzach i szlamach, w ilach, magmach i w musie rzeczonym, w mule i w tle. I szukał drogi, szlaku, tropu. I znalazł coś, coś nowego, o czym jeszcze nie mogłem nic, niczego nie mogłem, nie potrafiłem wymówić, bla bla bla mogłem tylko, nie wiedziałem poza tym nic. Byłbym znów zasnął, gdy nagle podciśnienie ustało i taka sama siła, która ssła przed chwilą, teraz wypchnęła mój język z piekielnym charkotem. Krzyknąłem z przerażenia i radości, usiłując czym prędzej schować go na powrót do gębowej jamy, co nie bardzo mi się udało, ponieważ zbyt był obolały, spuchnięty, a na domiar złego znacznie dłuższy od wersji oryginalnej.

Wreszcie jednak, za pomocą palców, upchnąłem go jakoś, przymykając otwór, krzywiąc się i krztusząc, gdyż smak na nim pozostały sugerował najohydniejsze podróże. Wody jednak nie było – nie spadła ani jedna kropla.

Zbyt dużo wina wczoraj? Urodziny? W gościach? Z nimi, u nich? A teraz sen na kacu, zmora nocna, koszmar – ani kropli wody nagle w całym mieszkaniu, nic nie skrapla się na suficie, na wyschniętych ścianach, jak na złość, kiedy całe miasto zaparowało rosą i mgłą wodną. Co tu robię, gdzie mój dom, żona, dziecko? Tak się zaczyna komedia? Promień, co padł na moment na to wszystko, oświecił znaki ruiny i hańby: przewracane meble, papiery, ubrania w nieładzie, porzucane na poręczach foteli i krzeseł. Przeszli barbarzyńcy.

W wannie ktoś leży, wystaje noga owłosiona lekko i słysząc chrapanie potężne – nie, to nie chłopiec, nie dziewczyna, lecz coś potężniejszego o wiele,

o wiele bardziej przerażającego, drastyczniejszego, nie gender, nie, nie człowiek nawet, gorzej, drży lekko foliowana zasłonka, bulgot i charkot. Uciekać.

I księżyc światło, rysujące na ścianie kreskę, jasną smugę, niepewną, prowadzącą dalej, ślizgającą się, złamaną, rozmytą, drgającą, aż ku drzwiom wyjściowym, na klatkę schodową. I nagle w tej ciemności widzę dwa zielone punkty świecące uparcie i słyszę coś jakby kwilenie, a jakby jęk, skomlenie dziecka.

A tam piesek o sierści koloru niejasnego, niepewnego przede mną pod drzwiami stał i piszczał. Otworzyłem je, a on pobiegł do schodów wysokich, drewnianych, schodzących stromo w dół, a potem zatrzymał się i spojrzał na mnie jakby wyczekująco swym zielonym wzrokiem. Idę więc za nim po schodach, przez bramę, do wyjścia na ulicę.

I prosto w duszny miód lipcowy, że aż lepko, klei się, spływa po skórze i słodko, gęsto klei się do chodników. A noc jest piękna, jasna, z czarną kością, taka, co do szaleństwa, wprost na pokuszenie wiedzie ministrantów i bibliotekarki. Żadnego spania, tylko elektryczność, duszność, swędzenie i pastylka gorzka, przegryziona.

Walka z wężem morskim, z falą pościeli, z hydrą i wydrą kotłowanie, i wyrzucanie na brzeg, na mokry piasek. I suchość w ustach, wielka suchość w ustach. W łóżku rosły fantazmaty, ciało przybywało kończyn, przyłądków, z pościeli pączkowały nowe byty i wyklute bożki dokonywały czynów nieprzystojnych. W kuchni świecił się stos niezmytych naczyń, na odjazd dzwonił rząd pustych butelek i rosła frustracja, gwiazdy spadały i gasły w wilgotnych poduszkach.

Noc była piękna, zgoda, lecz leżała struta. Leżała na mieście jak ogromna kołdra, a pod nią różne ruchy, prądy, wiry. Księżyc kopał zabójczym światłem w twarze śpiącym, a ci wędrowali przez morze piasku, przez fale, na jego spotkanie. Ci, którzy nie spali, dyszeli jak ryby wyjęte z wody na gazetowy papier, błyskając szklistym okiem.

Lipiec się rozbestwił we wszystkich dzikich dzielnicach miasta i w krzakach sapał, jęczał, mlaskał. Ślisko w powietrzu, od miesiąca co dzień około czwartej nadchodziła burza, krótka i durna, z deszczami do kostek, a po niej jęki znów powracały. I bary wszystkie były ciągle pełne gości, ogródki piwne burczały i grały, świecił lunapark.

Iskry strzelały do samego rana i świt zastawał wszystkich wymęczonych, spoconych, o wyraźnych bruzdach i ubytkach w portfelu. Nikt nie wiedział, po co do rana fika tak się i hula, szwenda i głądzi.

Od dni ponad czterdziestu deszcz zmywał ulice, a w nocy wstawał duszny amok i parował asfalt. Razem ze zmięczem mieszkania napełniała mgła, rozgadany dym chodził po pokojach i nocą dopiero skraplał się w milczeniu, kapał z sufitu prosto w środek czoła, zakręcał głowy i kładł na rzęsach ołowiane cienie.

Od początku miesiąca miało się wrażenie, że na równinie dokoła miasta wszystko rozmiękło, kształty rozmyły się i stały całkiem nieostre. Mgły snuły się niechętnie, bez celu, psy wyły i w nieustannej mantrze deszczu blakły kolory. Rozmiękczała się forma, kropla po kropli wypłukiwała się treść.

Czasem błysnęło słońce, zajaśniała ostro kropla, lecz wywabiała ją bezbarwna miałkość, nijaka wodnistość, rozmazana, bez brzegów. Lasy, baraki, anteny i słupy spływały powoli w kałużę. Rozmiękło też miasto: ostre zakończenia wież, narożniki kamienic, iglice kościołów, barwy plakatów, reklam i ogłoszeń zamazały się i rozpląnęły, straciwszy kreskę. Jak z plastycznej masy, domy zaczęły się lekko osuwać i opróżniać z kształtów, podmyte kolory stawały się senne, zmaczone i nie do odróżnienia. Pomniki stopiły się w bezkształtną plazmę, wszystkie napisy rozmydliła woda. Zakręty straciły swą uprzednią ostrość i profil.

Ledwie rozpoznawalne były zaułki i bramy, trwałość traciła kategoryczność, siła międzycząsteczkowa trzymająca w napięciu świat zelżała i wszelka forma obsuwała się w nieokreśloność. W mieszkaniach sprawy wciąż były wilgotne i nic nie chciało wyschnąć jak należy. Ubrania, kanapy, zasłony, buty opuchnięte i miękkie zmieniały kształt pod palcami.

Zdarzało się, że wybrzuszał się parkiet, że wstawała podłoga, zakręcały ściany. Zdarzało się, że korytarz nabierał nowych zakrętów, na nowo formowała się struktura i plastyczność przestrzeni, pęczniały nagle szafy pełne wilgotnej bielizny. Że wyprawa do kuchni stawała się przygodą z tysiącem perypetii,

przyczynkiem do zbłądzenia.

Teraz nadchodził być może świt, był to moment, gdy noc dogasa i przychodzi pora na formy pośrednie – godzina między psem a wilkiem, pusty czas, wciągający w swą czarną dziurę wszelkie ślady istnienia, kiedy się ujawniają błędzące w przestrzeni eony, wichry cząsteczek wędrujących od wieków, zapadłe w ciszę słowa, wypowiedziane kiedyś, krążące w kosmosie, odbite echem od siódmej gwiazdy i wracające teraz, w poszukiwaniu adresata.

Być może od tego zaczęła się moja przygoda, być może wypadki tłumaczą się jakoś, być może nie ma wytłumaczenia. Przede mną biegł piesek, może rudy, a może lekko fosforyzował z powodu silnej aktywności księżycowego blasku, wciąż o sześć kroków z przodu, i obsikiwał co chwilę pnie drzew, krzaczki, rogi kamienic, i rozmywał jeszcze bardziej rozmyty kształt miasta.

A ja za nim, z językiem, niby lunatyk, przebity, prześwietlony trupiosrebrnym promieniem, mocą niepojętego przekonania, że on mnie doprowadzi do jakiegoś wyjścia. Mocą przekonania, że tak być musi, mocą sennego absurdu konieczności.

Szliśmy tak dobrą chwilę w kierunku nieznanym, język mój daleko przede mną, w przedzie, w awangardzie, tuż za pieskiem, potem ja, ciało moje niepojęte. Towarzyszyło nam coś jakby klaskanie stłumione, stęknienia głuche. Z tych form na pół rozmytych wyłaniał się widok jakiś senny miejsc znanych z dzieciństwa lub dawnych podróży i ta iluzja, ta srebrna ułuda, mając mnie i zwodząc, chwiała się przede mną na kształt miasta. Wiecie, jak to jest we śnie: nie było wyjścia – choć wszystko wydawało mi się absurdalne, chciało mi się pić, lecz piesek był tak ekscentryczny, że on tylko mógł mnie wyprowadzić z tego koszmaru.

Szliśmy tak chwilę, kiedy w końcu ulicy światło zdało się żywsze, elektryczne. Dochodziliśmy do Rynku, oświetlonego girlandami latarni. Dobiegał stamtąd gwar, muzyka, jakby bawiono się tam wciąż pomimo późnej pory, i wkrótce zobaczyłem ludzkie sylwetki, usłyszałem stuk obcasów po bruku i ujrzałem wracające pary, objęte, uśmiechnięte, lekko się kołyszące. Grupy młodzieży środkiem ulicy wracały, śpiewając.

Piesek dreptał, ciupciał łapkami z przodu, posikując czasem, machając ogonem, wężąc i co chwilę zatrzymując się w półbrocie, jakby na mnie czekał. Rytm jego kroczków, dryp dryp dryp, pazurków skrobiących po bruku, dziwnie się mieszał z rytmem moich kroków, taktem klaskającym, czymś głuchym i niechybnym, nierównym i miękkim.

I kiedy weszliśmy w światło, pomiędzy tych ludzi, nagle poczułem, skąd ten rytm przekłęty – spojrzałem w dół na swoje stopy i zrozumiałem, że jestem bosy. Jak to się stało, jak było możliwe, że wyszedłem z domu, nie włożywszy butów? Noc była ciepła i ciepłem parowały płyty chodników. Ach, sen przekłęty, oczywisty banał! Ileż to razy śniło się nam wszystkim, że wychodzimy boso, nago,

zapomniawszy czegoś niezwykle ważnego, wystawieni na śmiech i wstyd własny. A teraz ujrzałem, że jestem jedyny bez butów pośród tych wszystkich ludzi wracających, objętych, śpiewających sobie szasą damur i riki tiki tak.

Ciepło przecież było, ale mnie natychmiast wstyd ogarnął i stopy, dotąd niemal niewidoczne, zdrętwiałe jakby, rozpały się nagle purpurowym światłem, rozżarzyły ogniście i zaczęły przypiekać. Szedłem więc dalej, ale ciut inaczej, tak, aby to ukryć, skrywając swój marsz, idąc jak najmniej możliwie. W lekkiej panice, przeklinając cholerny banał sennej komedii, lecz przekonany o tym, że wszyscy patrzą na mnie i na ogromniejące moje z każdym krokiem stopy, że wszystkie szepty i śmiechy dotyczą tego właśnie, z jakiegoś powodu wstydzilem się jednak. I choć przechodząc obok, odwracali głowy, przytulali się i rozmawiali w najlepsze, wiedziałem, że odwracając głowy, od moich bosych stóp je odwracają, że szepczą o mnie, że nie patrząc w moją stronę, właśnie w moją starają się stronę nie patrzeć, że mówią o czymkolwiek, właśnie nie o mnie mówią.

Nagle piesek, pewnie nie przypadkiem, skręcił w uliczkę boczną, ciemną, głuchą i wąską, a ja za nim, i poczułem, że stąkam po bruku błyszczącym i śliskim, bardzo wydeptanym, starym i dostojnym. Była to pewnie najstarsza część miasta, w której trwały wieczne remonty i zasłanianie zaułki i uliczki, aby potem, po skończeniu pracy, odsłonić nagle fragment muru nieznany, stare okno, krużganek, fasadę, zapomniane od dawna wejście na podwórze, na ukryty za murkiem ogródek, stare magazyny, nieużywane schody czy galerię prowadzącą do innych ulic tajnym przejściem, ukryte drzwiczki do piwnic, które po otwarciu wypuszczały z siebie zapach grzybów i myszy.

Zdarzały się w tym mieście takie miejsca, w które wchodziło się zupełnie niespodzianie, kiedy odsłonięto jakiś stary i wyblakły zupełnie od słońca plakat, rozebrano ogrodzenie postawione na chwilę przed laty i całkiem zapomniane, kiedy odjechał samochód parkujący od niepamiętnych czasów i zarośnięty trawą oraz mchem, a zagradzający nieznane przejście czy uliczkę.

Taką uliczką teraz szedłem, lekko wkleśłym brukiem wyślizganym ze starości do błysku, wśród zapachu stęchlizny, pod rozwieszoną w poprzek i nigdy nie wyschlą, spleśniałą bielizną, pod drutami i kablami zwieszającymi się od okien, w smrodzie kociego moczu i zapomnianych lokatorów.

Nie wiedziałem, gdzie jestem. Jakieś światło migotało z przodu, przede mną czasem zalśniły zielono oczy mego przewodnika i wciąż słyszałem drapanie pazurów na bruku, dryp drop. Ponad nami, w wąskiej szparze, w którą zwężyła się ku górze perspektywa, ślinił się światłem okrągłutki księżyc.

Światelko z przodu błyskało i dobiegał stamtąd hałas jakiś, rżenie, burczenie i jazgot, z każdym krokiem jazgotliwszy.

Wkrótce światelko stało się większe, a potem rozdzieliło wyraźnie na dwa różne, świecące kaprawo żółtym blaskiem niby ślepia jakiegoś stwora, który

przybliżał się do nas z łomotem i terkotaniem, wolno, lecz nieubłaganie.

Piesek przebiegł jeszcze trzy kroki i stanął, spojrział na mnie, jakby czekając na decyzję. Tymczasem potwór przybliżył się jeszcze, ogromne jego wilcze ślepią zaczęły mnie razić, a chrobot i jazgot, z którymi się posuwał, wypełniły cały wąziutki korytarzyk naszej uliczki.

Aż wreszcie poznałem przed nami samochód starej konstrukcji, z serii aut nieużywanych już od lat, masywny i odlany z jednej formy, ale wydający przy okazji dźwięki kombajnu i młockarni, stukot i chrzęst nie do wytrzymania.

Postanowiłem potworowi z drogi się usunąć i przykucnąć gdzieś we wnęce lub załomie muru, jakich pełno jest zazwyczaj w takich uliczkach, i postąpiłem krok w kierunku krawężnika. Na próżno! Moje stopy zaczęły się ślizgać na wypolerowanym i wklęsłym od zużycia bruku. Zjeżdżałem na sam dół tej rynny, którą tworzyła w tym miejscu ulica, wypłukana przez wielodniowe i uparte deszcze.

Nic nie pomagało, próbowałem na rękach, nogach, na kolanach, na czworaka, z coraz już większym przerażeniem, a tamto się zbliża, dzwoni karoserią, mruży wyrazy, wielkie, blaszane, straszne, oświetlone, z błotnikiem, bieźnikiem, zderzakiem, z bagażnikiem! A ja za każdym razem jak na ślizgawce spływam na sam środek wąskiej jezdni. Tymczasem samochód, grzmiący, parskający, sapiący i puszczający gazy, był coraz bliżej, posuwając się centymetr po centymetrze, jak pancerny żółw, walec drogowy, czołg z czasów bitwy nad Sommą, okrutny i nieubłagany.

Wreszcie, gdy był o kilkanaście metrów, postanowiłem wstać i go zatrzymać. Przecież kierujący autem zobaczy mnie, stojącego przed nim w świetle reflektorów, i pojazd zatrzyma, to nieuniknione. Wstałem więc i wyprostowany zacząłem machać w jego kierunku, krzycząc przy tym odpowiednio głośno zasłyszany w takich wypadkach w kinie komunikat.

Czy kierowca był jak pień głuchy, czy nie słyszał niczego w piekielnym hałasie czynionym przez jego własną maszynę, czy może był po prostu mordercą, ukrytym dotychczas pod maską rencisty i oczekującym na swój złoty moment, taki jak ten, kiedy nikt nie widzi, w bocznej, nieznannej nikomu ulicy, we śnie przecież, we śnie!!! I wali prosto we mnie, na me bose stopy. I nic ludzkiego w tej maszynie, nie widzę kierowcy, a światło mnie oślepia, jedynie metal i mechanika, zgrzyt i przemoc, i nieuchronność przy tym, i bezmyślność, nieludzkie fatum, kinetyczny bezwład. I nie mogę wydostać się z koryta, tej niecki ulicznej, nagle tak wklęsłej. I coraz bliżej jest, o krok, o metr.

Wtedy mój wzrok padł znów na pieska rudego, który stał bez ruchu już od dobrej chwili, wpatrzony wciąż we mnie swym zielonym wzrokiem. Piesek nie spojrział nawet w tamtą stronę, całkiem ignorując zbliżające się niebezpieczeństwo.

Dlaczego tak stał, na co czekał? Czego chciał ode mnie? Jaka była moja rola,

jakie zadanie w tej grze, w tej wyprawie? Patrzył na mnie dziwnie, a tymczasem samochód toczy się siłą bezwładności, już ledwie o pół metra, o centymetry. I wtedy, kiedy był już tuż tuż, kiedy błotnikiem niemal dotknął psich nastroszonych uszu, postanowiłem podskoczyć.

I nagle, bez żadnego trudu, uniosłem się nad ziemią, ponad ulicą, i przeleciałem powyżej warczącego stwora, lekko tak i przyjemnie, jakbym wciągał haust powietrza. Zobaczyłem, jak w dole samochód przetacza się z hukiem przez miejsce, w którym jeszcze przed sekundą stałem bezradnie, i przepełnił mnie dziwny entuzjazm, jakaś wszechogarniająca radość.

Ach, sen, cholerny sen, w którym wszystko jest możliwe, błogosławiona wolność zdarzeń, fizyka, chemia i biologia spięte w jeden kotylion rzucony na wrzącą wodę! Byłem teraz na wysokości pierwszego piętra i mogłem się poruszać we wszystkich kierunkach bez żadnego wysiłku, jakaś siła wypornościowa unosi mnie w powietrzu, nieważkiego.

Zobaczyłem więc wszystko z perspektywy wyższej, miasto moje i ludzi w nim, okna, dachy, chodniki i kominy.

Uliczka była tak wąska, że unosząc się, mogłem z łatwością dotknąć rozwartymi ramionami obu ścian naprzeciwległych kamienic, lecz szybko znalazłem się dalej, pomiędzy domami, których nie widziałem wcześniej, aż wreszcie zobaczyłem światło w oknie. To tu, to tu.

Wtedy zza uchylonego okna usłyszałem coś dziwnego, jakby płacz, a może ciche szepty. Pchnąłem więc okienną ramę i bez wysiłku, tak jakbym płynął w krystalicznej, bursztynowej wodzie, wpłynąłem do środka, unosząc się lekko w półmroku nad podłogą pokoju.

Dziwne było to mieszkanie, jedno z tych, które żyją własnym życiem również wówczas, gdy opuszczają je mieszkańcy. Wychodzą wtedy z zakamarków kolory, szepty, upchana, dzika pustka i zaczynają festyn tanecznych znaków, unoszących się i rosnących w prześwieتلonym powietrzu niby konstrukcje czasu i nieobecności.

Cały ten duży pokój był obity ciemnym papierem, odłóżającym i odsłaniającym białawe i żółte ściany. Duże rośliny przysłaniały okna, a na półkach, na szafkach, na stole stały figurki, wazoniki, lampy, zegary i szachowe figury nienaturalnej wielkości.

Wtedy usłyszałem z wnętrza mieszkania ciche, a potem coraz głośniejsze wołanie, dochodzące jakby z głębi wąwozu. Poszedłem ciemnym korytarzem, aż wreszcie dotknąłem drzwi, ciężkich, obitych jakąś tkaniną z wplecionymi w nią kolorowymi koralikami, które przy dotknięciu dzwoniły leciutko. Pchnąłem drzwi i wszedłem w półmrok pokoju, oświetlonego tylko księżycowym blaskiem. Wołanie dochodziło stamtąd, z wielkiego, napuszonego łóżka o skłębionej pościeli, na którym jak na barce leżała jakaś ciemna, mizerna postać.

W pokoju unosiła się drażniąca nos woń dezynfekujących środków, spod której czuło się wyraźnie zapach starości, nieporównywalny z niczym innym, kupazujący w sobie tabletki na mole, skórę, kurz, stare ubrania i coś zwiędłego. Na szafce przy łóżku widziałem lekarstwa w tabletkach, maściach, flakonikach i butelkach, szklanki i szklaneczkę, w której spoczywała sztuczna szczeka. Książeczki do nabożeństwa, obrazki świętych, zdjęcia rodzinne, zegarek, rozsypane koraliki różańca.

Kiedy wszedłem, pościeli poruszyły się i spod poduszki wyłoniła się rozczochrana głowa z wielkimi oczyma. Podeszedłem bliżej i zobaczyłem prababkę Apolonię, o twarzy zwiędniętej i pobrużdżonej zmarszczkami, lecz o ognistym spojrzeniu czarnych, świecących oczu, którymi patrzyła na mnie, pytając niewyraźnie: „To ty? To ty, Tolu?”, aż wreszcie, kiedy byłem już blisko, ujrzała

mnie chyba w świetle księżyca, bo oczy jej zrobiły się na chwilę jeszcze większe, na twarz wstąpiło zdziwienie i patrzyła przez chwilę na mnie z przerażeniem przechodzącym stopniowo w gniew i znużenie, jakbym coś przypomniał jej nagle, jakby zobaczyła zjawę spoza czasu i przestrzeni.

Trwało to kilka sekund, wreszcie machnęła ręką ze zniecierpliwieniem i krzyknęła, a właściwie zbulgotała coś bardzo niewyraźnie, zrozumiałem jednak i na własne nieszczęście podałem jej zęby pływające w szklaneczce. Zaczęła wtedy pytać, dlaczego tak późno przychodzę i jak to możliwe, że tak długo jej nie odwiedzałem, że tak nie wypada, że ona czeka i czeka, ale dobrze, lepiej późno niż wcale, i jak tam żona, dzieci, praca. Z jakichś powodów mówiła do mnie „Tolu”, czemu z równie niejasnych powodów nie mogłem się sprzeciwić.

I rozmawiamy sobie zaraz o tych starych czasach, jak to zjeżdżałem na rowerze z górki i szprycha weszła mi w łydkę, jak to się całowałem z sąsiadką i ząb jej został w moich ustach, jak to wlałem w krowi placek, i o mnóstwie innych rzeczy, z których żadnej, ale to żadnej nie pamiętam.

I jabłka kwaśne z ogródka, i kogut wściekły liliput, i firanki w oknie z naprzeciwka, a także bitwa na kamieniu z gangiem scyzoryków – sprawy, które być może śniły mi się kiedyś bądź przeżył je ktoś do mnie podobny w filmie, w książce przygodowej, w życiu poprzednim, innym, patetycznym, w kraju pachnącym oranżadą w proszku, kraju Tolka Banana.

W tym samym czasie pajak jakiś zjechał na nitce spod sufitu i zaczął tkać pajęczynę wokół łóżka i na szafce z flakonikami, biustem Naczelnika i kwiatami z żółtego plastiku. Za oknem tramwaj łomotał krzywe szyny. Usłyszałem kroki z korytarza, ktoś nadchodził. Szybko, szybko, zawołała babka Apolonia, chowaj się, chowaj, idzie pani Mania. Prędko! I zanim zdążyłem pomyśleć, już się chowam, już włożę pod jej łóżko, w ciemność kompletną, a za mną pajak prędko tka swą sieć, zasnuwa przejście i staje na straży.

A do pokoju wchodzi pani Mania, okrągła, której nie znałem, ale znałem przecież, jakoś znajome były jej tańce wokół łóżka oraz krzątania. Zapaliła światło i zaraz pod łóżkiem biegać zaczęły wielkie cienie zapomnianych królestw: kapcie ogromne, garbate, krzaczaste, nocnik błyszczący pękaty, kłębek nici, guzik, koralik, samochodzik metalowy, jakieś uciekające kształty, piski, szuruburu.

Widziałem nogi w kapciach tańczące wokół łóżka i w lustrze starym, kropkowanym, cętkowato złuszczone, na podłodze opartym o przeciwległą ścianę scenę całą – skrzywienie sprężyn i desek i wielkie przeprowadzki na łóżku, zmienianie pieluchy, stękanie przy obracaniu ciała, podnoszeniu, przesuwaniu, układaniu, poprawianiu, poklepywaniu. Kaftanik spięty wielką srebrną spinką. Brudna bielizna rzucona na podłogę: wzory na niej haftów i ściągów, krzyżyki, pętelki, wężyki, lamówki. A co to, pani Apolonio, już nogi i ręce odmawiają posłuszeństwa, widzę? Tak, jakaś słaba w kończynach, ojej, słabość wielka, już

czucia w rękach nie ma, czucia w nogach i w głowie szumi, wie pani, pani Maniu, ręce gdzie indziej i nogi gdzie indziej, a głowa w innych okolicach, jakby wszystko osobno, osobno, nie własne. No, ale brzuszek działa, mówi pani Mania. A brzuszek działa, działa, brzuszek właśnie działa.

Czyli pora pojenia i karmienia, zupka, papka, śliniak, podawanie łyżki. O, grysik, a potem gruszka tarta, pierożki gryczane, bardzo dobre, twarożek i czerwone na nim kropki dżemu – porzeczkowy chyba. Tymczasem u mnie na dole skrzypienia, zapachy, jakieś łaskotanie, pajęcze nóżki, konstrukty kurzu, wędrująca grzybnia, czterech żołnierzy plastikowych, uchwyt, rączka skakanki, ścisk, cienie biegają, coś smyrga, przewraca, furkocze, mlaszcze, dyszy.

Wreszcie babka Apolonia opadła zmęczona na wysoko podścielone pod plecy poduszki i wyciągnęła palec, wskazując podłogę, pod ścianą, w kącie. Twarz stała się żywsza, nabrała kształtu, i Babka ton przyjęła dość stanowczy i nienawykły do nieposłuszeństwa. Co tam jest? – zapytała. Gdzie? Tam na podłodze, obok zegara, pani Marianno, co tam jest takiego? Gdzie na podłodze? – odpowiedziała kobieta siedząca bokiem na łóżku chorej, odwracając niechętnie i z niejakim oporem górną część ciała w kierunku wskazanym. Co? Nic tam nie ma! Widzę wyraźnie przecież, widzę, obok zegara, obok nogi – staruszka pokazywała palcem miejsce obok stojącego zegara, pokryte ciemnym lakierem, zmatowiałe od pracy czasu deski w podłodze. Obok nóżki, nóżki, pani Marianno, obok nóżki. Nic nie widzę, powiedziała pani Mania. Nic tam nie ma, coś się pani zdaje.

Ale babka Apolonia nie dawała za wygraną, celując wygiętym i wykoślawionym palcem w kierunku podłogi. Podniosła głos jeszcze bardziej i zawołała: Jak to, widzę wyraźnie, nie zwariowałam przecież. Niech pani popatrzy, niech pani podejdzie. Więc pani Mania podniosła się z trudem z łóżka, podeszła do przeciwległej ściany i schyliła się nisko przy zegarze. No co tu pani widzi? Ja nic nie widzę! Szpara! – krzyknęła stara – szpara! Nie było jej wcześniej! Gdzie Tolo? Co robi? Zostawił mnie samą? Oczy jej, okrągłe jak monety, płonęły ciągle silnym blaskiem.

E tam, szpara, mruknęła pani Mania, prostując się, szpara, a co ma być. Podłoga jest z desek, to i szpary są między deskami, zawsze były, nic nowego. Nie, nie, zabalgotła Babka, jest wielka, ona się powiększa, wczoraj nie było, a dziś jest ogromna! Niech pani zawoła Tola, niech naprawi! Staruszka podniosła się trochę z emocji na posłaniu na wpół ugiętych rękach i przez koszulę widać jej było szpiczaste kości, które ujawniły się nagle, jakby chciały przebić bladą, cienką skórę i równie cienką białą tkaninę koszuli. Obojczyki i ramiona były tak ostre, że wydawało się niemożliwe, by człowiek mógł być zbudowany z tak niebezpiecznych, sprzecznych i kłujących elementów i nie ranił się boleśnie przy poruszaniu, nie wywoływał ciągłych wewnętrznych krwotoków ich wzajemną

walką. Jakaś przeciwstawność w niej samej była, która Babkę skłócała wewnątrz, nastawiała przeciw sobie części poszczególne.

Pani Loniu, zdaje się pani, nic tam nie ma, malutka szczelinka, jaka była, taka i jest od lat pięćdziesięciu. Niech się pani uspokoi, nie ma co się denerwować, nie wolno pani, powiedziała pani Mania, siadając z powrotem na łóżku i biorąc babkę Apolonię za rękę. Tolo zaraz przyjdzie, może śpi. Ale tamta zaczęła wołać głosem na pół jęczącym, jakby płacząc, a jakby trochę płacz udając, pół szlochając i zawodząc, zamykając teatralnie oczy i kiwając głową na obie strony w geście rozpaczy. Znowu wariatkę ze mnie robią, a przecież widzę, że ktoś popsuł, może dzieciaki tych sąsiadów, one zawsze dokazują, a może kto inny tu był i zrobił tę szparę, o Jezu, chcą mnie oszukać, zostawić z tym samą, mówią, że głupia jestem, a przecież widzę wyraźnie, że zrobiona szpara. Na pewno szukali złota, złota szukali, przyszli w nocy oderwać deski, szukali pieniędzy.

Łóżko kwękało, skrzypiało, gotowało się i huštało, a pani Mania próbowała głosem łagodnym i głaskaniem pomarszczonej, zaciśniętej w złości dłoni uspokoić tę rozpacz. Ale babka Apolonia krzyczała, płakała, kwiliła i wyła na przemian w jakiejś histerii niepoohamowanej, w amoku dziwnym, jakby teatralnym, ponieważ znać było, że zmusza się do płaczu i co chwilę strzela w bok oczyma, co się wokół niej zmienia, czy pani Mania w tym miejscu, co dawniej, na skraju łóżka. Tyle razy mówiłam, naprawić podłogę, ale nie, przychodzą, psują, deski obrywają, żebym wpadła tam, nogę złamała, w tę dziurę straszną, jak mam wstać, wołała coraz głośniej i głośniej.

Niechże się już pani uspokoi, pani Loniu, nie można tak, to niepoważne – pani Mania, wreszcie straciwszy cierpliwość, wstała i szybkim krokiem wyszła z pokoju, jej stopy w kapciach zrobiły kilka piruetów i zniknęły za drzwiami. A mnie coś gryzło, coś łaskotało w dole, w piętę, w boczek, w ogóle i w szczególnościach, i wierciłem się już niepomału pod łóżkiem, kurz do twarzy przypadał wielkimi gałganami i do nosa, do oka, do ust się lepił.

Hej, Tolu, Tolu, wylaż, wylaż wreszcie, Tolu, poszła, słyszysz? – zawołała Babka. Wylazłem, stękając, oblepiony pajęczymi nićmi, kurzem i farfocłami. Hi hi, zaśmiała się na początek, poszła, poszła! Powiem ci coś w sekrecie. Ja jej nie ufam, chociaż mną się zajmie, ale ona, rozumiesz, całe ranki spędza tam obok, w mieszkaniu za ścianą. Wydeła policzki. Dam ci coś, co zabierzesz, papiery, papiery. Ale gdzie ja je dałam? Poszukaj no koło łóżka, tam, gdzie książki. Książki stały, rzeczywiście, na półce przy ścianie, dostojne tomiszczą i zeszyty, broszurki, wydawnictwa płocze. Tam, na drugiej półce, nie, na trzeciej, czwarta książka od lewej, nie, piąty tom, tak, piąty. Na stronie czterdziestej szóstej znajdziesz papiery założone. Nie, na sześćdziesiątej szóstej... Diabli nadali. Babka się zdenerwowała. Dopiero teraz przypomniałem sobie, patrząc na nią, że jest moją praprababką chyba, a może nawet prapraprababką, a tylko wzruszenie i łatwa emocja senna

pomyliła mi pokoleniowe stopnie.

Zacząłem szukać, druga półka, tom czwarty... strona sześćdziesiąta. Encyklopedia zdrowia. Układ nerwowy, *facies inferior rostri corporis callosi*, *ecmnesia*, *allomnesia*, *paramnesia*. Która z nich? Czy żadna? Dalej: tom piąty, półka numer trzy, strona czterdzieści dziewięć: *Rok ogrodnika*. Lipa, mięta, ognicha, *Sinapis arvensis*, *Trifolium hybridum*, poganka, hreczka. Żadnych, żadnych papierów, psiakrew, psiakość. Tom szósty, strona sto czternasta: Chciałbym więc rozciąć jeden z dawnych dworów, które na górach stoją nad stawami? Co za bzdura, dalej, tom siódmy, strona pięćdziesiąta druga: Szukaj na pozycji 67°40' N, 13°50' E i głębokości 160 m, tam leży skarb.

Ale słyhać nagle szum, ruch i szuranie, nadchodzi pani Mania! Uwaga, krzyczy Babka, chowaj się, chowaj, prędko! Dlaczego chować się, do diabła, nie wiem, lecz chowam się, szybko się wsuwam w tę ciemność, kurzowe, fruujące falbany, dekoracje pajęczce, piski, błyski, śmieci.

Tymczasem wchodzi pani Mania, tableteczki, piguleczki, szklanka wody pełna do połowy, od połowy pusta. Co tam, pani Lolu, co tam? Już idę, proszę nie krzyczeć, wszystko dobrze. Babka Apolonia nagle zaczyna inny zaśpiew, kokosi się na łóżku, słyszę te sprężyny i jak w jej ciele części przeciwstawne, antagonizmy ścierają się i skrzypią, czarne oczy, rozszerzone, ogromne na skurczonej i zwiędniętej twarzy, zaślniły nagle i ją całą przebiegł skurcz przerażenia. O, znowu on, widzę go, widzę, jest tu! – krzyknęła bardzo głośno, wskazując w przestrzeń palcem, jest, przyszedł po mnie!

Pani Mania, przyzwyczajona od dawna do tych aberracji, podążyła leniwie roztargnionym, zmęczonym wzrokiem za koślawym palcem. No przecież nic tam nie ma, pani Lolu, coś się pani zdaje, niech się pani nie boi, zaraz dam lekarstwo, nie będzie już tych strachów, odpocznie pani, może trochę pośpi. Kto to widział, po nocy takie krzyki urządzać.

A Babka dalej: No, idźże precz, nie chcę cię jeszcze, wynoś się! Słyszysz, nie chcę cię! Po coś tu przylazł, nie wołałam cię! Schował się pod łóżko, niech pani sprawdzi. Ojej, pani Lolciu, nic tam przecież nie ma, wydaje się pani.

Ale Apolonia wołała dalej: Odejdź! Nie chcę cię teraz!, po czym odwróciła się gwałtownie do ściany, aż kołdra, którą była przykryta, pociągnięta nagłym szarpnięciem odsłoniła jej żółte, porysowane fioletowymi żyłami nogi, na których czerniły się plamy podskórnych wylewów, i kawałek pośladka, pomarszczonego i chudego, z założoną pieluchą. Odejdź! Po coś tu przylazł, na co, po mnie? Nie ma mowy! – krzyknęła już wyraźnie. Precz! Nie chcę cię. Nie ruszałem się, zdmuchując kłęby kurzu z nosa i wstrzymując oddech, a ona wierciła się znowu i wyjąwszy spod głowy poduszkę, rzuciła ją na środek pokoju z rozmachem, którego trudno się było spodziewać po takim szkielecie. Precz! Nasermater! Pokazała język.

I cisnęła swoimi zębami, które stuknęły o futrynę i upadły na deski, tuż obok nogi pani Mani, która tymczasem przygotowała miksturę i złapawszy Apolonię jedną ręką pod głowę, jak w lustrze tym dropiatym, starym widzieć mogłem, wlała ją do gardła Babki powoli, kropla po kropli, mówiąc przy tym: No, no dosyć tego, starczy! Odpocząć trzeba, uspokoić się, jak to wygląda, przecież rano, raniutko ma przyjść ksiądz, nie pamięta pani Apolonia? A tu takie fanaberie, co ksiądz powie, jak zobaczy, jakie pani hece urządza? Na te słowa stara uspokoiła się, jej wzrok spoczął na czymś dalekim i rysy twarzy, ściągnięte przez gniew w węzeł, zaczęły się rozprostowywać, aż w końcu przyjęła wygląd Madonny z obrazów mistrzów quattrocenta lub woskowej albo zabalsamowanej lali. Tak to widziałem tam na dole, w lustrze odbite, choć niemiłosiernie wykrzywione, dropiate, odwrotne, na opak. Pozwoliła sobie wlać lekarstwo i przełknęła do ostatniej kropli gorzką miksturę. Jakaś rezygnacja połączona z cieniem ironii zagościła teraz w jej spojrzeniu.

Opadła wreszcie na poduszki, wymawiając całą litanię pomruków, przekleństw i złorzeczeń, które z wolna zaczęły zmieniać się w jęki i wzdychanie, a potem w ciche i coraz cichsze kwilenie, jakby noworodka. Zagulgotała jeszcze. Zaczęła oddychać spokojniej, niemalże miarowo. Po chwili wszystko ucichło, w powietrzu zostały tylko strzępy westchnień i jakieś niemal kocie miauknięcia, mysie piski.

Siedzę dość długo, nareszcie wyłązę. Mdłe światło. Zasnęły obie? Pani Mania na fotelu obok łóżka. Mała lampka nocna dawała słabe, rozproszone światło: zobaczyłem szafę ścienną, na wpół otwartą, z której na podłogę zwieszały się paski jakichś sukni czy płaszczy w wyblakłych kolorach i długie szarfy, jak macki jakiejś chcącej wypełznąć z ukrycia pstrokatej ośmiornicy, która sonduje suchą przestrzeń lakierowanych desek podłogi.

Na nosie miała pani Mania okulary, na głowie dziwny biały czepek zrobiony z włóczki, pod nim długie włosy, a u stóp kanapki, na której siedziała, kolorowe pismo leżało porzucone. Aktorzy, prezenterzy, dziennikarze, piosenkarze, goło, radośnie, kolorowo, reklamy, zdrady, zemsty, kary, długopis, który poturlał się pod fotel i w kratki krzyżówki wpisane krzywo słowo „FATAMORGANA”.

Wtedy, w złotej bani snu, unosząc się lekko ponad światem, na korytarzu tej kamienicy oświetlonej trzaskającym i mdłym światłem elektrycznych napięć mojego mózgu, oglądając film i grając w nim główną rolę, zdałem sobie sprawę, że wyjście musi być gdzieś tu, za kolejnymi drzwiami. Po prostu otworzę je i wejdem do swojego pokoju, gdzie spać będzie moja żona i dzieci, i w ten sposób marzenie moje, koszmar, zhora, skończy się, produkcja zgaśnie.

Idę, zielone poręcze, deski skrzyp skrzyp, ciemnawo, zakątki dziwne, jedno drzwi i drugie. Klatka schodowa rozpajęczona, rozgałęziająca się w prawo i w lewo, monstualna, rozbiegana. Schody przyklepione do ścian, rozpięte w sieć, chaos drzwi, poziomów, przeskoków, kładek, wiszących mostów. Półmrok trzeszczący, obsuwający się. Ciasne przejście, w nim drugie, korytarz gołębi, zawieszony w powietrzu, potem uskok, przepaść i drzwi na wysokości, trzeba skoczyć, a skok będzie jak sąd Boży, albo-albo, nad przepaścią. I fruwać nietoperze, fruwać w dole gołębie. Chwieję się, odbijam, skaczę i uczepiam klamki. Ach, chciałbym dom taki przeciąć na połowę.

Przez pajęczyny i wilgotny korytarz, aż wreszcie w dół, schodki przeskakiwane po pięć, po sześć. Znalazłem się w ciemnej sieni, o wyciągnięcie ręki od ciężkiej bramy na ulicę, kiedy zza drzwi prowadzących na schody do piwnicy dobiegł mnie odgłos jakby stukania, piłowania, jakiejś pracy wykonywanej w podziemiu pomimo późnej pory z zapalem i determinacją.

I stare drzwi, ukazujące pod obłazącą, ciemnozieloną farbą olejną poprzednie warstwy farby sięgające czasów niemieckich, wojennych i powojennych. Różnokolorowe plamy, zadrapania, zacieki, złuszczenia, na nich całe płyty odłazającej farby i spod nich tamte, spłowiałe kolory wylazące do światła przypominały jakąś starą mapę, skomplikowane i fantastyczne linie brzegowe, grzbiety łańcuchów górskich, zielone plamy lasów, żółte pustynie i płaskowyże, misy jezior i jezory lodowca. Spękania złościły na niej głębokie bruzdy koryt i delty ujść rzecznych, zawilgotniałe ślady zbutwienia zaznaczały podbiegunową tundrę, niezbadaną dżunglę, rozsiane nieregularnie wulkaniczne wyspy i klify wbijające się ostro w oceaniczną szarość.

Schody i zapach wilgoci i zbutwienia w twarz jak miękka szmata. Omijając pajęczyny, posuwałem się ostrożnie korytarzem w kierunku świecącego w mroku słabego światelka, prowadzony przez dźwięk. Ktoś stukał i piłował, nie ustając w wysiłkach, odgłosy dochodziły z jednej z piwnic. Po chwili dobiegł mnie też stamtąd gwar głosów, pokrzykiwania i śmiechy. Nagle drzwi, sklecone z nieheblowanych, szarych desek pachnących pajęczyną, otworzyły się z impetem i ukazała się w nich dziwna postać w baraniej czapie na głowie, dziko zarośnięta, w czarnym, niezwykle powycieranym płaszczu ze śladami kredowego

i wapiennego pyłu na plecach, połach i rękawach. Człowiek ów stał przez chwilę wyraźnie zaskoczony, ale bynajmniej nie przestraszony, i patrzył w moją stronę spod przymrużonych powiek, jakby badając, czy to, co zobaczył, jest złudzeniem tylko czy prawdziwym widokiem.

Wuj Jan, sam wuj Jan, mój ongiś ulubiony, teraz zmieniony, zapuszczony dziko, ale on sam, przybywający z głębokich moich pokładów pamięci, z tamtych dawnych czasów, gotowy, spięty, krzaczasty, machorkowy, niedźwiedzi. W sile wieku, o bladej, dość szlachetnej i wciąż młodej twarzy, z brodą, z chuchem potężnym, zwałającym z nóg. Trzydniowe brandy, coś jeszcze, krupniczek? W rękę trzymał małą cygaretkę, a na palcu jego prawej ręki lśnił srebrny sygnet z wygrawerowaną literą, której nie mogłem dojrzeć w mroku. Jakaś aureola wokół niego jaśniała, brzęczała. Był najwyraźniej trochę pijany i trochę upodlony – chwiał się lekko, a płaszcz, choć z drogiego i delikatnego materiału, wyglądał, jakby wuj przespał w nim niczym w pościeli niejedną noc w tym miesiącu. Pomimo to jednak w spojrzeniu miał kpiarski błysk, figlarny i cyniczny biglik. Ryknął: Witam! No proszę, proszę, kogo moje oczy widzą, cóż to za łaska nas spotyka, że jaśnie pan nas nawiedza! Proszę, proszę! I podszedł, ręce rozłożywszy, ścisnąć mnie zaczął, że dech mi odjęło.

No i co, u Babki byłeś? Załatwiłeś sprawy? Nie? Już ci powiedziała, kto do niej przychodzi? Nie? Co taki wystrachany?

Nagle jego twarz, do tej pory wesołkowata, nasrożyła się, zmarszczył krzaczaste brwi i przesadnie akcentując, z teatralnym grymasem, zaczął przemawiać tonem groźby, jakby chciał nastraszyć niesforne dzieci. Myślisz, że nie wiem, co oni chcą zrobić? I ty razem z nimi? Nie boję się ciebie, słyszysz? Zapamiętaj sobie, strachy na lachy! Nie dam się zastraszyć ani tobie, ani tym twoim, co cię przysyłają, a już na pewno się nie dam temu staremu wariatowi z góry! Ha, rozumiesz? Nie dam się zaskoczyć! Co tam knujecie, co? Słyszysz!? Tu machnął ręką, robiąc przy tym jakiś dziwny wywijas, jakby skręcał w powietrzu ósemkę, i uśmiechnął się, pokazując zęby. My tu takie cuda wykręcimy, bracie, rozumiesz, że wszystkim oczy z orbit, rozumiesz, powychodzą, ha! Sam teraz zaczął się świetnie bawić swoją własną myślą. Chodź, oprowadzę cię, zobaczysz, co robimy, tylko ćśśś, ani słowa tam na górze – przyłożył do ust palec, a potem machnął ręką nagle poirytowany. A zresztą, ha! Nasermater!

Spojrzałem za niego: w piwnicznym pomieszczeniu świeciło się światło i panował ruch, jakieś postaci pracowały i przemieszczały się z kąta w kąt. Lecz nim ruszyliśmy, spojrzał jeszcze na mnie na pół surowym, na pół rozbawionym wzrokiem: Ale że tak, wybacz, tak cię tu przyślą, tego bym nie pomyślał, he, tylko się nie przezięb, ha ha. Nie żebym coś miał przeciwko, ale na goło? Ha ha ha! Fantazja, fantazja! No, znajdzie się coś zaraz, zaczekaj. I wszedł do mieszkania nad piwnicznymi schodami, gdzie mieszkał. Tam z szafy potężnej, skrzypiącej

i ciemnej wyrwał kozuch wielki, usmarowany, tłustawy, śmierdzący serem kozim. Założ, nu, nie marznijże.

A teraz chodź, pokażę ci moje państwo, powiedział. Wszedłem za nim do kuchni przestronnej, buchającej parą, ludzi pełnej kręcących się, uwijających, mieszających i krojących, dziwnych, kosmatych, w łachmanach, śmierdzących, pokrytych szczecina, często długowłosych, spomiędzy których trudno było nawet odróżnić, kto jest kobietą, a kto mężczyzną. Te dzikie twarze wykrzywiały się do Wuja w zabójczym, bezzębnym uśmiechu uwielbienia, z za którego przebijała jednak nieszczerłość. Chodził pomiędzy nimi w czarnym płaszczu i baraniej czapie, pokazując i pokrzykując.

Obierano buraki i ręce pracujących pokryte były całe, tak jak ich twarze, ubrania i ściany, buraczanym sokiem, jakby to była jakaś potworna rzeźnia zbryzgana krwią zarzniętych bydła, nielegalna ubojnia lub świątynia, w której dokonywano ceremonii składania ofiar z niewinnych baranków. Tu barszcz kisimy, barszcz, rozumiesz, prawdziwy, ponad sto słoików!! – zawołał Wuj mój. Czosnek, chleba skórka razowego, sól – takiego smaku nie znajdziesz! Obok trwała obróbka kapusty do kiszenia – unosił się duszący i powalający smród kapuściany, na szczęście i tak będący perfumą w porównaniu z zapachem wydzielanym przez pracujących przy niej tubylców. Wszyscy ci ludzie teraz siedzieli wokoło wielkiej drewnianej balii, przy krajalnicach i szatkownicach, a wokół nich, w ciemnych kątach piwnicy, wznosiły się wielkie stosy kapuścianych głów, przynoszonych tutaj co chwilę wiadrami przez inne brudne, zarośnięte postaci. Stosy kapusty wokół wyglądały jak odcięte i blade, usypane w kopce ludzkie głowy, a cały loch przypominał salę podziemnego jakiegoś ossuarium, miejsce rytualnej śmierci, gdzie w poświęconej zagładzie kaplicy składano jakiemuś potwornemu bożkowi monstualną ofiarę. Każdy z siedzących brał po jednej głowie i przepuszczał ją przez szatkownicę, krojąc na białe, drobne strzępy, które wystrzelały jak konfetti prosto do balii. Tam odbywał się rytuał deptania poszatkowanej kapusty i dzikie postaci z radością i wrzaskiem odprawiały swój bosy, orgiastyczny taniec, deptając czarnymi, zarośniętymi skorupami brudu kapuściane trociny jak mokrą morską trawę.

Co, zdziwiony? Chodź, nie bój się, pokażę ci, co się tutaj dzieje, ha, dopiero zobaczysz cuda, ha, nie takie rzeczy potrafi Wuj wymyślić!

Warzono bigos w kotłach ogromnych, dymiących, mieszano go wielkimi warząchwiami, wrzucając weń wiadra kapusty, boczku i kiełbasy, jakieś ścinki i zlepki, obierki i ścierki. Ha, nawet nie wiesz, co tam jest, rzekł Wuj mój, wskazując gar, nie wiesz, co my tam mieszamy. Buchała para, nasiąkały kozuchy i dresy pracujących w milczeniu. Smrodliwe wyziewy stały w kuchni niby zasłony, kiry, kurtyny z ołowiu. Obok kapusta z grochem, potem stolnice pierogów, mąka w powietrzu, gołąbki, sznycle, gdzie indziej mielono mak na kutię, oblizywano

palce.

Tymczasem on sam, Wuj mój, rozpromieniał się coraz bardziej i ręce jego wykonywały szereg młynków ponad moją głową i ponad głowami pozostałych. Chodź, zawołał, oprowadzę cię po tym królestwie. Tak, królestwie! Dlaczego nie mogę być jak król? Ha ha! Popatrz, wszyscy tu pracują dla mnie, dzięki temu żyją, nie staczają się, rozumiesz? Pytając, znowu przybrał srogi wygląd, a jego usta zwęziły się w śmieszny trąbkę. Co by się stało z nimi beze mnie? Zgniliby do reszty pod tymi swoimi śmierdzącymi szmatami albo robaki by ich zeżarły. A tak mogą zjeść, wykąpać się od czasu do czasu, ale nie za często, bo by mi zupełnie zapaskudzili łazienkę! Ty wiesz, co oni potrafią narobić w łazience? Nie wyobrażasz sobie nawet! Zrobił małpią minę, nadymając policzki. Gdyby tylko chcieli się myć, ale sami nie chcą, świntuchy! Dobrze im tak, w tym smrodzie. Daję im jakieś drobne, a do tego mogą się napić. Każdy człowiek ma prawo! A oni są nieszczęśliwi, rozumiesz, jak ja.

Tu głos mu się załamał, a oczy zaszkliły niespodziewanie. Nieszczęśliwi! Są w porządku, może trochę rozrabiali, ale każdy ma prawo do błędu. Ha, są też i gorsi, którzy siedzą tam – tu machnął ręką ku górze – i wszystko im wolno, i nikt ich z domu nie wyrzuci. Nikt nic nie powie! Jedną ręką, tą z sygnetem, zaczął wygrażać. A ci tu są bezdomni. Przerwał na chwilę, sięgając do kieszeni po małą, płaską buteleczkę wódki zwaną piersiówką. Napijesz się? A, zapomniałem, ty nie możesz, hi hi. Po czym pociągnął łyceczek i powiedział: Wiem, że mnie okradają, dranie, muszę się mieć na baczności, oszukują mnie przy każdej okazji, ale co tam! Oszukujecie mnie, co?

Krzyknął do przechodzącego właśnie z wielkim zakurczonym słojem w ręku człowieczka o twarzy gronostaja, z drobnym wąsikiem i szpiczastymi uszami, o czarnych, ruchliwych oczkach, biegających wbrew twarzy i na przekór fizjonomice. Człowieczek chudy, a jeszcze utykający lekko, na te słowa zatrzymał się, zamrugał powiekami, jego oczka zakręciły się ryzykancko, wypuścił je na boki, jakby rozglądając się, ale bezładnie, pozorancko, po czym powoli, jakby w zwolnionym tempie, odłożył słój na ziemię i rzekł z poważną miną, spuszcżając głowę, z gorejącymi uszami, jak ktoś przyłapany na wybijaniu okna: Ależ panie Wuju! Obraziłem się teraz! Obraziłem się, to pomówienie! Ja – nigdy w życiu! Czy kiedyś pana zawiodłem? Mam sobie odejść? Oczy jego tymczasem zaraz koło uszu, koło rzadkiego włosa, gdzieś na kark spod brody zaglądały, wychylały się, żarząc się i gorejąc.

Nie, nie, żartowałem, w porządku, Fifak, w porządku, powiedział Wuj mój. No, chyba się nie pogniewasz? Zanieś ten słój do kuchni i wyczyść go dokładnie, nie może być taki brudny, do cholery! Tamten wciąż jeszcze z obrażoną miną powoli podniósł słój z podłogi i minął nas bez słowa, jakbym był dla niego niewidoczny, choć oczka jego wyglądały za mną czas jakiś, na karku, zza

kołnierza. Kiedy przechodził obok pozostałych włochatych postaci w kierunku wyjścia z piwnicznego schronu, krzyknął piskliwym głosem: No co jest, do roboty, nie obijać się! Myślicie, że pan Janek ma za dużo pieniędzy? Za darmo tu jesteście, darmozjady? – wołał, łypiąc przy tym zza ramienia w stronę Wuja, który już ciągnął mnie dalej.

5

To był Fifak, złota rączka, kuzyn nasz przecież, daleki, bo daleki, wziąłem go do siebie, bo wszystko potrafi zrobić, pomalować, pozmywać, ugotować. Kiedyś pracował w restauracji „Lunopol”. Naprawi wszystko. O, złota rączka! Każę mu na przykład zawiesić firanki – zawiesi. Wyobrażasz sobie, że ja będę skakał jak małpa po tych karniszach? Człowieku! Przecież bym kark skręcił! A jeszcze te żabki, przecież ja ich nie widzę w ogóle! A ten jak szympans, jedną ręką wisi, a drugą coś tam grzebie i zawiesił! Trochę krzywo i do góry nogami, ale pal diabli! Nikt mnie nie będzie sprawdzał, w którą stronę zawiesiłem firanki! Rozpromienił się i aureola jakoś zaiskrzyła bardziej, barani kozuszek jego czapki począł mnie strzelać iskrami, a kozuszek mój dalejże mu odpowiadać: najeżył się, a że do środka był, a ja goły byłem pod nim, przyspieszyłem kroku, potańcowując nieco obok Wuja.

Wuj tymczasem dalej: On nieszczęśliwy, pecha ma straszego! Matka kocha go bardzo, ale stuknięta mocno, z kochaniem przesadza, za granicą siedzi, listy pisze, jeszcze go denerwuje. Rysuje jakieś tam banialuki, a to gdzie mieszka, a to z kim, a to drzewo, a to ptaszek, a to jesień w płaszczu z liści. Tylko w głowie miesza, dobrze, że do koperty pieniądze czasem wkłada. No, trochę narozrabiał może, ale to nie powód, żeby go potępiać! Ha, wyobraź sobie, co za perfidia. Na studiach był i nie był, zawód ma i nie ma, żonę miał i nie miał, bardziej nie miał, no i zaraz źle o nim mówią, źle, że z kolegami łązi, coś kombinuje. Trochę gra i przegrywa, trochę może pechowy. Że niby kradnie babce rentę i meble sprzedaje z domu, wynosi biżuterię! Tu zrobił minę groźną. I do mnie nachyla się, strzeliwszy barankiem mnie w kozuszek, i mówi: To prawda. Miałem w związku z nim plany, wiesz, ale chyba się nie nadaje. Odskoczył trochę, popatrzył, barankiem strzelił. A co, prawda czy nie prawda? I z buteleczki cyn cyn, gulgut.

Ciotka go nie lubi, a on cały czas przy babce siedział i jej zupki gotował, chodził po zakupy, bo stara już z domu nie wychodziła i trzeba było jej pilnować, żeby chałupy nie spaliła. Na pieniądzach się i tak nie zna, to po co jej ta renta – jeszcze pójdzie i pomyli wszystko, dziesiątki z setkami, oszukają ją sklepowe. Tylko przecież na to czekają. Przychodzi taka staruszka i tu złotówkę za mało wydadzą, tu policzą złotówkę za dużo, tu niby pomogą uzbierać drobne, a potem nagle nie ma pięćdziesiąt złotych, a babcia poszła po ćwiartkę chleba i litr mleka!

Ha! Łyknął znów z piersióweczki, popatrzył chwilę smętnie przed siebie,

jakby wyczerpała mu się na sekundę ta gorączkowa, alkoholowa energia, która wprawiała go w ciągłe podekscytowanie, w stan dziwnej, oszalamiającej euforii. Ale za chwilę znowu zaczął z niesłabnącym zapałem: Jasne, że sam za każdym razem sobie coś za zakupy doliczył, może coś i babci odebrał, na pewno odebrał, może jakieś rupiecie z domu powynosił. Mnie przynosi różne rzeczy, prawie za darmo, starej niepotrzebne; zegarki, lornetkę, ciuchy, garnki – popatrz, jaką mam czapkę! To mówiąc, zdjął z głowy baranka, aż łój kapnął na ziemię, mole wyroiły się szarańczą i chmarą i iskry szły, aż mnie zwarcie jakieś do tańca przymusiło i prysiodów. A ty co tak frygasz? Nerwy, co? Wiem ja coś niecoś... – mruknął, w czapkę dłonią strzelił. Z czapki tymczasem zaraz znów wyfrunęły przeróżne owady, ćmy, nocne motyle, wąskoskrzydłe truposze, przezroczyście majaki i duża, tłusta, czarnozielona mucha połyskująca złotym odwłokiem, brzęcząca potem grubo, natrętnie wokół wszystkich, w kątach, nad głową i pod powałą. Trochę stara, ale wiesz, jaka ciepła, ha, bracie, śpię w niej, kiedy jest zimno.

Ale zawistni są, bo sprawa ważka. Nachylił się do mnie. Ważka. Chuchnął. Koniaczek, berbelucha, nalewka babuni. Nacisnął czapkę na głowę i pociągnął mnie za sobą. Obok, w sali wielkiej, oświetlonej na złoto, z fototapetą przedstawiającą bitwę pod Grunwaldem, mnóstwo ludzi, pracowano. Większość z nich zajęta była zbijaniem czegoś z desek i szczap drewnianych, służących do palenia w piecu, z kory i różnych drewnianych ścinków, z wiórów i deszczulek, nóg stołowych, kredek, drewnianych ekierok, pilastrów, sklejk ze starych meblościanek, tarcicznych płyt, warząchwi do zup, kijanek do prania, plastikowych rur od odkurzacza, ram do obrazów i wszelkiego rodzaju tandety, szczątków, odpadków, dupereli. Posługiwali się młotkami, gwoździarnami, śrubami, pilnikami do paznokci, taśmą klejącą, pistoletami na silikon, śrubokrętami i wyciskarką do czosnku, hałasując przy tym i przeklinając z zapałem. Pracowali przy tym jedynie pozornie, waląc przesadnie mocno młotkiem obok gwoździarny, sklejkając niedokładnie, krzywo i bez sensu, mocując byle jak, wiążąc zbyt lekko, skręcając na niby. Udawali pracę i zaangażowanie, ale w rzeczywistości wszyscy fingowali, trzaskając na potęgę i robiąc wrażenie wytężonego wysiłku i skoncentrowania. Lecz kiedy tylko Wuj mój nie patrzył, przestawali natychmiast i na twarze wyłaził im zaraz liszaj lenistwa, wielki i obleśny.

O, a ten w tych szmatach, tam, pod ścianą – powiedział ciszej, wskazując na ospowatego olbrzyma z twarzą hieny, z wyjedzonymi wielkimi dziurami w miejscu policzków i rękami w sinoniebieskich tatuażach – śpi teraz, dobrze, że nas nie widzi, to Maniutek, tak go nazywają. Pozwalam mu tu przychodzić czasem coś zjeść, ale lepiej go nie budzić. Jest pijany, a jak pije, to straszny z niego zwierzak, sam się trochę go boję, chociaż do mnie jakoś nigdy nie startował. Podobno zjadł żonę – nie mam pojęcia, czy to prawda, ale na pewno był już kilka razy w więzieniu. Kilka razy już go też powiesili, ale coś nieskutecznie. A tam Grażyna,

ale mówią na nią Żyła – wskazał na kobietę siedzącą ze zwieszoną głową obok Maniutka, w podartych rajtuzach i niezwykle brudnej, różowawej kurtce, spod której wystawał dres w niebieskie paski. Coś bulgotało jej w twarzoczaszce, od czasu do czasu potrząsając całym ustrojem. Podobno ma dwoje dzieci, ale zabrało je ufo, tak mówi.

Kobieta z wolna uniosła głowę i potrząsnąwszy rzadką grzywą w kolorze szarego papieru, zawołała, prezentując przy okazji trzy ostatnie zęby: Ej, proszę księdza, daj się coś napić! Ej, księżulo, nie bądź świnią! A potem głowa jej opadła, przez moment mocowała się z nią, kręcąc się niemrawo w miejscu, ale ciężar okazał się nie do pokonania, więc zrezygnowana zsunęła się na podłogę ze skrzynki, na której siedziała. Weźcie te skrzynkę! – zawołał Wuj mój – przyda się!

Potem znów do mnie: Tak, tak, niektórzy mają mnie tu za księdza, nie dziw się. Hi hi! Chuchnął potężnie. Ale nic to!

Ten tu to Redaktor – wskazał za chwilę przykrytego kupą czarnych śmieci neandertalczyka z głębokimi jamami oczodołów zarośniętych wielkimi, krzaczastymi brwiami, spod których mrugały oczka złe i okrutne. Siedział, skręcając drutem dwie rurki od odkurzacza i jedną dłuższą rurę PCV, z tych, których zwykle używa się przy montażu toalet. Tak go nazywają, kiedyś był redaktorem lokalnej gazety, tropił afery, korupcja, romans, mezalians, awans, melanż i molestacja, pieniądze na parapecie, nie wiadomo, tak mówią, od niego nic się nie dowiesz, bo przez denaturat wypadły mu zęby, hi hi. Może kiedyś przemówi, co, Redaktor? Może zapisze to wszystko i w prasie poda, co tu się działo.

Dalej, popatrz, tych dwoje: nie wiadomo, jak mają na imię ani skąd są, dzieci ulicy, do tej pory mieszkali ponoć na dworcu, ale nie wiem, czy to prawda. Pozwoliłem im tu przychodzić pod warunkiem, że będą się zachowywać przyzwoicie! Znów zrobił buzię w ciup i groźną minę. Zrozumiano?! Huknął na tamtych, którzy patrzyli na niego wodnistym wzrokiem, bez śladu zrozumienia, ubrani podobnie – na głowach wełniane czapki, grube, potargane swetry ze strzępami wiszącymi u rękawów i poplamione tysiącem plam spodnie, do tego sandały. Siedzieli na ziemi, stukając młotkami w rozlatujące się kartonowe pudło i próbując przybić do niego zardzewiałą tablicę rejestracyjną jakiegoś pojazdu. Podobno ona zabiła dziecko, urodziła i zabiła, cztery razy, a on pedofil, ale ja nie wiem, tak mówią złośliwi.

Niezła menażeria, co? Hi hi. A tutaj pani doktor, duża kasa, łapówki od chorych na raka, hi hi, albo inne głupoty. No i córka narkomanka. Mówimy na nie Patologia i Biologia, bo strasznie przeklinają. Patologia tymczasem siedziała pod ścianą, pijąc ze słoika jakąś ciecz nieprzeźroczystą, żółtą. Jej oczy, tego samego koloru i konsystencji co ciecz owa, zdawały się zupełnie nieobecne, a głowa ze skłębionymi, skołtunionymi włosami, wijącymi się w coś na kształt węzłów,

splotów meduzich i grubych grud, pomazana była żelem jakimś naturalnym i poruszała się rytmicznie w dziwnym transie. Kobieta siedziała opatulona w kostium szary z dodatkami burymi; botki giętkie, płaski obcas, onuce, rajtuzy i zapach uderzeniowy, który naszedł nas nagle i naparł całą siłą, od czego cofnęliśmy się cztery kroki, a potem jeszcze sześć. Zajęta była zdrapywaniem starego kamienia osadzonego na ściankach słoików, których pokaźna bateria stała w pobliżu na ziemi. Obeszliśmy ją szeroko, przechodząc niskim przejściem, jakby wykutym w ścianie, do następnego lokalu.

O, a teraz popatrz, tu mam kolekcję polityków, hi hi. Jakoś nie mogli znaleźć sobie miejsca. Nie było miejsca dla ciebie! Muszę napuszczać Maniutka na nich, bo biją się lub znieważają, a nie będzie tu żadnej sodomii, póki jestem! No, może troszkę, co? Uśmiechnął się zębem, strzelił barankiem, aż zatańczyłem. Co, nerwy, nie możesz się doczekać, co? Zaraz, zaraz będzie wszystko, po kolei, dowiesz się. Takie jest życie! Byle mi się tu nie namnażali. Krzyknął, rozkładając ręce. A z nimi, proszę, prawnicy; pani adwokat. Może teraz jest i kurwą, ale nie aż taką, jaką była wtedy. Hi hi! Za nią pan radca, nie wiem, czemu taki pobity wciąż, co dzień ktoś mu da w ryj.

A tutaj, dalej, proszę, proszę! – prowadził mnie do następnej słabo oświetlonej komnaty – tutaj mam byłego księdza – jak tam, księżulku, w porządku? He he, musi być w porządku, bo trochę sobie łyknęliśmy razem, prawda? Lubię z nim rozmawiać. Spieramy się o dowody. I o dogmaty. I o świętopietrze. A obok pani Elżbieta, nad którą się znęcał jej własny małżonek, niegdyś była pielęgniarką, zanim wreszcie została naszą obywatelką podziemnego państwa! Ha! Co tam, pani Elżbieto?

Pani Elżbieta tymczasem poruszyła się, potrząsnęła stosem szmat, który stanowił jej ubranie, i zaczęła przemawiać głosem wieszczki, rzucając obrazy losów przyszłych i straszliwych kar mających nadejść, wykrzykując klątwy pod adresem Najświętszej Pani i przekleństwa dotyczące Syna Jej. Kiedy się poruszyła, spod stosu szmat, w którym przebywała, czmychnęły wprost pod nasze nogi, a potem gdzieś w bok jakieś czarne, szczuropodobne cienie.

A obok siedzi były policjant, ale śmierdzi. Tam dalej sprzątaczką, stróż nocny, dwóch murarzy, a w tamtej sali mam, wyobraź sobie, pisarza, nawet dwóch, i jeden ma wciąż ze sobą książkę, którą kiedyś mu wydali. Najgorsi są, dlatego siedzą z działaczem sportowym i telewizyjną presenterką!!

Mam tu wszystkich, tak zwane drugie pokolenie!! Ha! – powiedział, po czym znowu łyknął ze swojej piersióweczki. Dalej mam jeszcze mechanika, cukiernika, kominiarza, sprzedawczynię sklepową, dwie panie z biura Spółdzielni „Lunopol”, kadrową i socjalną, która wykradała pieniądze z kasy zapomogowej. Dwieście sześćdziesiąt pięć tysięcy! Rozumiesz? Dalej byłego kierowcę autobusu, tirówkę, elektryka, tokarza, mleczarza, trzech rolników, traktorzystę i operatora

dźwigu, kolejarza, który przejechał na torach człowieka, samobójcę pewnie, ale kiedy go zbadali, wyszło, że on, maszynista, miał we krwi dwa promile! Ha ha ha! Mam nauczycielkę chemii i żonę oficera, a także dwóch kaprali i majora. Przychodzą też czasem dwie miastowe z lupanaru, profesjonalne prostytutki, ale już tak stare z nich próchna, że nikt się za nimi nie ogląda, chyba że się ich przeleknie, hi hi!

Sam nie wiem, kogo mam tam jeszcze, niektórzy przychodzą raz albo parę razy, a potem znikają i pojawiają się znowu po miesiącu lub dwóch, jak ich przyciśnie bieda. Ale i tak mniej więcej wiem wszystko o wszystkich, bo pozostali mi zawsze powiedzą, co nowego w podziemiu. Ha, mówię – królestwo, ale sam zobacz – mam siedem piwnic w tej kamienicy, a potem zejścia w dół, dalej, dalej, głębiej.

Kiedy tak mówił, machając rękami, zatrzymując się co chwilę, krzyząc i plując z przejęcia, mijaliśmy kolejne sale i niemal w każdej trwał ruch, ktoś coś gotował, zbijał, zszywał, ścierał i obierał. Potem zeszliśmy w dół, przez piwnice wypełnione słojami kiszonych ogórków, ustawionych w kartonach pod ścianami i opalizujących na żółto i zielono.

Mamy też przebicie przez ścianę do sąsiedniej kamienicy, a potem następnej i tak dalej, przez całe miasto! Nie wierzysz, to cię zaraz oprowadzę, możemy przejść, jeśli nie piwnicami, to tamtymi starymi lochami albo kanalizacją jeszcze z zeszłego wieku, albo ponemieckimi schronami po Hitlerze, a jak nie, to wreszcie przeciwartomowymi, po komunie, pod dworzec, pod ratusz, do piwnic bankowych, pod wszystkie urzędy, do przepompowni ścieków, do wszystkich wodociągów, do elektrowni, gazowni, kotłowni, wszędzie tam, gdzie oni się gnieźdzą – cała ta swołocz, całe to nieszczęsne stworzenie, rozumiesz? Zaśmiał się głośno, teatralnie, a potem znów nachmurzył jak mały chłopiec grający w jasełkach srogiego Heroda.

Ja mam to wszystko! Mam pozwolić im zgnić do reszty? Idąc tędy, dojdiesz do cmentarza, wiesz, że wielu mieszka w cmentarnych grobowcach? Tam zwykle mają przynajmniej sucho, powyrzucali kości z trumien i śpią tam, ha ha! Jak nieboszczyki! A jak przychodzą tu, dają im robotę, bo gdyby nie to, to przecież by kradli albo by się pozabijali! A tak mają łazienkę, mają co jeść i mają zajęcie, żeby im się głupoty głowy nie trzymały! Jakoś żyjemy! No i najważniejsze, pozwalam im się napić! He he, dają jakieś drobne za tę robotę, mogą sobie kupić albo czasem sam stawiam! Urządzam bal! Rozumiesz? Największy bal w całym mieście, z tańcami, świetnym jedzeniem jak z restauracji i wódką! Ze śpiewaniem! Ha! Trzęsie się wtedy pół miasta! Hi hi – zaśmiał się, rozlewając wokół trochę wódki ze swojej buteleczki, którą wyczyniał w powietrzu młynki i ryzykowne, barokowe akrobacje.

Ale to państwo prawdziwe! Wiesz, ile trzeba się nakombinować, żeby nad tym zapanować, żeby w ryzach utrzymać? Na szczęście oni wszyscy są uzależnieni, to jest łatwiej, hi hi. Ale poważnie – przecież muszę mieć jakiegoś zaufanego, jakiegoś przydupasa, jak to mówią. Kogoś, kto wszystko mi powie i przypilnuje, i zorganizuje robotę. Dlatego Fifak jest najlepszy, Fifak jest niezastąpiony. Poza tym on ma, o dziwo, jakiś wpływ na Maniutka, a Maniutka wszyscy się boją. Fifak jest moim, rozumiesz, pierwszym sekretarzem, a Maniutek to ZOMO.

A ja rządzę, rozumiesz? Ale niedługo już potrwa to wszystko. Popatrz. Podsunął mi pod nos pierścień swój, sygnet, na którym kruk wygrawerowany krakał i skrzydłami trzepał. Czapkę podniósł i dałbym głowę, że kruk spod niej czarny wyleciał i zaczął krakać nad nami, gdzieś pod sufitem, pod sklepieniem,

a może nietoperz. O ile istnieją tak głośno kraczące nietoperze.

Mijaliśmy duże, śmierdzące, poruszające się w równym rytmie i chrapiące potwornie barłogi z gazet, szmat, kawałków śpiworów, kołder i poduszek, w których zagrzebani spali ich mieszkańcy. Potem znów wchodziliśmy w uderzający nas w twarzę odór alkoholu, tak silny, że w gęstym powietrzu ciężko nam było przejść, i widziałem, jak na czoło Wuja występują drobne krople, nie wiadomo, czy z wysiłku, czy to może opary wódki skraplały się, przechodząc w zetknięciu z jego trupio zimną skórą procesy fizykalne.

Gdzie indziej znów klecono coś i spajano, zlepiano i sztukowano, dołączając do siebie wciąż nowe fragmenty jakiejś większej, lecz zupełnie niewiadomej całości. Łączono w pary drewno z papierem, kamień z folią, plastik ze skórą, żelazo z tkaniną, zardzewiałe puszki, zepsute zabawki, połamane krzesła, rozczłonkowane lalki zbijano przemocą w całość, żeniono kabel z kołnierzem płaszcza, opakowanie po serze z wyszczerbionym grzebieniem, mydelniczkę z deską, tworząc jakąś nową jakość, nową syntezę zbudowaną z antyciał, konglomerat właściwości, całość z odprysków materii, ze śmieci świata. Zepsuty rowerek brał zaślubiny z fotelem, konewka – z pudełkiem po jogurcie.

Potem znów szliśmy galeriami w zupełnej ciemności, a wtedy Wuj mój wyciągał z kieszeni latarkę i świecił przed siebie, machając nią tak, że snop światła chybotał się na boki, skakał po ścianach i suficie jak szympan, tańczył młynka przed nami, zostawiając w czarnej zupie mroku znikające ogniste smugi, drgał i pełgał po węglach, odbijał się od belek stropu, od kamieni średniowiecznego sklepienia, pełził po posadzce, przebiegał wte i wewte granitowe ciemności niby błyskawica nieboskłon. Im więcej Wuj mój mówił, tym bardziej szalony zdawał się ten taniec światła, ten latarkowy kozak, zdyszany i rozgorączkowany. Ale ja tańczyłem obok także, bo elektryzował kożuszek, baranek strzelał, popędzając mnie w kroku i przymuszając do kozaka, do kołomyjki, do mazura.

Za chwilę wchodziliśmy znów w miejsca oświetlone świecą lub słabą żarówką, jakąś lampką nocną zamontowaną tu nieznanym sposobem przez potrafiących podpiąć się do najbardziej zabezpieczonej i strzeżonej puszki z prądem tutejszych pajęczarzy, złodziei energii i światła, takich, co mogliby cały lunapark otworzyć tu, w podziemiach.

Byliśmy w ogromnych podziemnych salach, w których głos Wuja mego odbijał się od ścian, zwielokrotniony echem, jak stado oślepionych światłem nietoperzy, i rozsypywał się w gromkie pohukiwania, upadające na nas jak grad grochowych kulek. To są podziemia ratusza, powiedział, nad nami stoi cała ta budowla.

Kiedy opowiadał, wyobrażałem sobie nad nami nawę tego architektonicznego trampa, postawionego wielkim wysiłkiem miasta wytworu marzeń o wielkowiejskości i renesansie, falsyfikatu, który nadawałby miastu sznyt

i powagę, który by je upodabniał do pocztówkowych krajobrazów. Takich podkolorowanych, które można było kupić niekiedy w kioskach sprzedających wszystko, upominki i pamiątki przywożone czasem przez turystów wracających z wycieczek do pięknej Italii i które rozwijały się na kolanach jak harmonijka. Rajcowie miejscy dawno postanowili zbudować miastu prezent i wielkim kosztem postawili ratusz będący fantazją na tematy włoskie, imitacją i podróbką florenckiego Palazzo Vecchio, nadający miejskiej demokracji dostojność przez samo przypomnienie w architektonicznej kresce tamtej tradycji miasta-państwa, gdzie rajcy byli pierwszą oświeconą władzą i ostateczną instancją. Ów farbowany lis, murowany koń trojański, wprowadził do miasta w swoim wnętrzu również całą sforę złodziei i oszustów, którzy łupili mieszczan już od kilku wieków. Budynek, wielki, kanciasty, przyciężkawy, prosty i bez ozdób, twór ambicji i rzemieślniczej wprawy był gdzieś nad nami, a my w ciemności pod nim, w świetle aureoli, latarki i żółtych ślepi w kątach pod ścianami.

Dwa, trzy kroki jeszcze, dokąd idziemy, cóż to za bies? Zrozumiałem już dawno, że moja kondycja dziwna, na wpół duchowa, sprawy nieważkości mojego ciała, wstyd odczuty przez tę bosą podróż w tłumie ludzkim, całe to uludne podobieństwo i nieczytelna znajomość pomieszczeń, ludzi, sprzętów, mebli były ze snu, były tak zwyczajne, jak to tylko możliwe, były produkcją zmęczonego umysłu, który pograżał się w niezgłębione korytarze mnożących się uliczek własnej wyobraźni i produkował zdarzenia w nieskończoność, żywiąc się całym przeszłym doświadczeniem, wszelkimi głosami zapamiętanymi z dawna, ze spraw dzieciństwa, z epoki sprzed świadomości, z ciemności, sprzed mowy, wzroku, dotyku, zrozumienia.

Stąd moje miasto, nierealne i olbrzymiejące, płaczące się i rozwidlające fantastycznymi rozgałęzieniami, budynkami, parkami, nieistniejącymi warstwami i wytworami lęku, strachu, pragnień i żądz. Stąd wszystko, ale dokąd, dokąd, dokąd? I dlaczego, jak marionetka poruszana dziwnym tchnieniem, idę? Nie uciekam?

Wuj mój zatrzymał się, ręką machnął, kroplę uronił, z baranka błysnął. Ja zatańczyłem w koło, piruecik, przytup. Znaleźliśmy tu niezłe skarby, wyobraź sobie, zawołał, a w ciemnościach pod sklepieniem poderwały się z trzepotem do lotu jakieś głupie szeptania i stare śmichy-chichy. Lochy były pełne papierów, tajnych akt i dokumentów, których komuna nie zdążyła spalić, a także wcześniejszych, niemieckich, legitymacje partyjne i zdjęcia, donosy i poufne zeznania.

O, popatrz tylko, chodź no, poświecę, powiedział gromko, a potem czapkę zdjął i iskier stos, i łuna włosów jego oświetliły pełne papierzysk kartonowe, zapleśniałe nieco pudła z napisem „Lunopolis and Co.”, stojące na regale metalowej konstrukcji, wysokim tak, że jego górne kondygnacje, osnute pajęczym i nietoperzym skrzekiem, ginęły gdzieś w mrokach pod sufitem. Schowali to przed ludźmi, ale i tak się do tego dostaliśmy, na przykład taka teczka – sięgnął do pudła i zamieszawszy w papierach, wyciągnął jedną z szarych, tekturowych aktówek, zasznurowanych poźółkłą już wstążką. Więc tak, myślę, tam na górze Italia, a tu kancelaria, tam Italia kanciasta, ciężka, niemiecko-śląska, a tu kopalnia, trupiarnia i męczarnia, ale gotycka, strzelista, zagadkowa, nie grobowa. Na górze pomnik grobowy, na dole grób gadający, ruchający się. Zwierciadło, w które miasto wpadło.

Co my tu mamy... o właśnie – z teczki wysypały się kartki zadrukowane maszynowym pismem, kartki zapisane długopisem i piórem, karteluski i świstki, kwitki i rachunki kręcące się teraz w powietrzu jak białe kolibry. O, zdjęcia na przykład.

Fotografie, czarowna moc fotografii zatrzymującej chwile ulotne i zamieniającej je w posąg marmurowy, bo każdy fotograf jest szpiegiem, złodziejem i tajnym agentem: na pierwszej widzimy ramę okienną – a zdjęcie robione z daleka, z okna przeciwległej kamienicy, więc nie bardzo wyraźne, choć sprzętu użyto drogiego, zagranicznego pewnie – w ramie natomiast widać mężczyznę w sile wieku, w marynarce od munduru barwy nieokreślonej i z niewidoczną dokładnie rangą, jak w kalesonach wojskowego kroju i z żelazkiem w ręku prasuje spodnie na desce rozstawionej na środku pokoju. Na drugim zdjęciu ten sam prawdopodobnie mężczyzna, wąsaty, ujęty nieco z profilu, pasjansa układa przy stole niedaleko okna, nadal w kalesonach, a tymczasem spodnie wiszą na oparciu krzesła. Na tym zdjęciu widać także fragment drugiego okna, a przez nie kawałek ciemnego płaszcza, nieco rozmazany, zatrzymany w ruchu, i spod tego płaszcza błyskający kobiecy bucik. Na trzecim zdjęciu widać całujących się na przywitaniu namiętym pocałunkiem: jego, wciąż w kalesonach, najwyraźniej zaskoczonego tak wczesną wizytą (gwałtownie odsunięte krzesło leżące na środku

pokoju, rozsypane karty), i ją, w ciemnym płaszczku z karakułów i małym toczku na głowie, podtrzymującą ręką czarną siateczkę na włosach. Czarna torebka rzucona na stół. Potem on sięga do kredensu po kieliszki i butelkę szampana, ona zaś sięga, ech, gdzie ona sięga, zamazane zdjęcie, brak ostrości, ziarno jakieś. Następne zdjęcie ukazuje tę samą parę, przy czym wyraźnie widać twarz oficera, rozpromienioną, zwróconą w kierunku okna, lecz z przymkniętymi lekko powiekami, i klęczącą przed nim, tyłem do obiektywu, wciąż w toczku na głowie, kobietę. On toczek miętosi, jego ręce w toczek wczepione, a jej ręce co? Niewyraźnie, zła ostrość, ach, fotografia, sztuk królowa! Szampan strzela, korek w locie uchwycony i płaszczuk pokropiony, toczek się toczy po podłodze, a oni piją przy stole z kielichów, oblizując wargi. Na kolejnym zdjęciu widać jej twarz wielkiej urody i jego również, nieco dalej, za nią. Ona jest bez płaszcza, który leży rzucony byle jak na parkiet, pochylona w kierunku okna, a jej sukienka w duże jasne kwiaty zadarta z tyłu, oficer zaraz za nią, jakoś napiera. Teraz jej powieki są przymknięte, loki rozsypane, a toczek, wymiętoszony, u niego na głowie, krzywo, z siateczką, bardzo przekrzywiony.

Inne zdjęcie z ukrytego aparatu przedstawia jego siedzącego w kuchni, już bez munduru, jednakże w koszuli i kalesonach, przy jajku na miękko, i fragment drugiego pokoju, a w nim ją nago na łóżku, podpartą na łokciu i palącą papierosa w długiej lufce. Na następnym scena ta powtarza się, lecz tym razem odwrotnie: to ona w szlafroku w kuchni je jajko, a w dużym pokoju on leży na łóżku nago, chociaż w butach, paląc cygaro. Ale zaraz, zaraz, tym razem jednak nie mundur i nie spodnie leżą na krześle, ale długa czarna sukienka, na stole zaś czapka, taka, w jakiej występuje ksiądz proboszcz po kolędzie. Potem wypadki na zdjęciach nabierają tempa: widzimy jedzącą w kuchni jajko i najwyraźniej cztery nogi czyjeś poplątane w łóżku, a na oparciach obok sukni także i mundur. Wreszcie napięcie się uspokaja: na ostatniej fotografii w łóżku wprawdzie cztery nogi, ale siedzący w kuchni mężczyzna jedynie w toczku na łysej głowie i damskich pończochach nie je już jajka, ale wędzoną makrełę.

Tak to, tam Italia surowa, mdła, wyjałowiona z Italii, a tu sodomia i gomoria! To jeszcze nic, tu są lepsze rzeczy. To znaleźliśmy na ulicy Powolnego, gdzie za komuny była bezpieka, a przedtem, za Niemca gestapo. Zdjęcia człowieka, który je banana – to z czasów stalinowskich! Skąd ma tego banana? Z paczki? Od kogo? Z Zachodu? Czy z kontrabandy? Pewnie to szpieg. A obok zdjęcie z kobietą w chustce na głowie, która robi ruch ręką, jakby się chciała przeżegnać w momencie, kiedy ją mija ciężarówka pełna młodzieży z czerwonymi flagami szturmowymi. A tu znów zdjęcie strażaków ubranych jedynie w strażackie hełmy, którzy stojąc w półkolu, gaszą ognisko na dziedzińcu jakiegoś budynku (to chyba remiza?). Zdjęcie jest z lat trzydziestych z akt gestapo, które przez lupę analizowało, czy któryś ze strażaków nie jest obrzezany. Dalej jest zrobione

z żabiej perspektywy zdjęcie wchodzącej po wysokich schodach do kościoła Na Górcie córki burmistrza w plisowanej spódnicy w kratę i podkolanówkach, ale za to bez bielizny. Była tam też fotografia dwóch sióstr zakonnych obierających marchewki czy wreszcie zbliżenie wieszającej nago pranie na balkonie przykoszarowej dachy pani pułkownikowej z prężącą się pod drzwiami wartą honorową.

Ostatnie zdjęcie: dwie kobiety z opaskami na rękawach płaszczy, chude, o twarzach zmęczonych i ciemnych. Trzymają pomiędzy sobą za ręce dziecko małe, równie ciemne jak one, o smutnym wzroku. I jakaś adnotacja na zdjęciu, po niemiecku, litery starannie wykaligrafowane, rok 1943.

Znaleźliśmy pięćdziesiąt kilo mąki, tyleż cukru, konserwy amerykańskie, mleko w proszku, zamokłe papierosy, trochę wódki i prawie sto tysięcy kart do głosowania, błędnie sfalszowanych przez pomyłkę i wyrzuconych tutaj, setki partyjnych plakatów wyborczych, na których kandydaci z okazałymi wąsami prezentują się na tle flagi i panoramy miasta i tyleż samo plakatów z tymi samymi kandydatami partii już pod zmienioną nazwą, na tle flagi i miasta, ale bez wąsów. A tam całe dwie komnaty, chodź, zobacz, co to. Poprowadził mnie odnogą korytarza w prawo, do wielkiej sali po sufit wypełnionej kłębam jakiejś szaroburej i czarnej wełny czy mierzwy, poruszającej się przy każdym najmniejszym podmuchu powietrza. Podeszedłem bliżej, wyciągając rękę, nie mogąc uwierzyć własnym oczom. To wąsy! Zgolone wąsy! Golili na potęgę i tu chowali. Na początku ciężarówki wywoziły w nocy i wrzucały do rzeki albo do kanału, ale nie zdążyli wszystkiego wywieźć. A nam się przyda i to, ha! Usta w ciup złożył, z baranka strzelił. Zatańczyłem dokoła, nogami rzucając. Jeszcze tu znaleźliśmy parę kościotrupów, ale nie wiadomo czyich, może petentów do urzędu? Ha ha, a może samych urzędników? A dalej jest już kanał.

Szliśmy więc dalej przestronną galerią podziemną, to znaczy korytarzem o sklepieniu kamiennym, dość niskim, nie na tyle jednak, aby nie móc iść wyprostowanym. Wuj mój świecił latarką, kiedy zapadała kompletna ciemność, postrzeliwał z cicha z baranka, a ja potańcowywałem za nim, bo strzelał we mnie i od wewnątrz skwierczał mój kozuszek. Zbliżaliśmy się do tej części miasta, którą nazywano Małą Wenecją. Pobudowano ją nad jedynym w mieście Kanałem, oddzielającym Pierwsze Miasto od Wyspy, za którą dopiero była Rzeka. Kamienice postawiono tu wprost nad wodą, do której długim rzędem wchodziły fasadami, zadzierając je nieco do góry, by ich całkiem nie pomoczyć. Były tam domy wąskie, stojące w wodzie na jednej nodze jak bociany, były takie, które stały na dwóch, maczając w mętnej cieczy długie, lekko tylko podkasane sukienki. Dawna synagoga, przerabiana kolejno na kino, magazyn i wreszcie bibliotekę, stała, zamoczywszy w kanałowej wodzie swą długą brodę. Wilgoć podchodziła kamienicom pod kolana, pod uda, a one stały, przeglądając się melancholijnie w lustrze leniwego nurtu, jakby żegnały się za każdym razem ze swoim odbiciem. Czasem, kiedy poziom wody (czy może ropy?) w kanale obniżał się z powodu letnich suszy, widać było ich chude kostki, boscie stopy, rusztowania, podpory, pale i sklepienia, ostrołuki piwnic wbitych głęboko w nabrzeże. Jednak w normalne dni głębokiej wody stały tak jak teraz, niemal po kolana, zdziwione własnym migającym i tak tanecznym refleksem w ciekącej wodzie, jakby właśnie w tę falującą ruchliwość projektowały wszelkie swoje chęci i marzenia, a odbicie nie było niczym innym, jak tylko ich własną fantazją, bawiącą się i małpującą emanacją, wykrzywiającą się i mizdrzącą do ich stojących nieruchomo, na zawsze uwięzionych w swej weneckiej formie brył.

W podziemiach, w które czasem mniej, a czasem bardziej przesiąkała woda, zgromadzone były iście weneckie rupiecie: stopy luster i lusterek, koronek, czapek, sukien, masek, baut i maszkaronów, strojów Arlekina i Kolombiny, tak jakby stawiający te kamienice przed wiekami mieszczanie chcieli któregoś dnia przeprowadzić nareszcie swoje wielkie szalbierstwo, swój falsyfikat wyprowadzić na ulice i przebrać w wenecki strój całe miasto, nałożyć mu maskę i kazać mu udawać coś innego niż to, czym jest w rzeczywistości, nie tylko w czasie karnawału, ale zawsze. Wprowadzić wszystkich w konfuzję, dezorientację, zaproponować wielki sen, wielkie wakacje, wielką Wenecję tutaj, na Północy, w kraju chmur czarnych gawronów i zamarzniętych rzek. Być może dlatego właśnie budowniczy ratusza dodali inny włoski element, aby konfuzję pogłębić, stworzyć mini-Italię złożoną z falsyfikatów kilkunastu najbardziej znanych z widokówek widoków, stworzyć swój własny kraj w mieście, zamienić miasto w lunapark pełen budowli południowych, lecz tylko we fragmentach. W ten sposób

powstały pseudoflorencki ratusz, pseudowenecki kanał, pseudotoskańskie wzgórza wokół miasta, pseudorzzymskie hiszpańskie schody prowadzące do kościoła Na Górze, hala sportowa w innej części miasta imitująca Circus Maximus albo Koloseum.

Czasem w nocy wczesną wiosną rajcy wychodzili ze swoich kamienic przebrani w karnawałowe srebrne, czarne i fioletowe szaty i zaczynał się wielki taniec, bal i święto, w trakcie którego pito i bawiono się do upadłego, oddając rozpuście i grom. Nikt nie słyszał wówczas w ogólnym hałasie plusku uderzającego o wodę ciała czy stłumionych krzyków ofiary i stukotu czekanów rozbijających cienki lód wśród ogólnego rozprężenia, pokazów ulicznych grajków, linoskoczków, połykaczy ognia, feerii sztucznych ogni, przemarszów orkiestr dętych i defilad mażorettek.

Po kilku dniach wyławiano z kanału ciało, zamaskowane i zawinięte w czarną opończę, o ile słaby nurt nie zabrał go dalej, do rzeki, żeby wyrzucić gdzieś daleko za miastem, zaplątać w przybrzeżne łożyny, kłujące krzewy i konary drzew zanurzających ostrożnie jedną ze swych wielu nóg. Policja stwierdziła zgon spowodowany pchnięciem ostrzem dokładnie takim, jakiego używano w siedemnastym wieku, chowanym pod pozłacaną gałką w czarnej eleganckiej lasce, albo śmierć od jednej z trucizn, których wielki wybór w słoiczkach, szkatułkach, lampkach, fiolkach, pipetach i menzurkach można znaleźć w piwnicach stojących nad kanałem kamienic, lub w najlepszym razie uduszenie, w takim wypadku jednak diagnoza bywała trudna ze względu na silnie posunięty rozkład zwłok. Nie można było wówczas dojść, co się właściwie wydarzyło, skąd zwłoki, kto był sprawcą mordu. Świadkowie, często nietrzeźwi, opowiadali niestworzone i ciągnące się w nieskończoność sploty i węzły historie o tańcach, wizytach w melinach i spelunkach, grupowo zażywanych narkotykach i odurzających środkach nieznanego pochodzenia, o zamaskowanych postaciach, znikających i pojawiających się znów podejrzanych typach, listach, kurtyzanach oferujących usługi za kotarami, gdzie ruchoma ściana skrywa przejścia na inne, kolejne podwórka, o ukrytych schodach, w których znikwały ofiary, o wystrzałach rac, o pochodach zakapturzonych postaci z pochodniami, o krzykach śmiechu i krzykach rozpaczy, o biegających karłach, o ofiarach rzucanych na pożarcie wielkiemu smokowi zamkniętemu w którymś z lochów, o mężczyznach przebranych za kobiety, o kobietach przebranych za księży, o policjantach przebranych za orkiestrę i tancerzy samby, o zwierzętach przebranych za ludzi.

Tak dokonywano miejskich przewrotów, tak pozbywano się niewygodnych świadków i przygotowywano rytualne mordy. Rządzący miastem gromadzili się w lokalnej mafii zwanej zawsze Spółdzielnią, która miała na swych usługach płatnych morderców, zbirów i tanich opryszków, do tego wykwalifikowaną armię tajnej policji, straży miejskiej i zwykłych sił porządkowych. Na pewno wielu z tych

kręcących się w miejskich kazamatach ludzi było także na usługach Spółdzielni.

Chodź! Wuj mój chwycił mnie gwałtownie i ruszył, za kołnierz wlokąc. Spłoszone przez nas gorejące w ciemnościach żółte ślepia rozpięzły się po kątach z piskiem. Biegliśmy, Wuj pędził, zarzucany od czasu do czasu na boki przez nieprzewidywalne siły ciężenia. Ciemność zbierała się we wnękach i szumiała tam, wzbierała i gotowała się jak zupa, jak magma wnętrza ziemi, można było ją nabierać do chochli i nalewać do wiader. Wreszcie wpadliśmy do większej, ciut lepiej oświetlonej sali, tej, w której trwał szalony festyn kiszienia kapusty. O! – krzyknął Wujciu i zatrzymał się tak gwałtownie, że niemal wpadłem na niego, na mnie zaś wpadła pędząca za nami ciemność i w ciemności tej zdyszane, rozgonione żółtawe oczy.

Wiesz, co zrobią? Zniszczą nas! Chcą nas utopić, chcą zatopić naszą kulturę! – krzyknął Wuj. Chcą nas zalać. Uśmiechnął się i uniosł palec wskazujący. A wiesz, co ja wymyśliłem? Słuchaj! Będę kisił! Rozumiesz? Spojrzał na mnie groźnie. A potem wybuchnął śmiechem. Będę kisił kapustę, buraki, ogórki, rozumiesz? Narobimy beczek, mnóstwo beczek, mnóstwo słoików, trzysta beczek! Rozumiesz? To będzie sobie fermentować! Rozumiesz? Gazy! Będą powstawać gazy i one uniosą wszystko do góry! Uniosą nas do góry! Rozumiesz, będą naszym helem, wodorem unoszącym balon. A co będzie balonem? Patrz! To mówiąc, przebiegł znów kilkanaście metrów i wpadł do piwnicy, gdzie wszyscy przysypiający i leżący bezwładnie do tej pory ludzie poderwali się i wrócili do swej markowanej pracy, która polegała na zbijaniu deszczulek, związywaniu kablem i sznurkiem części odkurzacza, sklejanie taśmą kartonowych pudeł i zakręconych pustych plastikowych butelek po wodzie mineralnej, leżących całymi stosami w głębi pod ścianą.

Jak myślisz, nad czym tak wszyscy pracują, co tak zbijają cały czas? Barkę, wielką tratwę, stary! Kiedy nadejdzie woda, odpłyniemy na niej i przeczekamy. Wszystko się uda, zobaczysz. Wywieziemy, co się da, wszystko, co się zmieści. Potrzebuję kilku dni jeszcze i będzie skończona, musimy wszystkie części wynieść z piwnic na ulicę i złożyć w całość, a potem na to zapakować, co się da, stary, co się da! Hi hi. Baranek rozjarzył się na jego łysawej głowie, ale nie strzelił.

Ale to bzdura – chciałem powiedzieć, lecz usłyszałem, że z warg moich wydobywa się tylko taki zaśpiew: No no, la la la! Zaśpiew uznania.

Ha, zgadzasz się! – zawołał groźnie.

Niiiak, tiiiak, tiak, powiedziałem jakoś wbrew sobie.

Zgadzasz się? – zapytał raz jeszcze. A baranek strzelił, a w kożuszkę odstrzeliło coś raz, drugi, cała strzelanina, ognie sztuczne, iskrzenie, a ja w tany się puściłem wokół niego, przytupując.

Ha! – powiedział. Wiedziałem. Czapkę nacisnął na głowę, baranka zgasił. Ja czas jakiś jeszcze tańczyłem, zasapany. On mówił dalej.

Wuj mój zapalał się coraz bardziej do swej wizji, wytrzeszczając oczy i wznosząc ramiona. I najważniejsze, he, nie domyślisz się, niespodzianka. Przybliżył do mnie swoją zaczerwienioną twarz i chuchnął potężnie alkoholem, ścisząc konspiracyjnie głos: Wąsy! Rozumiesz? Wąsy! Ich własne wąsy, zgolone, tam leżą w lochach ratusza, rozumiesz? Woda, kiedy ruszy, będzie w nie wsiąkać, one ją będą zbierać. Oczywiście, że tylko na krótko, ale my tymczasem skończymy się pakować, rozumiesz? Ha! Takie buty! Nie wiedziałeś, że masz przed sobą geniusza, co? Zakołysał się potężnie.

Może to bzdura zresztą, jakie tam gazy. Ale nic, nie damy się! – krzyknął.

Błysnął barankiem, a ja zatańczyłem krótko, konwulsyjnie, z emocją, namiętnie. Tam, w podziemiach ratusza, i dalej jeszcze, za pocztą, w tych przeciwartomowych, poniemieckich i komuszkowych schronach, znaleźliśmy dużo zapasów, konserwy, mąkę, cukier, wódkę, kilkanaście beczek wina bardzo dobrego, takiego, jakiego nikt nigdy w mieście nie widział, które skądś mieli, jakimś sposobem przywieźli tu sobie z Piemontu i znad Rodanu, pontony, kamizelki dmuchane, apteczki, całe stosy zakopcowanych ziemniaków, nawet broń, rozumiesz?! Broń! Pistolety, kusze i pałki policyjne, maski przeciwgazowe i paralizatory, ale niestety, nic się nie zachowało, bo te łapserdaki, te chuligany wszystko przepili, wypili, hi hi, posprzedawali na targu, hi hi, nic się nie ostało. Zatoczył się ze śmiechu. Ale to nic, to nic, słuchaj, to dopiero początek!

Szliśmy teraz korytarzem z ciągnącymi się pod niskim, mokrym sufitem pękami kabli w gumowych, czarnych izolacjach. Światło migąło i strużki wody

splywały tu i ówdzie w dół spomiędzy trzeszczących i plujących swym trupioblady światłem lamp. Słysząc było szum dochodzący gdzieś z dala, z głębi ziemi, i poczułem lekkie drżenie ścian, kiedy dłonią oparłem się o wilgotny beton. Weszliśmy nagle do pomieszczenia, w którym zwoje kabli skręcały się i multiplikowały, wybuchały gwałtownie w czarne fontanny przewodów, w grube węzły i labirynty nieskończonych kombinacji. Tuż obok pracowały stalowe agregaty, terkotały telegrafy, mruzczało radio, nadajniki bzyczały i trzeszczały niespokojnie, migały światła. Pomyślałem, że znaleźliśmy się w transformatorowni, w stacji przekaźnikowej, podziemnym centrum nadawczym.

To tu, powiedział Wuj mój, tu po północy przychodzimy i przechwytyjemy ich depesze. Hi hi, rozumiesz? Wiemy o nich wszystko. Nie chcą tu zaglądać po północy. Oficjalnie boją się szczurów, ale tak naprawdę chodzi o ich własne biesy, własnych diabłów się boją.

Odwrócił się i spojrzał mi prosto w oczy: Wiem, co mają zamiar zrobić, mogę podsłuchiwać ich telefony. Tobie mogę powiedzieć, hi hi, to i tak wszystko jedno, prawda? Wyjął z kieszeni swoją buteleczkę i długo trzymając ją w górze przyciśniętą do ust, wychylił ostatnią kroplę, a w butelce jakieś tęczowe i błękitne łuki zaczęły świecić i migać i blaski chodziły rubinowe w niej, eony i halo różowe, niezwykle, jakby duch czarodziejski samego alkoholu. Widziałem napis na etykiecie: „Leyda”. Wino Leyda. Z Nowego Świata.

Korytarze, którymi szliśmy, zakręcały, wracały, wiły się i kluczyły, przechodziliśmy kilka razy miejscami, co do których byłem pewien, że już je mijaliśmy. Całe miasto podziemne było połączone tym labiryntem pokręconych przejść, dojść, obejść i wszystkie te przejścia plątały się ze sobą i dublowały, gubiły w pulchnej ciemności i odnajdywały nagle.

Ziemia, powiedział, ziemia, ziemia, natura matka, ziemia, my wszyscy z ziemi jesteśmy, a ktoś tego nie chce przyjąć – on ziemię się brzydzi, dlatego tam wysoko mieszka, a jest przecież stąd, tu – wskazał palcem podłogę. A on tym chce z góry rządzić, od ziemi nas odciąć, Prezes za Pana Boga się ma, spryciarz! Ale nie spodziewa się!

Ja mam plan tego wszystkiego, ja wiem, jak w tym labiryncie nie zwariować, rozumiesz? Rozumiesz? Popatrz! Wuj mój wyjął z kieszeni swego płaszcza poplamiony i pognieciony, złożony na czworo arkusz papieru, rozwinął go i oczom moim ukazał się schemat krawieckiego kroju, na którym różnokolorowe linie, kreski i figury spletały się, przecinały i nakładały, obrysowywały i rozgałęziały w wielką płataninę, w kolorowy supeł linii, nici i szwów. O, teraz jesteśmy właśnie tutaj, a wczoraj odkryliśmy ten tunel, który zaznaczyłem na żółto, żeby nie zapomnieć. Prowadzi on od podziemi Domów Towarowych Centrum do piwnic na Krakowskiej, a to ważny tunel, bo lada dzień te moje łapserdaki przebiją się do magazynów z ciuchem i kosmetyką. Wyobrażasz sobie, jaka wtedy tu będzie

Francja i Paryż? Bracie, Szazelize! Rewia mody i feeria zapachów.

Nagle z korytarza w lewo uderzył nas dziwny zapach, słodkawy i mdlący, ostry i drażniący, zapach krwi, krwi. Tam nie, nie idziemy tam, tam są podziemia bylej bezpieki, a przedtem gestapo, przed wojną tam katownie były w podziemiach, zawracamy, krzyknął i pociągnął mnie za rękaw. Zalać to muszą, żeby nikt już nie pamiętał, co się zdarzyło, żeby zatrzeć ślady. Ale my nie tam, my gdzieś indziej!

Coś już chlupie nam pod nogami, mokro, bosą stopą w wodę stąпам, Wuj też kręci się, śmieje.

Popatrz, co mamy dalej, krzyknął Wuj mój, kręcąc się jakoś dziwnie, jakby oblaży go nagle mrówki. Popatrz tu – machnął latarką w stronę wąziutkiego przejścia w murze, wilgotnego i tchnącego grzybem i czarną porzeczką. Ha, to przejście wiesz dokąd? Nie uwierzysz! Do podziemi franciszkanów! Tak, rozumiesz, do tych katakumb, gdzie są pochowani pierwsi mnisi, którzy przyszli tu z Czech, a byli albo Francuzami, albo Włochami, albo Niemcami właśnie. Chodź, pokażę ci, co tu mamy!

Ale ćśśś! – przyłożył palec do ust i zrobił swoją po dziecinnemu groźną minę. Nikt o tym nie może wiedzieć, trzymam to w tajemnicy, żeby żaden z tych łapserdaków, tych rozrabiaków, baciarów nie zobaczył. Zaraz by wynieśli i zamienili na wódkę! Rozumiesz? To coś specjalnego! Zaczął szukać w kieszeni kluczy i żeby sobie to trudne zadanie ułatwić, wygiął się w tył i natychmiast stracił równowagę, zatoczył się dwukrotnie, wykonał świetne *deux pas*, później coś w rodzaju koszykarskiego dwutaktu, a w końcu powrócił na swoją pozycję. Zaczął więc od nowa, gmerając ręką w wyjątkowo ciasnej kieszeni spodni i nie mogąc przy tym opanować głupkowatego śmiechu, który wciąż nim wstrząsał i przeszkadzał w czynności wymagającej zegarmistrzowskiej dokładności, akrobatycznej zwinności i kobiecej delikatności.

Baranek iskrzył jak snop noworocznych fajerwerków, a ja potańcowywałem z boku w dwie strony. Ach, dlaczego nie zdjąłem tego elektrycznego kozuszka! Na zawsze pozostanie to już tajemnicą tamtej nocy.

Tu schowałem, wysapał, żeby te złodzieje nie wykradły, nikt stąd nie wyciągnie, po prostu nikt. Wreszcie, po ciężkiej walce, wyjął klucze i kilka monet upadło z brzękiem na podłogę. Schylił się, aby je pozbierać, i w tym momencie znów stracił równowagę, przechylając się tym razem niebezpiecznie w przód, tak że oparł się swą baranią czapą o przeciwległą ścianę. Teraz, z nieprawdopodobnym wysiłkiem, po dwóch próbach głową odepchnął się od muru, używając do tego celu zapewne mocy wyobraźni i swej rogatej duszy, z której był dobrze znany. No dobra, pał diabli parę groszy, powiedział i przeszedł do nieprawdopodobnie trudnej i długiej czynności polegającej na trafianiu kluczem w dziurkę starożytnego, źle oświetlonego zamka, rozglądając się wcześniej na boki, czy nikt go na pewno w tej chwili nie widzi. Miałem już od pewnego czasu wrażenie, że pusty początkowo

korytarz, odkąd wspólnie opuściliśmy lochy ratusza, zaludniał się od czasu do czasu jakąś bieraniną spłoszonych cieni. Towarzyszyły nam stłumione szepty i szurania, być może odgłos wyciszonych kroków. Odwracałem się wielokrotnie i widziałem jakieś cienie przesuwające się pod ścianami w pewnej od nas odległości, to przybliżające się, to oddalające na przemian. Towarzyszyły temu zwierzęce w swej naturze odgłosy, coś dziwnego działo się w tych ciemnościach, jakieś kroki śledziły nas, jakieś oczy nie przestawały tam gorzeć, obserwując wszelkie nasze poczynania.

Trafianie kluczem do dziurki trwało bardzo długo, tak długo, że można by w tym czasie usiąść do napisania książki. Widziałem natężoną twarz Wuja, który przymierzał się do każdej próby niczym kowboj usiłujący wskoczyć na rozpędzonego rumaka. W skupieniu przybierał zgiętą pozycję szykującej się do skoku pantery, celując kluczem prosto w otwór, jednak otwór tańczył przed nim niewiarygodny wprost i złośliwy taniec, nieprzyzwoity, dziki, nieprzytomny. Na nic się nie zdało przytrzymywanie szalonych drzwi drugą ręką, taniec uspokajał się nieco, jednak wciąż trwał, zamek wciąż bezczelnie uciekał w górę, w dół i na boki, jakby sztorm targał pokładem, jakby fale huśtały podłogą. Wuj mój niby torreador dziobał i dziobał drzwi, trafiając kluczem wszędzie, lecz nie w dziurę. W końcu, zdyszany, opętany żądzą dziobania i trykania, oparł klucz o metalową osłonę zamka i zaczął z wolna przesuwać nim z przeraźliwym zgrzytem w kierunku dziurki. Od tego dźwięku światło przyćmiło się, wilgotne kamienne ściany zaczęły się łuszczyć i dramatycznie marszczyć, żółte, płonące w mroku za nami ślepieja najpierw zrobiły się fioletowe, a potem zgasły zupełnie, usłyszeliśmy głuchy skowyt w ciemnościach i wreszcie klucz trafił. Wuj mój jęknął z ulgą i przywarł wyczerpany do drzwi, dysząc ciężko. Pot wystąpił mu na czoło, a od zgrzytu na powrót wytrzeźwiał. Nagle wstał. Cholera, zapomniałem, maszynka zardzewiała, nie otwiera się, dopóki odrdzewiaczem nie pokropisz, bracie!

Zaczął znowu szukać po kieszeniach swego płaszcza i wyjął w końcu małą buteleczkę z ryjkiem, z której zadał kilka kropel na klucz, i powrócił do mozolnej i pasjonującej czynności trafiania w dziurkę, sapiąc i zgrzytając zębami. Rozumiesz, witriolem musiałem, rozumiesz, ech, pokropić, bo inaczej byśmy tu osiwiali od zgrzytu. Wreszcie klucz zachrobotał w zamku i ciężkie drzwi otworzyły się z rzężeniem.

Wstąpiliśmy w ciemność, z której uderzył w nas zapach nocy, zapach podkładów nocy lipcowej, jej podszewka, jej gorące ciało, a równocześnie coś zimnego, jakby chłód śmierci, dziwny zapach przywracający w pamięci zapomniane i zburzone kształty, układający na powrót obalone figury, wznoszący obsunięte konstrukcje. Coś wracało z tym zapachem, coś dawno straconego, jakby to był zapach pierwszych godzin życia, pierwszy haust powietrza rozpychający drogę do związanych płuc, rozprostowujący ich złożone skrzydła, wypełniający ich

sprasowane dotychczas płaty, prowadzący tlen do krwi, objaśniający świat i witający przybysza. Moje bose stopy stały się większe i bardziej widzialne, ich przejrzysta substancja zagęściła się i zmętniała, ręce zaświeciły w ciemnościach jakimś próchnicznym światłem, migotliwym blaskiem. Przez moment zdawało mi się, że wracam do pierwotnej postaci, do zagubionego gdzieś w czasie istnienia. Po chwili do zapachu tego przyłączyła się nuta inna, gnilna, wilgotna i spleśniała, nuta piwniczna, która psuła z boku, kvasiła zapach nocy. Nuta zbutwiałych resztek dnia, trupia, zatęchła i mysia, zatruwająca i mdła, drażniąca i usypiająca zarazem. Wuj mój długo przesuwiał ręką w ciemności, aż wymacał na gołej, zimnej ścianie włącznik światła. Po sekundzie widzieliśmy wszystko.

Weszliśmy do salonów podziemnych, prawdziwych katakumb obszernych jak wielkie, wysoko sklepione piwnice, wypełnione glinianymi urnami i tykwami, wazami i beczkami. Potem znowu otwierał się wąski, ciemny i ciasny korytarzyk, przejście do niskich ossuariów, pełnych czaszek i kości. Szliśmy przez małe grobowce, gdzie na półkach wydrążonych w bocznych ścianach spoczywały trumny i urny z prochami umarłych, wreszcie dotarliśmy do większych grobowców, w których na ziemi leżały w doskonałym porządku mumie pierwszych mnichów, ze śladami świętości, zachowane w stanie pozwalającym rozpoznać w nich istoty ludzkie, rysy twarzy, a czasem nawet błogi uśmiech. Wszystkie mumie zawinięte były w całuny i bandaże, spłowiałe i zetłałe po upływie setek lat, rozsypujące się w momencie odwijania. Dalej, pod pięknymi, kamiennymi, zdobionymi płytami, leżeli na katafalkach rzeźbieni w kruszywie książęta śląscy, Bolko i Tolko, pierwsi władcy tych ziem, Bolko, wyobrażony śpiący, w ciżmach i z rozwianą grzywą, z cygarem w ręku, w kaftanie zapinanym na węgierską modłę, w rogatywce kamiennej, zwrócony bokiem do Tolka, z którym wojował, a który teraz leżał z kamiennym wąsikiem, kołnierzem sztywnym i fontaziem, w surducie, szlafroku i czapce tureckiej z frędzelkiem, w ręku trzymając lufkę czy rurkę od sziszy nabitej porządnym, wschodnim towarem. Obok Księżna Ironia w kamiennej kiece z wstawką metalową, w pończochach i reformach, czepku i espadrylach, z wyraźną urodą wyłazącą spod spódnic.

U nóg jej pies, ale nie pies, o głowie świni, z nogami zajęczymi. Przy stopach Tolka zaś zwierzę przypominające tchórzofretkę lub gronostaja, o uszach i rysach pyska osobliwie jednak ludzkich i zagadkowym doprawdy spojrzeniu, z korpusem dzika i uszami pudła. Zwierzęta te dziwne poruszyły się w blasku barankowej łuny, kiedy wchodziliśmy, a potem znów skamieniały, zastygając w przyczajonych i uległych pozach.

Te zwierzaki podobno wstają, ale trzeba im zagrać, he he, powiedział Wujo, strzeliwszy barankiem, od czego ja zatańcowałem w kącie. Co się tak wiercisz? – zapytał.– Owsiki masz? Już niedługo, poczekaj jeszcze chwilę, rozumiem, że ciekawość cię zżera. Strasznie tu zostawać na noc. Taką karę franciszkanie mają, że zamykają w lochach każdego, kto im się zasłuży. Całą noc słyhać wrzaski, piski, wycia, a rano osiwiwały braciszek jest wypuszczany, pogryziony przez biesy, z językiem jak kołek.

Patrz, tamtym przejściem, szepnął, wskazując załom w murze, tuż przy końcu sali, mogli się braciszekowie komunikować z siostrzyczkami szarytkami, hi hi, czy też nasermatkami, to jest noterdamkami. Rozumiesz? W nocy się podkradali do nich. He he, były z tego i skandale, bo się nagle jedna i druga siostrzyczka zrobiła dziwnie otyła, hi hi, ale nie podejrzewano tutaj niepokalanego poczęcia,

a raczej od razu wyrzucano za bramę! I rzadko się zdarzało, żeby braciszek wtedy się przyznał do dziecka, więc sama musiała odgrywać rolę Najświętszej Pani. Tam, jeśli pójdziemy, zobaczysz mumie kobiet, całe mnóstwo, aż niemożliwe, żeby tyle ich tam było, same święte. Całe podziemne miasto świętych. Ha, to ci dopiero historia! Ale pójdziemy jeszcze dalej, do schronów przeciwatomowych. Ale co? Nie boisz się? Co, nie boisz? Mam nadzieję, że się nie boisz, bo, widzisz, kto się boi, tego reszta doi, ha ha! I barankiem, czapką strzelił, aż mnie w kożusku strzeliło, zatańczyłem króciutko walczyka, samba, rumba, przysiad.

A teraz popatrz, popatrz na to, hi hi, poszedł w róg sali, co my tu widzimy? I pokazał mi ogromną, czarną, podłużną skrzynkę, zbity z desek kufer, przykryty niegdyś białym, a teraz szaroburym prześcieradłem. Wuj mój odsłonił je, podniósł pokrywę i poświecił latarką w głąb. Patrz! Zobaczyłem stos pożółkłych kości, poukładanych jedna na drugiej, ogromnych, nieludzkich – były wśród nich czaszki olbrzymie ze szczękami potwornej wielkości, mogące pomieścić setki zębów i zdolne połknąć człowieka w całości, były tam ogromne piszczelę, nieprawdopodobnie długie zęby rzucone byle jak na dno w nieładzie, były tam potężne kolce, pazury, żebra i masa innych szczątków nie do rozpoznania, monstrualnych wprost rozmiarów.

Widzisz? Widzisz? Wuj mój, podniecony, zaczął chodzić dokoła kufra z rękami w kieszeniach płaszcz, lekko się zataczając, z baranią czapką przekrzywioną na bakier. To są kości wielkoluda, przywiezione tu przez braciszków z Podola, kiedy przyszło im uciekać przed Armią Czerwoną. Kazano im się wyprowadzać z klasztoru, więc zabrali ze sobą ten kufer i wszystkie relikwie, hi hi hi! To kości złodzieja z Podola, popatrz, tam są kości śródstopia, zobacz, jakie ogromne – sięgnął do środka i pokazał mi żółtą skamieniałość długości chyba pół metra. Rozumiesz, grasował w osiemnastym wieku i nikt nie mógł go schwytać, ale wszyscy widzieli ślady, które zostawiał bosymi stopami na świeżym błocie. Ogromne ślady. Złodziej podolski, bracie! Nie ma żartów! Krzyknął, strzelił, przytupnąłem. Urządzano oblawy, zasadzano się w nocy, Kozacy i hajducy pilnowali dworów i pałaców, a on przychodził pomimo to jak niewidzialny, zgarniał kosztowności, zastawy stołowe, pościel, garnki, cygara, sztucery, konie krwi szlachetnej, ozdobne nocniki z porcelany i nikt nigdy go nie widział, strażę zaklinały się, że nie spały, psy czuwały, Kozacy strzelali z samopalów i muszkietów, rozstawiali czaty po stepie i nic, nic, a nad ranem znajdowali tylko w błocie te odcisnięte ślady. Szły pogonie z psami, końmi, policją, zagończykami nawykłymi do tropienia Tatarów w stepie, takimi, którym nikt nie umknął, ale na próżno. Ślady zniknęły po jakimś czasie, zbój wstępował w strumień, w rzekę, w rozlewisko, przepadał jak wiatr w stepie w jakiś cudowny sposób. Taki był, rozumiesz. Zasępił się nieco Wujciu. Opowiadali, że ma moc diabelską, że skumał się z wiedźmami i dziadami w lasach, że potrafi czarować,

rozpływać się w powietrzu albo przeskoczyć siedem wiorst, siedem mil. Różnie mówili. Aż w końcu wpadł. Było to w ten sposób, że ukradł księciu Koniecpolskiemu córkę z pałacu. Wyniósł ją po prostu na rękach, śpiącą, z łóżka w środku nocy, chociaż Kozacy stali dzień i noc przy drzwiach jej sypialni, a służki spały przy jej łóżku, czuwając na zmianę. Pałacu strzegło sześciuset najemnych, wszyscy pod przysięgą, że pić nie będą, inaczej kara śmierci. Sam książę chodził z dwururką dokoła pałacu i poprzysiągł, że nie zmruży oka, dopóki wielkoluda nie złapie i w dyby nie zamknie, żeby potem jako dziwowisko trzymać i pokazywać gościom dla uciechy. Po chutorach mówili, że się wielkolud zakochał w księżniczce, że widział ją kiedyś, jak w karocy przez Jampol przejeżdżała albo przez Niemirów i koła w błocie utkwily, tak że musiała wysiąść i po dywanie z kozackich czapek zrobionym przeszła suchą stopą na chwilę do karczmy, dopóki wozu i koni nie wyciągnięto z topieli. Może wówczas ją widział. Mówili, że on wóz wyciągał. Słuchasz mnie? W każdym razie tamtej nocy przyszedł po nią i ją zabrał, nikt nie wie, jak to zrobił, rano służki wrzask podniosły, budząc się w potarganej bieliźnie, bardzo sponiewierane, a księżniczka jak kamień w wodę, chlup i nic. Ślady stóp odnaleziono w ogrodzie, a choć książę tydzień tropił, nic nie znalazł. Szalał z rozpacz, wreszcie nagrodę ustanowił stu tysięcy dukatów dla tego, kto coś powie. I stało się tak, że któregoś dnia przyszedł do księcia szewc Hirszfeld z Kamieńca, który mówił, że dostał zamówienie na buty ślubne ogromnego rozmiaru przez chłopca, posłańca, w nocy przyniesione, z całym workiem złota za zapłatę. Książę dał szewcu drugi taki worek, odczekał, a kiedy posłaniec po buty przyszedł, ruszył za chłopcem w dużym oddaleniu z pięćdziesięcioma konnymi. Już za „Lunopolem” wjechali w Dzikie Pola, w głębokie jary nad Dniestrem, tam, gdzie tylko wilki, i w jednym z tych jarów zobaczyli chatę jak z bajki, całą poobwieszaną złotem, obitą blachą i srebrnymi talerzami, a za nią łąkę, a na niej popa w złotym ornacie. Ujrzeni, jak wielkolud księżniczkę do ślubu prowadzi, odziany w te żółte buty, które dopiero na nogi założył. Księżniczka przy nim w pięknej sukni, którą ukradł dla niej z zamku Potockich, z pierścieniem na ręce ukradzionym Wiśniowieckim, on sam w skradzionych Zamoyskim pantalonach i skradzionej Lanckorońskim liberii, w pasie słuckim ukradzionym Zborowskim i w czapce z czaplím piórem ukradzionej Ostrogskim, pierścień Radziwiłłów, szabla Sapiehow, tabakiera Kazanowskich, spinka Sopliców i tylko buty szyte na miarę, kupione u szewca. Książę rozkazał jar otoczyć i strzelać do wszystkich, z wyjątkiem jego córki. Kiedy kanonada ustała, wszyscy leżeli na trawie, wielkolud przeszyty czterdziestoma czterema kulami, a obok niego dziewczyna, ranna od zabłąkanego pocisku. Wiózł ją książę do domu, tak pędząc przez step, że aż po drodze padały pod nimi konie, ale nie dowiózł. Tak mówili. I teraz mamy tu właśnie ich kości. Tego złodzieja i dziewczyny. Oto jej zuchwa. Mówili, że on rzeczywiście miał olbrzymie stopy,

ale niewielką czaszkę, która gdzieś się po drodze zagubiła, ona zaś miała podobno o wiele większą od niego szczękę, którą pobożni braciszkwowie zachowali na pamiątkę i po to, aby straszyć nią przyjętych do zakonu nowicjuszy. To mówiąc, pokazał zuchwę wielkości paszczęki hipopotamiej i machnął nią dwa razy, przy czym wydobył się dźwięk przeraźliwy, jakby wzywający do boju hordy Temudżyna.

Tutaj masz za to kości smoka morskiego, wyłowionego podczas jednej z chadzek kozackich nad Morze Czarne i dalej, za Stambuł i Bosfor. Podobno smok ten co tydzień był karmiony przez samego sułtana tureckiego Mehmeda galerą pełną niewolników, ale trafił na kozacką czajkę, a Kozacy od tygodnia nie jedli nic porządnego oprócz małych w tamtych okolicach rybek, więc od razu go złowili i zjedli na kolację, zachowując szkielet, który potem przewieźli triumfalnie przez Dardanele i Bosfor wprost przed oknami sułtańskiego pałacu, padyszachowi na złość. Podobno się wściekł i brodę swą pokąsał tak dotkliwie, że medyk musiał mu przez tydzień włosy spomiędzy zębów wydłubywać, ale dopiero na trzeci dzień, ponieważ sułtan ze złości kazał wszystkim naokoło na pale powbijać, żywcem ze skóry poobdzierać i przypiekać na rożnie. Na szczęście z powodu licznych włosów w gębie mówił okropnie niewyraźnie i nikt jego bełkotania nie brał do siebie, tak że straty w ludziach niewielkie poczynił. Ten szkielet też w czterdziestym piątym dopiero przywędrował z braciszkami do naszego miasta.

Za to te kości, które tutaj widzisz, kompletnie pomieszane, to tutejsze odkrycie – kości dinozaura znalezione niedaleko miasta, i to całkiem niedawno, kiedy front przeszedł z Armią Czerwoną i do pustych mieszkań poniemieckich wprowadzali się ludzie ze Wschodu. Ktoś otworzył drzwi i znalazł w spizarce tego biedaka, całkiem zagłodzonego. Karmili go potem przez miesiąc barszczem, pierogami, kiszoną kapustą i częstowali samogonem przywiezionym jeszcze ze Wschodu, od czego prawdopodobnie w końcu zdechł. Z jego kośćmi pomieszane są kości tego potwora, półczłowieka, półhipopotama, wyhodowanego w mieście dawno temu, w dziewiętnastym wieku, przez partię. Podobno był trzymany w piwnicach i miał być postrachem na wszystkich wrogów partii oraz tych, którzy mieli odmienne od niej zdanie, ale to nie jest pewne. Bo to chyba tylko legenda i nigdy takiego lewiatana nie było, nigdy nikt takiego potwora nie wyhodował. A może jest gdzieś i kiedyś wylezie z błota? Ot, co! Takie buty, brachu! Boisz się?

A ten sarkofag nieotwierany jeszcze, ale może kiedyś otworzymy, co? He he. Poświecił na kamienny, prosty nagrobek pod ścianą, a na nim napis, litera po literze: „JESUS MIHI OMNIA, NEQUAQUAM VACUUM, LIBERTAS EVANGELII, DEI INTACTA GLORIA, LEGIS JUGUM”. Jakiś braciszek tu leży nieznan, ale ktoś jemu różę świeżą na pokrywkę kładzie w każdą sobotę.

Tak, sam widzisz – mamy tu także jakieś stare książki, niektóre ze Wschodu przywiezione, inne poniemieckie, popatrz, białe kruki, wiesz, ile są teraz warte? Majątek, majątek! Dlatego muszę ich strzec przed tymi łotrami, bo mi wyniosą i przepiją wszystko, popatrz tylko, co tu jest: pozbierane ze strychów i piwnic całego miasta. Sam tyle lat zbierałem, nikt się tym nie interesował. Powiedziałem któregoś dnia do nich: no to, pijaki, przynieście do mnie książki, zamiast palić nimi w piecu albo wyrzucać. Dam wam na wódkę. I wiesz, co wygrzebali? Hi hi, od babć, od rodziców, ze strychów i z piwnic poznosili całą masę makulatury. Większość do wyrzucenia, to prawda, albo na podpałkę, ale patrz, co znalazłem: *Rosarium Philosophorum* z 1550 roku oraz *Splendor Solis* Salomona Trismosina z roku 1582, złożony z dwudziestu dwóch wyobrażeń.

Podał mi kolejne zawiniątko – była w nim księga zawierająca dwadzieścia jeden kart wypełnionych hebrajskim tekstem oraz taką samą liczbą rycin. Papier, zupełnie niezwykły, jakby zrobiony z bardzo delikatnych włókien roślinnych pochodzących z młodych drzew, trochę fosforyzował w ciemności. Wujcio świecił latarką: karty siódma, czternasta i dwudziesta pierwsza przedstawiały młodą kobietę pożeraną przez węża, tegoż węża zawieszono na krzyżu oraz pustynię z wężami wychodzącymi ze źródeł. Przewracałem strony, a one wydawały dziwny szelest, jakby szumiał las. Na pozostałych kartach widziałem wyobrażenia mężczyzny z kaduceuszem, starca z klepsydrą na głowie i kosą w dłoniach, wysoką

górze porośniętą kwiatami targanymi przez wiatr – siedzibę smoków i gryfów, kwitnący krzak róży ocieniony przez dąb, króla dzierżącego w ręku miecz i wydającego żołnierzom rozkaz zabicia dzieci, w których krwi potem kąpały się Księżyc i Słońce. To Księga Abrahama Żyda, mruknął Wuj mój. Czasem według niej gotuję.

Zawinął ją na powrót w szmatkę i schował do skrzynki. Tak, westchnął. A teraz będziemy musieli to pozabierać. Wiesz, co się święci? – zapytał. Chcą nas zalać, zatopić. Szykują się do tego od dawna. Hi hi, stąd te deszcze. Myślisz, że tak by samo padało od czterdziestu dni? Myślisz, że to przypadek, deszczowy rok? Wybryk natury? Ha! Idź na górę, do wieży, zobaczysz, co tam się dzieje, jakie studio, jakie komputery, co tam szykują. Idź do góry, zobaczysz, mają pozakładane na strychach stacje, bazy, cuda-niewidy! Co oni tam robią, jak zwołują chmury z całej Europy! Zobaczysz! Chcą nas zniszczyć, wykurzyć, zalać i zatopić! Ale my się nie damy! Ha, chodź, wracamy! Pokażę ci jeszcze raz. To mówiąc, rzucił wszystkie książki na dno skrzynki, z którego uniosły się tumany kurzu i złocistych, migoczących w świetle lampy opiłków żelaznych.

A tu, tu mam moją bałajkę, uśmiechnął się szeroko i wskazał na futerał ciemny, oparty o popleśniały mur. Moja gitara! Patrz! Robota bałkańska. Wyjął gitarę turystyczno-harcerską, pudłową, dość starą. Z gryfem odrapanym, pudłem oklejonym kolorowymi nalepkami: Pierwsza Pielgrzymka Piesza, Padwa, Italia. Oaza w Radomiu, Spotkania Młodzieży w Lublinie, Mazury z Piosenką, Warszawska Służba Panu, Taneczne Spotkania na Moście w Awinionie. Stare dzieje, westchnął, a gitara, podjęta z pudła, wydała jęk jakiś męczący, jakby łkanie dziewczęce czy też odgłosy jelitowe.

Widziałeś, jakie ma zdobienia? Rzeczywiście, na pudle o kształcie dziwnym, jakby kałamarnicy, widać było na wpół wytarte ślady ornamentyki dość marnego gustu. Teraz dostrzegłem też, że gitara ma strun trzynaście, a na gryfie czternaście progów, które uporządkowane były w dziwny sposób – najbliżej kadłuba kałamarnicy, owej rezonansowej puszkii gitary, były dwa, blisko siebie, a potem trzy razy po cztery. Pudło, czyli ów kadłub instrumentu, wykonane było z kolorowej metalowej puszkii z przyczepionymi do niej blaszkami kalimby. Zdawało mi się, że mogę nawet przeczytać napis lub jego fragment: „NESCAFÉ”.

Nie wiadomo, który z wysiedleńców przywiózł ją tu ze Lwowa po wojnie, ale do Lwowa przywiózł ją ormiański kupiec z Bałkanów, hi hi, chyba z Bułgarii albo z Turcji, od jakichś pasterzy. Albo sam ktoś zrobił. A! Nie znałeś mnie od tej strony, co? A tak, lubię sobie pobrzdakać. Wziął instrument i zaczął brzdakać, po kolei dotykając strun, a potem na przemian blaszek na pudełku, i dało się słyszeć jakby podzwanianie niesionych w torbie butelek lub w najlepszym razie kozi dzwonek. To moje pielgrzymkowe czasy! – westchnął i uderzył w struny, a baranek błysnął w odpowiedzi. Chcąc nie chcąc, zacząłem tańczyć pomału wokół sali, podjudzany kożuszką moim, do wewnątrz strzelającym na gołe ciało, i hop, dokoła. Wzdłuż ścian, kilka obrotów i *pas*, a także piruet w stronę sarkofagu, z którego słyszałem jakieś mamrotania. Gadały także, cicho co prawda, ale męcząco, grobowce Piastów: tego z wąsikiem i nosem oraz tego o mongolskiej twarzy. Także kamienna Ironia coś tam mrucała.

Wujo zanucił. Ja zrobiłem wolnę, gardę i pasaż, ambalaż i balejaż, a potem szus pod ścianą, kłus i dryp. Dryp, dryp, dryp, falowanie i zygzak pomiędzy nagrobki, a tam mruczenie, bełkotanie i jakby konwersacja żywa, aż strach. To księdzem byłeś? – zapytałem nagle, nie wiem, dlaczego. Księdzem byłeś? Ja nie wiedziałem.

Wuj mój zanucił znowu, ja w tany, bo kożuszek iskrzy i mi od spodu elektryzuje części wrażliwe. I jakby boczkim, boczkim w kierunku drzwi, wymykam się, kontredansik, przysiad, pawana, wymyk i jestem w ciemności. Wujo nucił.

Ja, tańcząc, przytupując boso, puściłem się w długą, w ciemności jakieś oślizgłe, lepkie. Byłem spokojny, lekki, pewny przecież, że sen nie jest realny, że minie, choćbym nie wiem jakimi był prowadzony labiryntami mojej fantazji, że pryśnie ta bania, w której unosiłem się pięć metrów nad światem, i znajdę się na powrót u siebie, w łóżku, w miejscu tak znanym i do bólu, rozkosznie zwyczajnym. Wszelkie niebezpieczeństwa zatem, które mogły mnie czekać, były pozorne, ponieważ tak naprawdę po prostu spałem, a cała wyprawa moja była tylko poruszaniem się gałek ocznych pod przykryciem powiek, fazą zbadaną przez lekarzy i łowców snów, fazą REM, jakimś bełkotem dzikim wyobraźni, wierutną bzdurą rozkojarzonych nerwów, projekcją niespokojnego sumienia, głupstwem, marą, po której następują inne, doprowadzające do odprężenia, obudzenia w końcu.

Więc tańczę dalej wzdłuż ciemności, a tam Wuj mój nuci i brzdąka. Korytarzyk wążutki, oj, wążutki i nigdy bym tam nie wlaźł, gdyby nie to wszystko, bo ciemno, więc wlażę na czworaka trochę, w prysiadach trochę, bo nisko i tańcząc, trzeba bardziej się kłaniać, ale już więcej przestrzeni, zimny wiew, podłoga wilgotna, większa komnata, krypta, pod ścianami pudła jakieś. Pudła? Trumny. Ale też i barłogi, kopce szmat, tektura, karton, materace, mieszkańcy w grobowcach, w trumnach pościelone. Ruszają się, podrygują leciutko, w takcik się gibają, uha, i w trumnach ruchy jakieś, skrzypy, jęki. Czyżby, ach, czyżby? A tam Wuj brzdąka, ja w podrygach wciąż, nogą wierzgam, bo kożuszek strzela, ale przecież nie zdejmę, psiakrew, nie zdejmę!

Tymczasem od strony rzeki szumiało ogromnie, jakby wściekłe stado pędziło korytem. Ale szumiało już zewsząd – jakiś ogromny rejwach zaczął się także u góry, harmider, szum narastał także stamtąd, jakby tłum wielki zebrał się na Rynku i ruszył w tę stronę ulicami. Ten szwargot tysiąca niezrozumiałych głosów dobiegał gdzieś od strony kamienicy.

Tymczasem przede mną znów Wuj mój stoi, lampka świeci prosto we mnie. Gdzieżeś się stracił, cholera! A gdzie gitara? – pytam.

Groźnie na mnie spojrział: Nie bój się, nie zginie, ale widzę, że za nim już w ciemnościach ślepią błyskają. Hałas, gadanie, piski i kwiki, jakieś w mroku rozmowy na całego, kłótnia, wyraźne nieporozumienie w kryptach, w kazamatach, pomiędzy nagrobkami, żaden pokój wieczny.

I nagle przed nami z mroku wyłania się Fifaka twarz wiewiórcza, węsząca, i mówi: Wujku, jest sprawa do ciebie na górze, niecierpiąca zwłoki.

Dobrze, Fifak, dobrze! – zawołał Wuj, kiedy weszliśmy do kuchni, białej, dużej, oświetlonej, w której na gazie w wielkim garnku gotowało się coś z bulgotaniem, mieszane wielką chochlą od czasu do czasu przez Fifaka. No, mieszaj, mieszaj. A witriolu dodałeś, jak mówiłem?

Dodałem, Wuju, dodałem.

I co? – wujo Jaśko zapytał, przekrzywiając baranka i zaglądając w sam środek buchającej pary.

No i gównu, z przeproszeniem, powiedział Fifak, wzruszając ramionami. Wciąż rzadkie. Jedno oko wędrowało mu po karku, łypiąc w moją stronę, drugie było gdzieś z przodu, w parze i mgle.

No to gorzałki dolej, gorzałki, mruknął Wuj. Gorzałki? – skrzywił się Fifak. Ale nie było w przepisie – pokazał na książkę leżącą obok, obłożoną w szary papier. Spojrzałem i rozpoznałem tamtą księgę z podziemi, karty z wykresami, jakieś ryciny, bladozielone stronice, zwijające się nieco pod wpływem pary. Abraham nic nie pisze o gorzałce, mruknął Fifak i łypnął.

Oj tam, gotuj, nie gadaj. Dolej gorzałki, mówię ci. Co z tego, że nie ma w przepisie, nie zaszkodzi. Trudno, żeby w przepisie było o gorzałce. Dolej, dolej.

Jak Wuj każe, powiedział Fifak i znów wzruszył ramionami, a potem odkręcił butelkę stojącą na taborecie i wlał. Zabulgotało, zawarczało, para buch.

O co chodzi? – zapytał Wuj – po coś mnie wołał?

Jest sprawa do ciebie, mruknął Fifak, a oczy jego rozlazły się i zeszyły nagle. Pani Mańka czegoś chce. Pytałem, ale nie chciała powiedzieć. Mówiłem, że jesteś zajęty, ale się upiera.

No dobrze, zaraz idę, powiedział Wujo i przeszedł dalej, na klatkę, na której paliło się światło. Patrzyłem na Fifaka, który węsząc wkoło, minął mnie, zupełnie o tym nie wiedząc, i pobiegł za Wujem, pozostawiając kociołek buchający dymem i księgę osnutą mgłą. Ruszyłem i ja przez schody i zobaczyłem, jak Wuj rozmawia półszepem z kobietą w szlafroku, w której rozpoznałem opiekunkę babki Apolonii. Wujo zakrzyknął: Nawet nie zauważy, tak wyszykujemy! A potem odwrócił się i zawołał: Fifak!

Fifak zaś natychmiast ukazał się na schodach i pilnie nasłuchiwał. Słuchaj, stara potrzebuje księdza, idź go poszukaj, ma się naszykować, umyć i iść tam, na pierwsze piętro, z Babką pogadać, wiesz, robić te wszystkie rzeczy, które robi ksiądz w takich wypadkach! Wygonić te dwie, co zawsze są z dzieckiem, hi hi. No, coś tam za kolędę wziąć, stara pewnie coś da. To powiedziawszy, krzyknął: No właśnie, ha! Ćśśś... – syknęła pani Mania, poprawiając szlafroczek, pobudzisz wszystkich w całej kamienicy. A tam, machnął ręką Wujo, wszystko jedno. Potem wziął panią Manię pod łokieć. Chodź, zapraszam na śniadanko albo na aperitif,

albo na wieczerzę – co jest w końcu, która godzina, już niedługo powinno być rano? Ciebie też zapraszam – odwrócił się do mnie, machając ręką. Mnie? – zapytał Fifak, który niby już pobiegł szukać księdza, lecz wciąż jeszcze nie odbiegł zbyt daleko, bo pojawił się natychmiast. Mnie też? – zapytał. Óóóó, syknął tym razem Wuj mój, robiąc groźną minę, cicho, bo pobudzisz wszystkich, zrozumiałaś? Ciebie później zaproszę, jak przyjdzie odpowiedni moment, a teraz mam kilka spraw. Idź po księdza tymczasem, na co jeszcze czekasz? Zamachnął się ręką, robiąc jakiś nieokreślony gest w powietrzu, a baranek strzelił okrutnie, od czego zaraz zatańczyłem krótko. Fifak znów zniknął. Pani Mania zaś, zabrawszy łokieć, popatrzyła na Wujka karcącym wzrokiem. Eeee, znowu się upiłeś, kompletnie ci odbija. Nigdzie nie idę o tej porze, wracam na górę, ksiądz ma zaraz przyjść.

Pora jest właśnie najlepsza, zawołał za nią Wujcio, ale już wbiegała po schodach na górę, więc machnął znów ręką, wyjął z kieszeni swoją pustą już zresztą zupełnie, lecz wciąż mieniącą się niby kalejdoskop buteleczkę, zaklął głośno i wszedł do swojego mieszkania na parterze.

Ja za nim, ja za nim w podskokach.

Wuj mój, patrząc przed siebie roziskrzonym i mało przytomnym wzrokiem, stanął na środku pokoju, podniósł palec i gestem wskazał, abym szedł za nim. Zapalił światło w sąsiednim pokoiku i moim oczom ukazał się niezwykle widok: w kącie pod oknem stało rozbebeszone łóżko ze skudłaconą pościelą, zbitą i rozwichrzoną niby dziwny kwiat. Reszta pokoju była za to po sufit obstawiona półkami, na których leżały sterty ciemnych i przezroczystych butelek, ułożonych ciasno jedna przy drugiej niczym szlachetne wina leżakujące w czyjejs piwniczce w oczekiwaniu dobrych czasów. Liczba butelek, często omszałych i zakurzonych, lecz także lśniących i czystych, była zdumiewająca. Półki, zrobione do przechowywania kolekcji wina przez jakiegoś fachowca, zajmowały trzy ściany i sięgały tak wysoko, że najwyżej położone butelki ginęły gdzieś, już niewidoczne. Przystawiona do półek drabinka ułatwiała gospodarzowi dostęp do tych najdalszych rejonów pijaństwa. Lecz kiedy przyjrzałem się lepiej, zauważyłem, że butelki, choć każda z nich nieco innej formy i barwy – a były wśród nich te po wódce, po mleku, po oranżadzie, po piwie, po oleju i occie, po winie i koniaku, whiskey, grappie, likierach, po szampanie i burbonie, po porto i maladze, po portwajnie i ajerkoniaku, po becherowce, żubrówce, jarzębiaku, krupniku, po wodzie mineralnej, po pigwówce, po miodzie, calvadosie, po rakii i po samogonie, po pieprzówce i przepalance, po bimbrze i żołądkowej, po soku, po cydrze, po kwasie chlebowym i po śmietanie, po śliwowicy i rumie, po palince i po spirytusie, po limoncello i amaretto, armaniaku i bergeraku, po piołunówce, po absyncie i po coca-coli, po sake i po ryżowym winie, po araku, po ponczu, grogu oraz goldwasserze, po dżinie, po alaszu, anyżówce, malinówce, wiśniówce, po pastisie i ouzo, po dereniówce, po brandy, po malibu, po księżycówce, orzechówce, po

ratafii, po tequili, winiaku, po siwusze, po sznapsie, po cherry, po sangrii i wermucie, po ciociosanie i martini, po campari i po kumysie, podpiwku, porterze, ale, po muskacie, rieslingu, bordo, po burgundzie i tokaju, po reńskim, mozelskim, cabernecie, sauternes, po retsinie, po maderze, lagerze, budweiserze, okowicie, gorzałce, po Dom Perignon, po wodzie kolońskiej, wodzie brzozonej, ogórkowej, po syropie, po rycynie, po formalinie, jodynie i po atropinie, po kwasie bornym, po mrówkowej wodzie, po glicerynie i po etanolu, po herbawicie, po kefirze, po świętej wodzie z Lourdes, po olejku, po klemastynie i aldehydzie – wszystkie butelki były niestety puste. Wszystkie były puste, ale w każdej z nich tkwił korek bądź też każda była zakręcona, zatkana szmatką, papierem, albo zalakowana czerwonym lakiem oprócz kilku z najniższych półek – te spoczywały na swych miejscach otwarte.

Wuj wyjął jedną z zakurzonych zielonych butelek po winie, zatkaną zwiniętą kolorową szmatką i podniósł ją do światła. Ujrzałem, jak przez zmatowiałe, bajkowe szkło w kolorze morskiej trawy przelewa się żarówkowy płomyk. Wewnątrz nie było nic. Teraz ruchem palca nakazał mi milczenie, a potem powoli odkorkował butelkę i przysunął mi do ucha jej smukłą szyjkę.

Usłyszałem najpierw szum, coś jakby słabe, lecz narastające westchnienie, dalekie stłumione brzęczenie jakiegoś roju pszczół. Szum narastał, a po chwili mogłem wyłowić z niego poszczególne dźwięki, szmery, szurania, zgrzyty. Z tej otchłani, jak z morza, poczęły się po chwili wyłaniać pojedyncze dźwięki, jakieś z daleka dobiegające głosy, stukot stóp biegnących po schodach, otwieranie skrzypiących drzwi, trzaski, odgłos uderzeń młotka, krzyki dzieci biegających w podnieceniu w kółko, ostry, napominający głos kobiety. Potem brzęk naczyń, dzwonięcie sztuców, jakieś szumy i szmery, mrużący, zły męski głos i znów stukanie młotka zbijającego coś. Słyszałem też coś jakby warkot motoru, szum dobiegający z niedalekiej ulicy, radio grające jakąś melodię sprzed pięćdziesięciu lat. *„Pisma twoja połączają, słyszu ja gołos radnoj”* i coś dalej po rosyjsku, czego nie mogłem już dosłyszeć przez trzaski i stukanie. To wszystko zamknęło się powoli w ciszy, jęk ustał, śpiew cząsteczek umilkł.

Wuj mój otworzył drugą butelkę, małą i pękatą. Zapaszek, jakby mdły, słodkawy, jakiś kwiat, zioło? Łąka? Kwiat, lecz zwiędły. Szum, który z niej się wydobywał, zaczął przeradzać się powoli w śpiew ptaków i coś jakby szumienie wiatru w gałęziach. Ptaki ćwierkające i gwizdzące gdzieś od czasu do czasu pomiędzy gałęziami, powolne kroki po zwirowej ścieżce. I po chwili coś jeszcze, coś spomiędzy, spod tych głosów, jakby głuchy, stłumiony szloch. Potem zdawało mi się, że były tam odgłosy stacji kolejowej, tłumy, okrzyków męskich i kobiecych, płaczu dzieci, śmiechu, gwizdu parowozów, sapania lokomotyw, stukotu kół wagonów, słyhać było zwierzęta, gdakanie kur i rżenie konia, gwar rozmawiających i krzyki kłócących się, przekleństwa i szuranie wielu stóp.

Wreszcie potężne trzaski, krzyki żegnających się i cisza, a w niej powolne z początku, a potem coraz szybsze dudnienie kół pociągu.

Kolejna butelka zawierała dźwięki dzwonka tramwajowego i nuconą przez kogoś piosenkę, potem odgłosy z targu, gwar i wesołe przekomarzania. Inna zawierała w sobie modlitwę, jeszcze inna piski dzieci, odgłosy z pralni, z drukarni, ze sklepu, z kościoła, z zakładu szewskiego, czyjś głos opowiadający własne dzieciństwo w języku niby obcym, ale przecież doskonale rozumiałym, jakieś przygody, szkołę, wakacje, pracę, wojnę, wydarzenia śmieszne i straszne, głos opowiadający o dzieciach, o rodzicach, przyjaciółach, wujkach i ciotkach, o świętach i zwyczajach, śpiewający od czasu do czasu piosenkę, ale nigdy nie całą, tylko zapamiętany fragment, albo recytujący kawałek jakiegoś wiersza ze szkoły, głosy mieszały się i nakładały, za chwilę powietrze krzyczało już wokół tysiącem głosów i dźwięków, lecz wszystko to w westchnieniu jednym, w czymś, co zamykało się po chwili jak ciężka pokrywa na skrzynię.

Słyszysz? – krzyknął Wujcio – mam tu ich wszystkich, całe archiwum zamknięte w butelkach, rozumiesz? Całe życie to zbierałem, całe życie. Dwadzieścia lat łążenia z butelkami. Ha! Spojrzał groźnie. Rozumiesz, dlaczego mnie księdzem nazywają? Za klechę mnie mają? Baranek najeżył się, ja już przytupnąłem, ale nie strzelił. Spociłem się nieco. Nie strzelił tym razem.

Usiadł. Zasepił się, broda mu zwisała i lekko się trząść zaczęła. Bulgotanie jakieś doszło, bąbelki na głębokości. To moje zajęcie. Czarny anioł, czarna mordą. Zaśmiał się, ale ponuro jakoś. Trzysta jednaście butelek. Chodziłem do tych, co mieli umierać, do tych wszystkich, co ze Wschodu tu przyjechali, ze Lwowa, ze Stanisławowa, z Czortkowa, Buczacza, Owrucza, Sambora, Stryja, Kołomyi, Kosowa, Drohobycza, Truskawca, Gródka, Rawy Ruskiej, z Glinian, Mogilan i Podolan, z Zadwórza, Złoczowa, Żeniowa, Podhajców, Chyrowa, Żydaczowa, Halicza, Łucka, Równego, Krzemieńca, Ołyki, Doliny, Zaleszczyków, Myrhorodu, Nieżyna, Kostopola, Dubna i Sokala, z Tarnopola, Borysławia i Nadwórny, Żurawna, Chodorowa, Werchowyny. I niby ksiądz gadałem, chciałem archiwizować to, co wiedzą, rozumiesz, póki jeszcze żyją, chociaż już w łózkach leżą, chorzy, ostatnia szansa, rozumiesz? Ale któregoś dnia, kiedy z ciotką Engandyną rozmawiałem i podpuszczałem ją, żeby opowiadała i wspominała, ona w trakcie tych wspominków zaczęła umierać. Umierać. I ja wtedy butelkę, która koło łóżka stała, butelkę po wodzie bromowej złapałem i do ust jej, rozumiesz, do ust. Żeby ostatnie tchnienie złapać, bo ona ducha właśnie zionęła. Ducha do butelki złapałem, rozumiesz. Wuj patrzył na mnie groźnie. A butelkę kawałkiem szmatki udartym z jej koszuli zatkałem i do kieszeni.

Coś w kącie zawarczało, ale ucichło. Wuj mój podjął opowieść. Od tamtej pory zawsze z butelką i korkiem wyruszałem, zawsze z butelką, jaka właśnie była pod ręką. I mam ich teraz trzysta jednaście. A ta – podniósł butelkę pustą

z napisem „Leyda” – po winie z Nowego Świata. Ta będzie trzysta dwunasta.

Rozejrzył się. Śliniło, ciemniało, pełzło w kątach i pod ścianami, zaciągało się i gęstniało. Będzie potop, powiedział. W oknie ciemno, światła goreją na stepie. Oczy wilcze, żółte, skośne płomyki.

Nagle pukanie do drzwi, ruda głowa Fifaka, Wujku, otóż nieszczęście, ksiądz pijany zupełnie, chciałem go przyprowadzić, ale nawet gorzej, bo w dodatku nietrzeźwy i rozlewa się po kątach, i kuca. Ja go podnoszę, a on kuca i kica. Nic z tego, Wujku, on kica. Kuca. A język mu się poplątał, jakoś nie do rozwiązania zdania plecie, nierozplątywalny węzeł. Powiedział: Łaska łaski wzywa, czasem czasem do gęby doprowadzi, a straci czasem zęby. Tak mówi, a także rozważa tomistycznie i orygenesowsko, no i zaplątał się, zaplątał. Nic z tego, bo kuca. Ja go pod pachy, a on kic i kuca.

No to nie, skrzywił się Wuj, błysnął zębem. No to nic. To ja sam pójdę. Albo ty idź. Albo nie, ja pójdę. Babka mnie za księdza ma od dawna, było się w seminarium, w różnych opałach. Pójdę ja. Fifak głowę wciąż wkładał przez drzwi uchylone, a oczka jego wokół czaszki błędziły, błędziły i już na drzwi wpęzły, ale Wuj rzekł: Dziękować, dziękować, pójdź już tam do gara, bo się scukrzy albo zetnie, proszę, do cholery jasnej, scukrzy się, przedobrzysz i scukrzy się albo i szumy wystąpią. Fifak prychnął, westchnął i zniknął, a Wuj do mnie: Ja pójdę, ale i ty idź, a tobie opowiem najpierw, w czym jest sprawa.

Babka rzeźnię miała. Majątek, dzień drogi od Lwowa na wschód, a kiedy kurhany było widać i łąki w maciejce i rumianku, trzeba było za rzeczkę, pod lasem w bok i tam grusze i jabłonie, murowane piwnice i zabudowania. Dworek na podmurówce. Drzewa cień dające, las czerniejący opodal, pola złote i żółte, słoneczniki, potem winnica, potem łagodne zbocza, Gołogóry i Złotogóry. I tam, za „Lunopolem”, rzeźnia, z pokolenia na pokolenie coraz bardziej znana, na cały powiat, na cały kraj i zagranicę, na Podole i Wołyń, na Ruś Czerwoną i Czarną, na Ukrainę i na Księstwo Bałaku, na Pokuciu ją znali i na Polesiu, w Transylwanii i Siedmiogrodzie, i na Multanach. Babka rzeźnię miała i robili tam pasztety, szynki i szaszłyki, wędzonki i schaby, pętelki i szponderki, kiełbasy i bitki pierwsza klasa. Zjeżdżało towarzystwo z Ukrainy, z Polski, z Węgier, z całego Cesarstwa. Rozumiesz, majątek, przeszło czterdzieścioro robotników, a zapach jaki szedł od wioski do wioski...! Babka rzeźnię miała i ziemię obok, i bogactwa. To wszystko w papierach, przepisy, proszę ciebie, nigdy nieujawnione, tajemnica chowana przez trzy okupacje i wywózki, parcelację i rewolucję, przepisy! To ma schowane gdzieś i nie chce powiedzieć gdzie, ale powie! Może tobie powie. Połudwica, drób także, stada spędzali do niej: jagnięta, cielęta, prosięta z Żytomierszczyzny i z lubelskiego, z Dzikich Pól woły gnali. Kury z Mazowsza, gęsi z Małopolski, indyki z Mołdawii, nawet koźleta z Czarnohory. A z tego kotlety, mortadela, kaszanka, głowizna, udźce dojrzewające pod powałą. No i palcówka. Palcówka książęca albo i pępkówka hrabiny.

Babka rzeźnię miała, tu idzie o spadek, wielkie przedsiębiorstwo, lunopolską

fabrykę przez państwo upaństwowioną, teraz uwłaszczaną. Pójdź do niej, ja zaraz się naszykuję – może czegoś się dowiesz. Gdzieś zakopała skrzynkę, schowała papierzyska, wielki skarb, wszystko w jednym dokumencie, koperta z całym spadkiem i papierami zapisanymi drobnym maczkiem, psiakrew, gówno widać, cipciowata kaligrafia, kiedyś w rękę miałem, ale tylko przez moment, ech, ech! No, ale coś tam jeszcze, to ważne, taka maszynka, rozumiesz, na korbkę, taki mechanizm malutki, robiony w Padwie, poskładany w Wilnie, Krzemieńcu i Lwowie, rozumiesz, który grał pięknie, melodie, muzykę i piosenki przepiękne generować umiał. Wierszyki... Maszynka taka, katarynka, psiakrew. Wszystko inaczej było. Ja już nie pamiętam tych melodyjek wszystkich, a dobrze by było... Twarz wydłużyła mu się i szerniała, iskry z brody poszły, w baranku zawrzało, strzeliło, dym buchnął. Zagrać by było dobrze znowu, rozumiesz? – powiedział. Zatańczyłem króciutko, w sobie, bo mnie ponaglało pod spodem. Jeszcze ci powiem, że jeden warunek jest. Babka ma wnuczkę, trzeba i wnuczkę wziąć, bo wnuczka przecież też dziedziczy wszystko, musisz więc wnuczkę wziąć, Lecię. Letkę musisz wziąć, ot co! – krzyknął, z czapy silnie dymiąc, aż zerwał ją i ścisnął i ukazały się włosy sklezione, zmierzwione, w kędziorkach i miodzie. Ale to nie takie proste, zobaczysz!

A teraz idź, no, idź już! Jakby o tych dwóch Żydówkach z dzieckiem znów opowiadała, nie przejmuj się, ona w kółko o tym. Zobaczysz sam zresztą, co za sprawa. Masz butelkę na wszelki wypadek, wiesz już, co robić – butelkę lejdejską wcisnął mi do garści, a ja nie wiem dlaczego, posłuszny byłem i kożuszek poprawiając, bo mnie ocierał, zebrałem się i poszedłem na górę. Minąłem kuchnię zaparowaną, w której Fifak mnie śledził swymi oczami błędzącymi i za mną biegającymi i wszedłem do babki Apolonii piętro wyżej, czepiając się po drodze lian i pajęczyn na klatce, skacząc po półpiętrach i mostach zwodzonych. Lecz butelki nie stłukłem ani nie nadwyrężyłem naprężeń.

Babka przywitała mnie w ciemności, coś mrużąc pod nosem. Kazała siadać, herbatkę popijać i arak, pokazując taboret niewygodny i krnąbrny. Usiadłem, nie chcąc robić skandalu, ponieważ ani herbatki, ani araku nie widziałem nigdzie, lecz ciemno było w pokoju i mogłem przeoczyć.

Szurało i mlaskało w mroku, kiedy Babka zaczęła: O, poznajesz stryja Rykuńcia? Przyniósł borówki, nabierał w lesie, a wujek Janek grzyby, bierz i obieraj, będziemy nawlekać do suszenia. Figa przyniosła warcaby, potem zagramy, a teraz nalewaj sobie araku i nawlekaj, masz igłę i nić, niech Figa ci poda. Figuniu, podaj z łaski swojej igłę kuzynowi. I niech razem nawlekają z Brońciem, bo obok siedzi.

No dobrze, ale ja nikogo w pokoju nie widziałem. Mogłem jednak przeoczyć, ciemno było, a w ciemności coś bulkowało, mlaskało. Jakaś sprawa była w ciemnościach, ale niewyraźna, coś się tam i poruszało, jakiś kształt na chwilę się wyjawiał, a potem rozmazywał, rozsypywał w tysiąc punkcików, w pył błyskający i migotliwą lunę. Więc jakby kształt, figura jakaś. To wujciu Janek, znasz przecież, on ma najdłuższy wianek, same borowiki, potem smardze, powiedziała Babka, poprawiając się na posłaniu. No, a Rykuńciu to kurki, maślaki, kozaki, dobre oko do nawlekania, prawda, Tusiu? No, Figa ma opieńki i koźlaki, podgrzybki i kanie. No i mnie zostawili same kapelusze, a jeszcze zawołamy Manię, szybciej pójdzie. No i kuzyn Brońciu, on jak zwykle na końcu, ale jemu dajcie spokój z nawlekaniami, on woli palić te swoje cygaretki. Proszę się częstować, i komu jeszcze nici?

Nie widziałem nic w ciemności, choć jakiś szept, jakieś przesunięcie, ramię, uformowana szarość pyłu księżycowego, jakiś kontur, powiew, podmuch. Coś zajaśniało, zaistniało, osunęło się, wzniosło. Dym jakiś, słowo, gwar niejasny. Może rzeczywiście, nić poczułem i igłę, jak mnie igła nagle kłuje w bok, więc macam i igłę mam w kożuch wetkniętą, wbitą, ach, od dawna mnie kłuła już i przeszkadzała, za konduktor ją miałem, elektryczną ostrogę.

Nici w powietrzu, wystarczy ręką sięgnąć i z oczu zdjąć, nawlekam, nawlekam, lecz nie widzę wiele, igła nie błyska, oko w igle niewidoczne, choć może przeoczyłem, ciemno było. Nawlekam, ale ręce za duże, palce za grube i trzęsą się. A i taboret krnąbrny i się kiwa. No i jak kurki, maślaki nawlekać, skoro nie nawleka się, zbyt maślane, jak suszyć, skoro nie suszy się, psiakrew? Paluchy za grube, dłonie olbrzyma, ucho igielne za małe i niewidoczne zgoła, ale może jest, tylko przeoczyłem. No i trzęsą się dłonie, taborecik chyboce. Mimo to nawlekam, aczkolwiek bez sukcesu.

Ty nawlekaj, ale i borówek pojedz, ze śmietaną, to Figa przygotowała, bo, jak mówiłam, wuj Jaśku nabierał i przyniósł, w lesie tym czarnym, pod Smolarnią czy pod Zamościem, nie pamiętam. Może też przyjdą siostry moje z dzieckiem, to w sam raz borówki będą, proszę ciebie. Borówek pojedz, one są bardzo zdrowe i do późnej starości światło w głowie zapewniają, jak i ja mam, tak i ty mieć będziesz, powiedziała Babka, kołdrę gładząc. No i tak, a ja tymczasem testament spisałam.

W obecności pana Antoniego i ciotki Leonki, którzy podpisami poświadczyli. Żadna tajemnica dla tych, co mnie znają, ale może trochę niespodzianek jest. Pochyliła się do mnie: Ty wiesz, gdzie papiery schowane – wskazała głową półkę z książkami wygiętą i przesiąkniętą ciemnością, skąd dobiegały pomruki i jakieś sapania i gwizdy. Ty dziedziczysz, ty kuferek weźmiesz, papiery cenne i klejnoty nasze, ale warunek jest jeden: Lecię musisz wziąć, Letkę naszą. Złote dziecko, radosne. Słonko chodzące. Zalatana, gdzieś wciąż się chowa, na miejscu nie usiedzi, nie usiedzi. Innym też dałam po części, ale nie wiem, czy wykorzystają dobrze, czy nie przepadnie, nie zmarnuje się majątek. Lecię znajdź. Ona wszystko zna, cała historię naszą na pamięć, zdolna niesłychanie, wszystkie opowieści ot tak, z głowy potrafi na stojąco trzy godziny gadać.

Ale nawlekaj! – zawołała, nawlekaj! A ja, paluchami trzęsącymi się, nawlekam, zęza robię, a ucha nie ma, aczkolwiek mogłem przeoczyć. Taboret tymczasem się telepie i łapy mi się trzęsą, a igła i nitka, nitka coraz cieńsza, jak nitka, niteczka, a igła, igielka coraz bardziej przezroczysta, a jeszcze z koniuszka nitki rozczapierzonego cztery inne niteczki, ten koniuszek rozdwaja się, poczwarza, rozdziela się na cztery jeszcze cieńsze nitki, a te znów na cztery, wiotkie, tak wiotkie, że sapanie moje porusza nimi, rozwiewa je, wygina. Już nie nitka, ale na końcu nitki pędzelek, jak trafić, jak nawlec? Pędzelek.

Coś tam zaszurało, zabełkotało w kącie. Oj, przecież wiecie dobrze, co myślę, już nie musisz nic mówić, Figa, zadecydowane. I jeszcze ci powiem, pochyliła się znowu, że dla sióstr moich starszych, Sary i Estery, to przekażesz, koniecznie. Nic więcej dać nie mogę, ale zadośćuczynienia pragnę. I w rękę wcisnęła mi kawałek metalu. Idzie potop, powiedziała Babka, poruszając się gwałtownie, i tak jest szpara w podłodze, która się powiększa. I sączy się stamtąd, słyszysz. Oddaj to siostrom moim i znajdź Letę, znajdziesz ją łatwo – wystarczy, że bużkę otworzy, i ją poznasz zaraz. Piosenek zna a wierszyków, a modlitwy różne. Niech coś powie i od razu będziesz wiedział, że ona.

Zahuczało, zaszumiało i drzwi otworzyły się, żarówka rozbłysła, dzwonek zadzwonił i ukazał się w progu wuj Jan w całym majestacie, w komży, czarnym palcie z kołnierzem na sztorc, barankiem wywiniętym i uformowanym w beretkę, z książeczką małą w dłoniach i krzyżem na piersi. Popatrzył na mnie groźnie. Aureola wokół niego, jasność, opary jakieś rozchodziły się ze świstem i dyszeniem, hosanna skraplała się na czole i czubku nosa. Pod nosem kropla, trzęsie się, upadnie, nie upadnie, wisi, drży.

Niech będzie pochwalony!

Na wieki wieków, odpowiedziała Babka. Idź już, spowiedź odbędę, powiedziała do mnie, popychając mnie lekko.

Idź już, synu, mruknął Wujcio i popchnął mnie lekko, aż mi w kożuchu zaiskrzyło, podskoczyłem. Ale butelkę daj, powiedział cicho. Podałem i krokiem

do walca, tanecznym z lekka, opuściłem pokój. Na korytarzu, kiedy drzwi przymknąłem, zobaczyłem, że w dłoni trzymam klucz duży, metalowy, zdobiony, zaśniedziały lekko, brązowawy, ciężki.

Co masz tam? Fifak już był pod drzwiami, już ucho wyciągał, a mi do garści zapuszczał żurawia. A nic, powiedziałem, odwracając się i walcującym krokiem na trzy dystans biorąc, nic, to klucz jest francuski lub cudzoziemski, którym śrubę poluzować muszę. Śrubę? – zapytał Fifak, zadziwiony. Śrubę w zaworze do komory głównej, odpowiedziałem. Do komory? – zapytał. Jakiejże komory? W reaktorze, odpowiedziałem, coraz bardziej zadziwiony. W reaktorze rakiety.

Wykonałem piruet i oddaliłem się, po dwa, po trzy pokonując schodki. Ciemność tymczasem najeżyła się, spuchła i dziwny z niej dochodził zapach. Szumiał i trzeszczał dom cały, skrzypiały deski, piały krokwie, noc usiadła na nas i zgęstniała nagle. A ja klucz miałem, klucz ciężki w ręku do wszystkiego tego, do dziurki nocy klucz mogłem przypasować i otworzyć ją, w dziurkę nocy klucz włożyć i przekręcić. Dobrze się składa, pomyślałem i skrzywiłem się, pomyślałem też: Co ja tu myślę, skoro to sen, we śnie myślę, we śnie myślę, śpiąc, i myśl swą badam trzeźwo, wiedząc, że śniona. Ale trudno – pomyślałem i już. Pomyślałem, w dziurkę nocy włożę, skoro tu przysiadła, i wreszcie otworzę sens ukryty, wreszcie otworzę drzwi i w domu będę. A tam moi, nareszcie, położę się obok i normalnie obudzę rankiem, sen mara. Punkt jeden z dziesięciu.

No to do dziurki. Drzwi pierwsze lepsze otwieram gładko, nie skrzypi, nie wyje, choć w głowie mi szumi i gwiżdże, ale nic, wchodzę i od razu widzę, że to nie to mieszkanie, nie ta izba. Bo dziwnie, w korytarzu czysto i talerze zawieszzone na ścianach, śliskie kafle na podłodze i mlaszczą stopy moje. Zimno jakoś, że aż jeży się kożuszek, i panuje zapaszek ostry, w nosie wiercący, płaczę, płaczę, psiakość. Idę i płaczę, a na ścianach nowoczesna sztuka, raczej romby, figury, cyfry tudzież rzeźba. Płaczę, idąc, a tu szklany stolik i rękawiczka gumowa, porzucona czemuś. Idę, zaglądam, mrok się rozrzedza, bo chemicznie spryskany, wyostrzony środkiem czystości, zaglądam – pokój geometryczny, wykładzina, kubistyczne meble, szkło, nikiel, plastik. Na ścianie dyplom „dla Wzorowej Kadrowej od Wdzięcznej Spółdzielni”. Kuchnia także, że aż się chce płakać, lustro kafelkowe na podłodze, obok pokoik drugi, ale jakby nie pokoik, jakby gabinecik, łóżko z ceratą jakby nie do spania, narzędzia groźne, ostre, dalej zasłonka, taboret, plastikowe krzesło, wiaderko, worki niebieskie. Coś szura obok, szura obok, zaglądam, a na podłodze pani Mania odwrócona ode mnie, na czworaka szura i posuwa po podłodze, poleruje, czyści, wypinając się, kołysząc, tyłem wiercąc i wiercąc w powietrzu w moją stronę. Aż się chce płakać.

To jej królestwo, coś szura tam sobie, coś nuci pod nosem, szoruje, wypinając się do mnie, a ja za nią stoję i płaczę, bo wierci mnie, wierci i łyzy kapią same. Ale coś jeszcze, coś jeszcze czuję w powietrzu, jakiś obcy zapach, ale znany już wcześniej, tam, w podziemiach wyczuty, krew, krew, krew tu czuć, czuć krwią. Ale gdzie? Tu? Uciekać! A pani Mania nuci piosenkę romansową i wierci tyłem w mój kierunek, aż w nosie kręci, aż łyzy. I co, klucza użyć? Ale krew, i dziwnie mi, straszno jakoś, więc się wycofuję pomalutku, klaszcząc po cichu po podłodze, powoli, i już jestem z powrotem na schodach, w ciemności. A ona wierci, nuci, wierci tyłem. Drzwi zamykam za sobą.

Ach, ciemność już mijała, rzedła z sekundy na sekundę i już wyłaziły z niej przedmioty i krawędzie, wierzchołki i czubki, już się formowała w bulwy i grymasy, już się przepoczwarzała w świat, już przybierała minę rzeczywistości. A ja mam klucz! Do których drzwi? Szukałem dalej, szedłem w górę po schodkach, a ciemność już opadała, w kąty, w dziury, kładła się nisko. Szedłem, a ona wzbijała się jeszcze na chwilę ze stopni pod stopami moimi i stawiała figury dziwne, niejasne, ale wnet rozwiane połami kożuszka.

A schody są dziwne, kręte i przyklejone jak wstążka do ściany, skrócone w paroksyzm podwójnej spirali. Żadnej poręczy i brakuje niektórych stopni, to tu, to tam wciąż zerwany fragment, a klatka schodowa jak głęboka studnia, tylko furkoczą wte i wewte gołębie, a może nietoperze. I chwieje się, huśta się cała konstrukcja, odstaje od ściany, szczelina, mrok, przepaść. Nad nią zaś trapy, kładki

chybotliwe, wąskie, więc trzeba skakać, ale coś furkocze, gołąb, nietoperz, coś pomyka pod ścianą. I trochę tak, trochę na czworaka, ale już widać drzwi.

Drzwi jakieś w połowie na schodach, a w połowie nad nimi, trzeba znów wskoczyć na platformę z desek, resztki balustrady, i tam dziurka, i kluczem się dobieram, klucz wchodzi i zgrzyta, aż się język kożuszek mój, klucz się obraca, więc i ja wchodzę, zgrzytam, obracam się, kręcę. Może tu, może tu nareszcie?

Ale chyba nie, przedpokój ciemny, zasmolony jakiś, chociaż świta już przecież, luna bije z okien, wstają blaski na stepie, nad blokowiskami jakieś zjawiska niebieskie. A tu smolarnia, ciężko, niejasno. Idę powoli, skradam się właściwie, nie wiem, co zobaczę, czy pudła, skrzynie czy maski na ścianach, kilimy. W pokoju wreszcie, przy stole, za lampą, coś tam do siebie gadający kuzynek Bronio, czarniawy, zmierzwiony, nastroszony jakiś. Ten sam Bronio, który jako dzieciak łąził po nocy, lunatykując, i trzeba go było ściągać z gzymsów, wynosić z poczekalni, łapać gdzieś za miastem idącego za księżycem. Ten sam Bronio, co koszmary miał i krzyczał na pomoc. Babka go wyrodkiem zwała, trochę dziwny był, mówiono, że za granicą spędził kilka lat i że stamtąd przywiózł zwyczaj narkotyzowania się co wieczór, ale skąd pieniądze miał, nie mówiono. Ktoś znaczny, organizacja jakaś wysyłała mu przekazy? Finansowali go możni i wielcy tego świata? Konzachty miał, gdzieś wstąpił, jakoś go wzięto za swego. Kręcił coś, mówił dziwnie, z akcentem obcym. Coś obliczał, gryzmolił na karteluszkach. Prezes go zatrudniał i zwalniał na przemian. Bronio rysował i malował, ale kto by mu tam wierzył, że z tego się można utrzymać, tym bardziej że rysunki potworne były. Całe mieszkanie zawalone płótnami i sztalugami po sam sufit, obrazy naciągnięte na blejtramy, poodwracane do ścian, przykry zapach terpentyny, cały ten bałagan artystyczny przykrywał coś innego. Do tego wielki, migocący ekran komputera, na którym przekrzywiał i spotwarzał swoje mazidła. Plamy kolorowe, płótna białe, łóżko rozgrzebane.

Wiadomo było, że jest homoseksualny, a dla niepoznaki wciąż przyjmował u siebie kolejne kochanki, widziano wciąż nowe z nim kobiety, choć sam był jakiś pokurczony, szpetny, zwęglony. Widziałem go teraz, zgiętego, z twarzą niezdrową, w cętki, jak pali papierosa, oparty jedną ręką o biurko, brudną ręką. Biurko w papierach, w maźnięciach, w krechach, ołówki turlające się. Na łóżku zmierzwiona pościel, skołtuniona kołdra, obok niej kobieta naga, zielonkawa lekko, rozczapierzona, ulepiona z plam, pulchna, lecz chuda, coś nie tak, nielogiczna, z kreską czarną, z czerwoną kreską, nabrzmiałą wargą, sutkiem, ze sklejonym włosiem.

Bronio ujrzał mnie i skinął na mnie, zawołał. Jakoś tak się mierzwił, kurczył, spod byka spoglądał, ręki nie chciał podać, tarł jedną dłoń o drugą, kłaniam się, kłaniam, powiedział, kuzynowi. Poznajesz Anielę? Oczami rzucił i przegiął się w stronę łóżka.

Pościel wzburzyła się, Aniela dym wypuściła, jakoś stęknęła, usta otwarła nabrzmiałe, lśniące. Coś powiedziała, cętki sine pojawiły się na jej ramieniu.

Nie wierzyłem. Ani jemu, ani Anieli. On kłamie najwyraźniej we wszystkim, bo żaden malarz z niego, przykrywką to jest do czegoś gorszego znacznie, zaś Anieli tu nie ma, a nawet jeśli jest, to przykrywką jest tylko do jego homoseksualizmu, może i ona sama jest homoseksualna, a może nawet i ja? Nie wierzyłem, pułapka. Dlatego powiedziałem: Poznaję, cześć, Aniela.

Dym puściła, oko jej zsunęło się nieco, wargę zwiśla. Mruknęła coś, podciągnęła kolano. Kreska czarna, kreska czerwona, purpurowa nawet. Nie wierzyłem, pomyślałem: knuje coś. Ale jakby się ukonkretniała właśnie, z galaretki w kandyzowany owoc przechodziła.

Pięknie wyglądasz, powiedziałem. Ale bełkocząc troszkę, bo język, za długi, zwiślał mi wciąż na brodę. Coś zaburczało w kątach, zabułgotało, zaszurało. Malujemy, krzyknął prawie Bronio. Malujemy właśnie, powiedział ciszej, pokazując ramieniem sztalugi i tubkę farby, wyciśniętą, ale do połowy. Coś kręcił, widziałem bowiem dobrze, że malują tylko na niby, farba do połowy tylko była bowiem wyciśnięta, a płótno do połowy zamalowane – była na nim naga kobieta z plam i cętek, z kreską czerwoną, purpurową, grubą i czarnymi kreskami, zmierzwiona, lecz bez kawałka nogi. Ach, powiedziałem, ach.

Zobaczyłem w oknie lunetę, a szarzało już, szarzało bardzo, kaszka z mlekiem, grysik na dworze. Rozpalały się moczary światłem najpierw bladym i rozwodnionym, potem znów coraz bardziej szklistym. Ale najpierw kawa inka i grysik, kaszka manna.

Może chciałbyś zajrzeć? – zapytał Bronio. Ptaki obserwuję, ptaki, odkąd mój ojciec na emigrację się udał wewnętrzną, powiedział. Powiedział, a wówczas Aniela prychnęła. Prychnęła, kropelka z nosa wyciekła, wargę się rosą sperliła, a ona sama zsunęła się na pościel, rozbawiona. Popiół spadł i żarzył się cicho w pierzynie. Wiedziałem: kłamali. I to nieudolnie.

17

Spojrzałem w oko lunety: kaszka manna, ale regulator działał i ostrość nadeszła po nakręceniu końcówki palcami. Wtedy, w szarzącym poranku, w rozwijającej się bladej linijce blasku na horyzoncie, ujrzałem miasto. Było szare, srebrne nieco, z niebieskim nalotem. Tuż za linią budynków stojących ramie w ramie widziałem ogromne cielsko rzeki, zwijające się w węzłach i splotach, a nad nią zanurzone po kolana ogromne drzewa, szarpane i wyginane przez kłębiące się wody.

Miasto tymczasem, obsypane już kryształkami świtu, nie chciało się obudzić, otrząsnąć z szarej magmy snu, powoli wyłaniały się dopiero niektóre domy, skwery, fragmenty wież, drzewa, ławki, kawałki muru, śmietniska, balustrady,

ploty i kominy. Szyby podawały sobie płomień świtu jak olimpijski znicz, rozświetlający kolejne partie nicości i wydobywający je z bezmiaru i nieistnienia. Rozproszone, rozpuszczone w ciemnym płynie nocy cząsteczki materii sklejały się na nowo w formy i kształt, powoli nagrzewane i naładowywane energią świtu. Trwało to długo i nie było do końca udane. Tam, gdzie płomień przeszedł, często wracała niejasność i płowość, kształty popadały w chaos i rozwiązłość, rozmywał się kontur. Dzień wciąż nie chciał wstać, jakby brakowało mu pewności, jaki ma właściwie być, jaki ma mieć kształt, co ma objawić, jaką historię reprezentować, czego bronić.

Zatrzymałem wzrok na chwilę nieco wyżej i ujrzałem wodę wzburzoną, wielką, jakby cielsko przekręcającego się wciąż z brzucha na plecy szarosrebrnego, potężnego węża. I wtedy, kiedy już niemal rozpoznawałem, gdzie jestem, w jakim kącie miasta znalazłem się tej dziwnej nocy, na kilka minut przed świtem zobaczyłem tam biegnącą nieco chyłkiem panią Manię.

W obu rękach miała ciężkie foliowe worki. Śledziłem ją ciekawym, dokąd idzie, z myślą i nadzieją, że wreszcie wyprowadzi mnie z tego zaklętego kręgu, że rozpoznam drogę do domu. Szła przez chwilę chodnikiem. Szum rzeki dochodził aż do mnie. Doszła nareszcie w miejsce, gdzie kanał przekraczał mały mostek miejski zwany Zielonym. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby woda była w tym miejscu tak wezbrana, żeby huczała tak głośno. Pani Mania weszła na mostek, przełożyła przez barierkę torby i zrzuciła je do ciemnej, sunącej szybko wody, jedną po drugiej. Pożegnał ją plusk zagłuszony przez szum wezbranego nurtu. Woda połknęła worki a pani Mania, nie odwracając się, ruszyła szybko z powrotem przez szare ulice.

A mnie dotknął ktoś w ramię, aż podskoczyłem. Był to Bronio, skulony, sklębiony. Powiedział: Obserwuję ptaki przez to szkiełko. Oraz chmury, chmury i tak dalej. Powiedział tak, ale nie wierzyłem mu, z pewnością do innych celów narychtował tę lunetę. Okiem celując w inne okna, podglądając coś, jakąś sprawkę swoją krył. Ptaki! Już ja wiem, jakie ptaszki podgląda przez to szkiełko, już ja wiem, na co robi zbliżenie, co tam sobie wypatrzył. Dlatego powiedziałem: Ach, ach.

Ale on niestropiony, niestropiony wcale, wręcz przeciwne nawet miałem wrażenie, ale ciemność jeszcze plamami mykała tu i ówdzie, więc mogłem przeoczyć, ale miałem wrażenie, że rozkurczył się nieco, wyprostował. Kuzynka Aniela tymczasem paliła nadal, ale już końcówkę miała tylko w ustach i widziałem wargę lekko odstającą, czerwoną, błyszczącą. Śmiała się.

Emigracja wewnętrzna! Ha ha, stary, obleśny świntuch, mruknęła. Uciekł, bo już mnie nie mógł miętolić. Dobierał się do mnie cały czas. Zboczeniec. Językiem mnie chciał. Musiał mnie, mruknęła. Pochyliła nieco głowę i rozmazała się znów cała, tylko cętki i plamy sine, kreska mocna czarna i kreska czerwona.

Musiał mnie, obleśny staruch, językiem mnie musiał, ślinił się do mnie, mruknęła. Obrzydliwość. Językiem mnie trącał, poruszał mnie językiem. Oblizwał mnie. Musiał mnie lizać. Fuj. Prezes, niby taki prezes spółdzielni, inżynierek, a lizał mnie. Oblizwała wargę. Lizał. Bez tego nie mógł żyć, musiał mnie lizać codziennie, przyłaził i lizał. Wylizwał mnie całkiem. Świntuch. Zaśmiała się. Dym puściła przez wargi, cętki zbiegły po ramieniu. Kłamała. Wiedziałem, że kłamie, że to przykrywka, gdzie tam lizał. Może wachał? Albo szczypał? Nie mógł lizać, musiała coś ukrywać, coś skrywała przede mną.

Nie odleciał, tylko wlaź tam, zaszył się na strychu. Zboczeniec. Prychnęła znowu, a żar żarzył się cicho, wargę zwilgotniała. Pochyliła głowę i włosy jej rude, rozrzucone, zaogniły się, a po karku, widziałem, kropelka zaczęła płynąć, kropla potu, w dół, pomiędzy łopatki. Generalnie – ślinił się, wciąż mnie językiem musiał dotykać, a jak przestałam chcieć, to poszedł. Mówił, że przestałam mieć smak. Świnia.

Kłamała, ewidentnie. Jak świnia, skoro na strych? Prędzej sęp, kondor. Kłamała, widziałem: kropla, wargi wilgotne, tatuaż na karku, tam, gdzie zaczynają się plecy, Ahad czy jakoś tak. Kłamała, niemożliwe, żeby lizał. Powiedziałem: A to świnia, rzeczywiście. Przysunąłem się bliżej. Przełknąłem ślinę.

Popatrzyła na mnie jakoś wyraźniej, jakby się uformowała bardziej, jakby wyraźniejsza była: obojczyk, ramię, sutek, wargę, czerwona szparka pomiędzy wargami. Pomyślałem: A gdyby tak klucz? Klucza użyć? Ale czy była naprawdę, czy istniała, była tu, przede mną? Raczej kłamała i po prostu nie było jej, tak jak

i wszystkiego tego wokół. Ale gdyby tak użyć i przekonać się?

Co ty, co ty? Co tam u ciebie tymczasem? – Bronio zapytał jakoś tak z boku, wtrącając się nagle, dla niepoznaki, do naszej konwersacji. Wiedziałem, że dla niepoznaki, był homoseksualny, to była przykrywka. Co porabiasz u nas, co tam? – zapytał, ale ponuro jakoś. My malujemy, wiesz, ale też narkotyzujemy się.

I pokazał na stolik, a tam tabletki, pigułki, opakowania. Wskazał ręką i zobaczyłem, że się wstydzi dłoni, bo wskazał tak, jakby rękę miał brudną, lecz wiedziałem, że kłamie, że rękę ma w ranach, w strupach dłoni i palce, krew ledwie zaschnięta. Nie farba z tubki do połowy wyciśnięta dla niepoznaki, jako przykrywka, lecz krew! Wiedziałem, bo krew w powietrzu wyczułem, wyraźnie, kożuszek mój się nastroszył, krew! Narkotyzujemy się, powtórzył. I wskazał na stolik, a tam leżały pigułki. Raphacholin, clemastin, sorbitol, aspiryna, rutinascorbin i tiamina, chlorchinaldin, ryboflawina i rycyna, vibovit i calcium, alka-prim. Zażyjesz? – zapytał. A, tu cię mam, pomyślałem, bo wiedziałem, że kłamie, że to przykrywka, że pytając, czy zażyję, myślał, że rzucę się na pigułki jak dziki zwierz, lecz wiedząc, że on się narkotyzuje, udam tylko, że zażywam, aby mieć go na oku. Myślał, że pytaniem, czy zażyję, zmyli mnie, a ja udając, że zażywam, odkryję, że to tylko przykrywka. Więc odpowiedziałem: Oczywiście. I zażyłem.

Wtedy Aniela zwlokła się z pościeli i podała mi do popicia coś, co naląła z butelki. Jej rude włosy opadły wtedy niżej, zakrywając sutki, cała w złotych plamach i migocząca przeszła, ciągnąc dym z papierosa. Wargi nabrzmiałe, czerwone, i kreska, cienie się kotłujące, przesuwane tuż za nią. Podała mi szklankę, łyknąłem. Napij się, to trucizna, prychnęła. Gorąco, była to trucizna zapewne, chcieli mnie otruć, lecz im nie wierzyłem. Napilem się. Na języku gorąco. A może byś chciał polizać? – zapytała, podsuwając mi palec.

Gorąco. Ale nie wierzyłem, że gorąco, to była przykrywka, bo było zimno, coraz zimniej pomimo kożuszka. Na przykład sutki na to wskazywały spomiędzy włosów rudych i kędzierzawych. Ale dłoni, dłoni Bronia cała w ranach, pogryziona. I jakże teraz lizać? Jak lizać, skoro krew?

Bronio widział, że ja widzę. Ale nie wierzyłem mu, rękę przysuwał, chciał, żebym widział, to przykrywka była. Karmimy zwierzęta! – krzyknął nagle. Ach, wpadał w coraz większą paranoję, w spiralę kłamstw, wir go wciągał i wciągał, wsysał. Ale brnął dalej – karmię zwierzęta, lubię zwierzęta, popatrz! I pociągnął mnie w głąb pokoju, za małą kotarkę z koca zawieszono zrobioną, gdzie były jakieś rupiecie i zapach kurzu drażnił nos potężnie. I szuru-buru, coś rozlało się pod nogami, a pod ścianą jakiś cień ciemniał, nasiąkał. Bronio coś pomruczał, rzucił mandarynkę na deski podłogi. Mandarynka – bęc, i potoczyła się prawie pod szafę, prawie. Widać było ją jeszcze przez moment, bo niemal w tej samej chwili coś ją Chapmano, zwierzak jakiś, bestyja jakaś, mała, kudłata, z uszami, pysk świnki,

ale pudel raczej. Skądś znałem już to bydłę, ale zniknęło szybciotko pod szafą, porwało mandarynkę i szuru-buru, zakotłowało się, zapiszczało i nic, cicho.

Widzisz? – zapytał Bronio. Karmię zwierzęta, bo lubię. Nie pomyślałbyś pewnie, że w kamienicy zwierzęta mogą żyć, a mogą. Różne, mam kilka, przychodzą, jak im coś rzucę, czasem tylko chapną za rękę – powiedział i za dłoń się chwycił. Ale to nic. Nie wierzyłem mu, ponieważ dla przykrywki to mówił, on żadnych zwierząt nie karmił, a w kamienicy nic żyć nie może, w kamienicy nawet ludziom żyje się niedobrze.

Te to jeszcze małe są, małe, ale mam inne, inne też, tylko musielibyśmy zejść do piwnicy. Tam jest jeden taki, bardzo przytył, karmię go już rok, bardzo przytył – powiedział i jakoś skurczył się znowu, a Aniela z tyłu się zaśmiała. Zażyła tabletkę. Pyralgin. Zaśmiała się znowu. Powiedziała: Ja tam nie pójdę, jak chcesz, to idź sam. Była jakby bardziej krystaliczna teraz, landrynka, tyłem do mnie, plecy i pupa landrynka, kukułka, drops. Trochę scukrzona na brzegu. A mnie język trochę jednak wciąż wystawał, zwisał, wylaził za bardzo.

Wychodzą tu, do góry, jakby uciekały, powiedział. Myślisz, że będzie coś? Powódź? – zapytał. Ja myślę, że to możliwe, powiedział. Zawahał się. Oblizął. Pomyślałem: Liże ją? On też ją liże? Niemożliwe, kłamią wszyscy. A może jednak liże?

Ale gorąco, dyszę jakoś tak, gorąco w kożuszk, dychawicznie. Wiem, że to kłamstwo było, bo to tylko dla przykrywki gorąco, a naprawdę zimno, lodowato, ale i tak dyszę. Nie przetłumaczę tego kożuszkowi, który grzeje, a i trucizna grzeje, otruli mnie, ale nie wierzyłem do końca, bo może tylko pozornie otruli, żeby mieć przykrywkę?

Zażyjesz jeszcze? – pyta Bronio. Broniu kochany, mówię, zażyję bardzo chętnie. No to on mi daje carbo medicinalis, calgonit i furagin, a potem chlorofil i nicorette. Zażywam, a potem popijam, bo mi podaje Aniela szklaneczkę. Włosy płonące nieco, sutek płonie i warga obrzękła, światło po niej spływa. To koniak, ale trucizna straszna, piję i gorąco, kożuszek mi się spocił. A widzę, ona też spocona tu i ówdzie.

Już mi się kręci w głowie lekko, wylażą plamy jakieś i scukrzenia, krystalizuje się światełko świtu w ramie okiennej i we włosach rudych. Myślisz, że powódź będzie? – pyta mnie Aniela. To by zmieniło wiele. Zimno, mówi.

Przykryj się, kochanie, mówi Bronio i wychodzi, poszukam ci szlafrocza, woła z drugiego pokoju. Mnie się też kręci w głowie, ale nie tak bardzo, żebym w to uwierzył. A, myślę, przykrywki szuka, to przykrywka tylko. I mówię szybko: Zimno ci? To ja cię przykryję, po czym zdejmuję kożuszek i jej na ramiona wkładam. W ten sposób przechytrzę ich, zanim przykrywkę przyniesie – ja dam swoją.

O, dzięki, mówi, a jej oczy nagle robią się wielkie, kandyzowane. Ale coś

tam masz, coś twardego masz tam, dużego, woła. Gdzie? – ja wołam, bo rzeczywiście gorąco, a poza tym pewnie nieprawda. No tam, woła, w kieszeni! I klucz wyjmuję z kieszeni. No tak, zapomniałbym o kluczu, to prawda, ale żeby tak wołać zaraz, to przesada, myślę. Tym bardziej myślę, że język bez zgody sam jakoś tak się wysuwa w jej kierunku. Ona klucz ogląda, waży w dłoni. A do czego to? – pyta. Bo już kiedyś taki klucz widziałam, mówi. Do domu, do mnie do domu, odpowiadam i czuję, że gorąco, aż gwizdże. Twojego? Uśmiecha się, warga zwisa, łyśka. Masz, mówi i oddaje mi klucz, co nieco wilgotny i ciepły, gorący. Już nawet naoliwiony.

Mam, mam szlafroczek!, krzyczy z drugiego pokoju Bronio. Mam, słyszę, że nadchodzi. Nadchodzi, a tu głupio jakoś: ja goły, tylko ten klucz, ale przykrywka na Anieli już jest. No i gorąco, pytam: Co tam jest za tą kotarą, co ona przykrywa? Tam? Aniela wargę wydyma. Nie wiem, drzwi jakieś czy coś. No to ja hyc, za kotarę i klucz do dziurki, dziobię i trafiam, chociaż klucz wielki, za duży chyba, ale jakoś wchodzi, drzwi otwarte, jestem na korytarzu, schody w górę, schody w dół, szum lekki i światło przebija pajęczyny.

Czyli ja hyc, i jestem na korytarzu, schody w dół czy w górę, tam, skąd światło się maże? Widzę kabel gruby, ich wiązka cała pnie się po schodach niby kłacze związane, więc ja ruszam za nimi, idę, a w głowie szumi trochę i niedobrze, gorąco. Rozpiąłbym się, ale nie mam z czego się rozpiąć. I stopy zwłaszcza jakieś nagle ogromne mi się wydają, wyrosły jakoś przez te kilka minut i przeszkadzają we wchodzeniu wyżej. Czternaście tylko schodków i już drzwi, klucz więc zbliżam, ale otwarte, czyli uchylone nieco.

No to nawet lepiej, ja hyc hyc do środka i myślę, że nawet lepiej teraz bez kożuszka, bo tak sobie bimbam i hycam, a kożuszek jednak strzelał i iskrą dziubał. A tak bimbam bez kożuszka, i lepiej. I już jestem w korytarzu, nawet ładnie, jakoś czysto, i już w pokoju.

Z początku plamy świetlne i inne i mgławica cząstek, a potem już normalnie: przy ścianach pokoju stały meble, na których poustawiano zabawki, po jednej stronie pluszowy koń, lalka i zabawkowe, miniaturowe domki, zwierzęta domowe, geś, świnka, lew i antylopa, kolorowe kulki, kredki i sznurki, wstażki i magnetyczne, zlepione ze sobą klocki, kolorowe książki, papiery, pudła i niewiadomego pochodzenia fragmenty zabawek, kawałek gumki, złamana linijka, oderwana głowa lalki i coś jeszcze.

Na drzwiach skakanka, a także przyklejone rysunki przedstawiające dom, ulicę, rzekę i małego pieska stojącego pod drzewkiem z zadartą tylną łapą. I tam na stoliku przede mną, zobaczyłem z wielką radością karafkę napełnioną wodą. Moje pragnienie przedziwne, które z początku brałem za niedyspozycję spowodowaną wczorajszą hulanką i nadmiernym spożyciem alkoholu, było, widać, tak potężne, że przedarło się poprzez zasłonę realności i podążało za mną aż do strefy snu, nawet tam nie dając mi spokoju. Być może więc cała podróż ta senna była tylko zwykłym spięciem mózgowej elektryki, wyładowaniem szybkim, sekundową anarchią neuronów wynikłą z fizjologicznych potrzeb organizmu? Być może chemiczne reakcje nadwyrężonego ustroju wyzwoliły w ten sposób całą serię obrazów, całą narrację filmową, wirtualną pogoń za wodą, ze statystami, zbudowanym z majaków widmowym miastem, prowadząc mnie sennymi ulicami właśnie tutaj, generując te fantasmagorie, to mieszkanie, tę kuchnię, ten dzbanek wreszcie, napełniony wodą, dlatego tylko, żeby dać mi sygnał o gnębiącym mnie pragnieniu z powodu skrajnego, zawinionego przeze mnie samego katzenjammera wynikłego z wczorajszych obchodów urodzinowych? Więc po to to wszystko? I teraz się skończy? Zrobiłem jeszcze jeden krok, nadeptując przypadkiem na coś, a to coś wydało z siebie przeraźliwe kwaknięcie.

Wtedy usłyszałem z pokoju obok śmiech, śmiech dziecka przez sen? Albo nie przez sen? Ale zaśmiało się radośnie, wesoło i od razu jaśniej się zrobiło wokół.

A ja goły w pokoju dziecięcym, goły i z kluczem w dodatku, wstyd, wstyd, uciekać! I hyc hyc, szybko, zanim ktokolwiek tu wpadnie, ja już wypadłem na korytarz znowu i dalej, po schodach, hyc hyc hyc byle wyżej i dalej, hyc.

Lecz mnie po drodze ciemność złapała i mrok mnie ogarnął, zagarnął, przygarnął. I gdyby nie piesek, który się pojawił, drogę bym zmylił, ale już niedługo, już niedługo okaże się, dokąd to wszystko zmierza.

Wchodzę, tam chrapania i błyski w ciemności. Przedpokój w boazerii, pawlacze, wbudowane szafy, w pokoju skóropłastyka, komplet wypoczynkowy, meblościanka, telewizor plazmowy, w nim śnieżycy, skrzenie, blask bije w marmurkowo-szklany blat ławy, gdzie porzucony pilot zakryty krzyżówką, telegazeta kryjąca serwetę.

Obok sypialnia, łóżko, lustra, pikowana pościel, spięte zasłony, drapowania, gipsy, stiuki. Dwa drgające, trzęsące się wzgórza ciał na łóżku, wbite w pościel, chrapiące, pomiędzy nimi, niby miecz na straży, pies wielki, bernardyn, rozwalony na grzbiecie, łapy na boki, z językiem różowym i lampą lśniących w mroku genitaliów.

Potem druga sypialnia, piętrowe łóżka, materace, plakaty na ścianie, słomianka, rysunki. Na łóżkach dzieci, jedno, drugie, trzecie, rozkopane z pościeli, w poprzek, głowa zwisa, jeszcze następne na materacu, zsunięte na podłogę, w połowie drogi jakiejś we śnie zatrzymane, potem następne i następne, pod nogami chrupią rozsypane na dywaniku klocki lego, dinozaur, gumka. Siedzący pluszowy lew na biurku, rozrzucone kredki, plastelina przylepiająca się do stopy, transformers bez głowy. Dziewczynka trzymająca pod pachą różowego konika. Chłopiec żeglujący przez sen, jedenaścioro. Młaskanie, zgrzytanie zębami, cmokanie, mruczenie, gadanie, przekręcanie się, noga, ręka, kołdra, poducha, jasiek.

Potem drzwi z piorunem, błyskawicą, jeszcze jeden pokój, cały na różowo, na ścianach wzorki serduszek, wielkie lustro, zdjęcia, dużo zdjęć w szykownych pozach pewnej nastolatki, której twarz znałem, znałem psiakrew, plakaty gwiazd rozpięte, rozdziawione za szafą wpółotwartą, z której na podłogę wypełzają farfocle, wstążki, paski, fatałaszkę, nogawki, rękawki, ramiączka, sprzączki, spinki, łańcuszki, kable.

Otwieram drzwi od szafy, trochę skrzypi, a tam tłok, zgiełk barw, sukienki, kapelusze, woale, tiule, krepa i adamaszek, wstążka czarna i jedwabne rękawiczki, skórzane spodnie, pas, kozaki, parasolka żółta, spódniczka w kratkę, podkolanówki, czepek biały, pielęgniarski, pończochy, szarfa i kokarda, lornetka, na podłogę wytacza się hełm.

Na stoliku lusterka, jakieś bransoletki, papież w szklanym kółku, książka inspirująca, poradnik, telefon, krem na noc, krem na dzień i obok łóżko, ona w łóżku w różowej piżamce, na brzuchu leżąca, usta wpółotwarte, ścieżka śliny

spomiędzy warg, a nisko, przy gumce od spodni fragment tatuażu: wąż schodzący w dół.

Świszczący oddech, sapanie, sapanie, lecz nie jej, a moje sapanie świszczące. Coś mi śmiga pod stopami, coś szurnęło, cień jakiś, pod szafę. Zaglądam, coś tam szura, przekręca się, sięgam, ale nic, kurz, pustka, migoczące drobiny. Jakaś luna w oddali, lśniące pod wieczór morze, nad stepem błędzące, świecące oczy antylop, świetliki ponad próchnem deski. Meteor, spadająca gwiazda. Przejście. Wpełzam, jest wyjście, wąska szczelina, ale zmieszczę się, za nią schodki, korytarz, przejście, drzwi.

Zrywają się nietoperze i ćmy wielkie, i szmatki światła, i płachty mroku. A ja hyc do góry, kładeczka, mosteczek, stopy moje duże, gorące nawet pomagają w tym wspinaniu się, hyc hyc, chociaż klucz ciężki, gorący. Studnia głęboka i chłodna, ale nie patrzę w dół, tylko przed sobą mam ten sznur kabli, splot szczęśliwy, który mnie w górę wiedzie, może wyprowadzi.

Drzwi, są, w końcu są, z napisem „Lunopol S.A.”, potężne, metalowe chyba, za którymi burczy coś i terkocze. Tam, nad nimi, przebijają się przez ścianę kable, tam cyka coś wciąż i odmierza sekundy.

Więc to jest to słynne centrum dowodzenia, o którym mówił Wujek, to tu właśnie dokonuje się zagłada Dolnego Miasta? A może to tylko jedno z takich miejsc i wszystkie mieszkania na poddaszach przejęte są na studia, z których się odbywa sterowanie porą deszczową, ta generacja opadów? Monsunowe centra i siły połączonych nadajników zwołują chmury na naszym niebie. Jak to się dzieje, że nie wiedziałem tego do tej pory, dlaczego nie pomyślałem, że te wieczne deszcze, to błoto zalegające wokół na równinie, na szarych, zamglonych, osowiałych polach, ta wilgotna rozlazłość, ta magma, melancholia, nijakość, ciamkatość, wodnistość są wynikiem zorganizowanych działań politycznych, wielkiej, długofalowej akcji, przedsięwziętej nakładem ogromnych sił i środków, z użyciem nowoczesnego sprzętu, wykwalifikowanych fachowców, elektronicznej aparatury wartej majątek? Dlaczego nikt mi nie powiedział, dlaczego aż dotąd żyłem w przeświadczeniu, że istnieją pory roku, nadchodzące po sobie w określonych formach i kolejności, że natura ma cykl, że można opisać jego przejawy? Że wybryki jej, dziwactwa, anomalie również należą do porządku świata, że żyjemy w ciągłym z nią dialogu, dziękując, że nadeszły dni słoneczne, i przyjmując z pokorą słoty i deszcze?

Dlaczego nie wiedziałem dotąd, że żyję w klimacie śródziemnomorskim i wokół na wzgórzach powinny się zielenić winnice, cytrynowe drzewa, oliwne gaje? Że pola lawendy zaczynałyby się już za ulicą Oleską, tam, gdzie stały utopione w błotach hurtownie i baraki. Że wzdłuż Katowickiej rosłyby szpalerem pomarańczowe drzewka i kwitły wczesną wiosną, a przejrzałe owoce cały rok leżałyby nie ruszane na rozgrzanej ulicy, wydając słodką woń zepsucia. Że las

eukaliptusowy rozciągałby się za działkami, w stronę ponemieckich betonowych bunkrów i chaszczki zasypanych od strony torów śmieciami, szmatami, tłuczonym szkłem i foliowymi workami. Dlaczego nie wiedziałem, że pola tymianku pachniałyby pomiędzy Tesco a Realem, dzika bazylia rosłaby w podwórkach, w szparach między kamieniami, na śmietniskach? Że azalie i rododendrony, migdałowce i cyprysy zarastałyby pola aż do Czarnowąsów, a tam, gdzie cementownia i kamionki, mielibyśmy tak naprawdę morelowe sady, plantacje korkowych drzew.

Dlaczego nie wiedziałem, że na Robotniczej, na 1 Maja, koło Biedronki i monopolowego, obok dworca pekaesu mógłbym się wspinać na sandałowe drzewa i zrywać winogrona? W ogródkach rosłyby ogromne arbuzy i melony, cukinie, bakłazany, karczochy i szparagi. Jak mogłem nie pomyśleć, że dwadzieścia dwa rosnące jeszcze w mieście olbrzymie platany, na które patrzyłem dotąd z fascynacją i zdziwieniem jak na plamistych przybyszów z południowych krajów, zabłąkanych i marznących na dzikiej Północy, są tak naprawdę u siebie w domu, że tu jest ich klimat i najlepsze miejsce do całorocznej wegetacji? Dlaczego tak to zostało zniszczone? Czy ci, którzy chcieli miasto upodobnić do włoskich republik, potężnej Wenecji, dumnej Florencji, pięknego Rzymu nie powinni właśnie wspierać i ochraniać ze wszystkich sił dobrodziejstw klimatu, zamiast go rozwadniać i rozmiękczać, ściągać burze i chmury, zasłaniać słońce i jeszcze bardziej ochładzać, zamrażać miasto, aż do planowanego teraz ostatecznego potopu? Myśl, że można do tego stopnia czuć się władcą świata i ingerować w naturalny cykl rzeczy, trzymając w poddaństwie i niewiedzy tysiące mieszkańców, wydała mi się potworna i oburzająca. Jak to możliwe, powtarzałem sobie, jak to możliwe?

O dziwo, i te drzwi nie zamknięte, i te otwarte i popycham je silnie, bo ciężkie, powoli rozsuwają się, rozchylają. Zaglądam tam, gdzie mieni się i miga błękitna poświata i widzę go, jest! Siedzi przy samym oknie przed migającym ekranem, na którym wyświetlają się wiry i galaktyki, kontynenty i morza. I widzę, jak ręką przebiega klawiaturę, jak zmienia nagle wyże i niżej na izobarów mapie, jak kolistym ruchem przesuwają ciemne plamy, postrzępione fronty chmur, wiry powietrzne i granatowe burzowe tornada nad nasze miasto, którego domy i wieże wyświetlają się w zbliżeniu. Ogromne kłębowisko kabli wiję się pod jego biurkiem, na którym stoją ekrany, a kable i przewody rozłożą się po podłodze do mrugających pod ścianami, buczących i warczących cicho aparatów, komputerów, serwerów, nadajników, stamtąd dalej pną się ku oknu, żeby płożyć się po dachu i rozgałęziać wieloma ramionami do poustawianych wokół anten skierowanych w niebo. Ten, co tam siedzi, zmienia się: ma niebiesko oświetloną, wciąż rozszerzającą się i zwężającą głowę, ruchomą i zmienną jak przelewająca się kula plazmy twarz, na której grają blaski i cienie ekranowych wojen. Zmienia się: raz

jest podobny do jastrzębia, to znów jego twarz wydłuża się i jest zadziwiająco wilcza. Żółte oczy płoną mu jakąś gorączkową łuną. Włosy ma długie, jasne, anielskie, palce długie, przebierające z niesłychaną zwinnością po klawiaturze. Na ekranie pojawiają się na chwilę ciągi cyfr, zdania, ludzkie twarze i ciała. On milczy. Ale sapie jakoś, nie, nie zmienia się, miauczy jakoś tak dziwnie. Boję się, człapię powoli, jestem o kilka metrów od niego. Myślę: Palnę go, palnę, psiakrew, palnę!

Skradam się jeszcze, gorąco, klucz trzymam, też gorący, ciężki, palnę go! W głowie łomoce i dudni. I nagle coś na ekranie migoce, a on odwraca się, prycha, jeży się i zeskakuje z klawiatury! Kot! Psiakrew? Kot! Pies? Diabeł? Kot! Coś jak kot, jak kot z twarzą dziwnie ludzką, małpią trochę. Ucieka, kłapouchy, to bardziej pudel, ale świnia! Kudłate to coś! O, ty!

Myślę: O, ty! I pod biurko zaglądam, a tam kłębowisko straszliwe, kociokwik kabelków i migających oczek. Ale w tym jest metoda, musi być, choć łomoce i szumi. Znajduję wreszcie gniazdko, wyciągam wtyczkę. Cisza, nagle wszystko gaśnie i hałas ustaje, buczenie znika, cykanie milknie, szum ustępuje. Ekran gaśnie, światełka gasną jedno po drugim, ostatecznie stękniecie systemu i cisza. Ha!

Wydostaję się na zewnątrz, nic tu po mnie teraz. O, jak cicho, jak pięknie, jak szeleści światło i pękają z plumknięciem bańki świtu ponad schodami! I zaraz kolejne drzwi, ładne, z jasnego drewna, coś na nich błyszczy. To nie sosna, ale eukaliptus albo cedr – klucz wchodzi gładko, za nim ja gładki i goły.

I ledwie tam wchodzę, przede mną twarz starszego mężczyzny wykrzywiona grymasem zniecierpliwienia i jakby lekkiej wzgardy. O, kogo widzimy! Proszę, proszę, nareszcie, już się zaczynałem niecierpliwić – do środka, prędko! Wchodzę, zamyka za mną drzwi. Proszę dalej, proszę do pokoju, mówi. Widzę, że to Stryjo przecież, stryjcio Rekuńcio, ale zaniedbany jakiś, zbiedniały. Niedojedzony taki. I zaraz jesteśmy w jasnym dość pokoju, stosy książek pod ścianami, regały, czasopisma, fajka na parapecie, stół, przycisk do papieru, laptop otwarty do połowy, ołówki, gumki, papier. Duże fotele dwa, poza tym chaos. Na biurku konstrukcja jakaś, druciki, blaszki, sprężynki, a obok elektroniczne moduły, tranzystory, głośniczki.

I cóż, mój drogi, powiesz, proszę, proszę siadać. Może wody? – zagadnął, a potem wziął karafkę stojącą na stole na srebrnej tacy i drżącą nieco ręką z rozczapierzonymi, bladymi palcami nalał szklankę do dwóch trzecich. Lub do trzech piątych. Może do czterech siódmych raczej. Patrzył na mnie przez moment przymrużonymi oczyma. Proszę, proszę, spróbuj, to być może ostatnia szklanka wody przed kompletną suszą, wodociągi nie działają, mój drogi, tak, tak. Usiadł na fotelu naprzeciwko, zapalił fajeczkę.

Patrzyłem: miał jasną marynarkę tweedową, dość drogą, lecz haniebnie poplamioną i wytartą na łokciach. Do tego spodnie jasne, pantofle sznurowane, wyczyszczone. Kiwał nogą na nogę założoną. A co? Jak się spektakl podoba? – zapytał. Pyknął z fajeczki. Włosy rzadkie, twarz wychudła, uszy wielkie. Nos. No Stryjcio, no Stryjcio jak żywy. Zmrużył oczy. Słoneczny pajak wędrował po ścianie i regałach.

Poczułem się dziwnie, siedziałem w fotelu i po raz pierwszy tego dnia poczułem, że siedzę rzeczywiście. Sięgnąłem po szklankę. Wypiłem. Woda! Nareszcie. Woda. Czysta, orzeźwiająca, prawdziwa, bez smaku, o smaku wody!

Spojrzałem na siebie i zobaczyłem, że tym razem ciało moje tak jakby jest ze mną, staje się jakby cielesne, cięższe, prawdziwe, nagie. Czyżby to była prawda tym razem? Mniej gorąco, ale stopy wielkie i klucz wielki.

Pyknął z fajeczki, zmarszczył brwi. Proszę, proszę, bez krępacji, może ostatnia. Stryjcio na mnie czekał? – zapytałem. Czekał? Skrzywił się, jakby skosztował żaby. Kolega się nieźle zapowiadał, trudno było pojawienia się kolegi nie zauważyć, mój drogi. Obserwuję te fanaberie od początku. Wiedziałem, że pić się musi chcieć, po tym jak kolegę przez okno widziałem na czworaka, goło, pod samochodem, goniącego jakiegoś kundla na ulicy. Nieźle się zabaciarzyło gdzieś wczoraj, co? No, no, tak wracać... Pyknął.

Goło? Zaczerwieniłem się, spojrzałem po sobie. Rzeczywiście, goło! Omal nie wylałem wody, zacząłem jakoś tak się niezręcznie zasłaniać. Nie, nie, nic, ależ

proszę się nie krępować, mnie to nie przeszkadza, ja nawet wolę tak odważnie. Z odrobiną pieprzu... Wolność, rozumisz, taka... Kiwał nogą.

To Stryjcio? – zapytałem. Co? No to, wskazałem ręką za siebie, tam, ten komputer? To Stryjcio – prezes? Koleżka żartuje? – zachnął się. Koleżka uwierzył temu durniowi z dołu? Temu metafizykowi? Ja miałbym cokolwiek z tym mieć wspólnego? Żalotne. Zaśmiał się. Koleżka uwierzył w to, że to Stryj powódź wywoła? Ha, zabawne, gdybym to ja mógł powodzie wywoływać. Nie byłoby źle.

Ale fascynujące, prawda, nareszcie coś, co nas wyzwala, nieprawdaż? Czytał to koleżka? – i pokazał fajkę w stronę leżącej na stole książki. Nie miałem pojęcia, co mi pokazuje, chociaż okładka mi się zdała podobna do czegoś, co już widziałem tej nocy. Proszę koleżki, to wszystko oczywiście da się obliczyć. Nie trzeba być matematycznym geniuszem, a i nie trzeba być beztalenciem, żeby dojść do tego, kiedy i jak. Widzi koleżka, dlatego ja to wszystko obliczyłem, przewidziałem, proszę koleżki: zna koleżka to? Jeszcze raz pokazał książkę. Tam zresztą wszystko jest, należy tylko przystawić liczbowy schemat, a pomyłki i odchylenia uznać za żarcik. Ha!

Owszem, mam komputer, ulepszony, owszem, trochę dłużej w tym. Tam, na strychu. Ale wracając do wody, wódeczki... Powody powodzi... Czy to nie pociągające w pewnym sensie? Coś nowego się stwarza, wywraca się porządek. Widzi koleżka, ja trochę się przygotowałem. Po pierwsze mam wodę. Po drugie mieszkam najwyżej, a tu powódź nie powinna dotrzeć. To wszystko można obliczyć przy odrobinie oleju w głowie. To żadne zresztą cuda, proszę koleżki, to natura. Natura. On, Wuj twój, powinien dobrze o tym wiedzieć, przecież to człek naturalny. Pyknął. Suchość jakaś była w powietrzu, twarz jego wysuszona, ręce spierzchłe.

On twierdzi, że to spisek, powiedziałem, czując, że goły jestem, więc goło mi zwłaszcza w partiach gołych zupełnie. Spisek kaprysek, powiedział Stryjcio. On twierdzi, że spisek? Ale jaki? On tak twierdzi, bo on sam wciąż sensu szuka, musi sens mieć, a natura bez sensu działa, powódź sensu nie ma poza naturalnym prawem, poza naturalnym biegiem spraw, fizycznym, przyrodniczym. To on zresztą przyrodnik, naturalista, on powinien sam wiedzieć. Ale sensu szuka. Pyknął. Może pije za dużo, co?

Dla niego sens tylko z zewnątrz może być, nadany, narzucony, nadpisany, mówił znów. A, widzisz, mój drogi – pyknął – nie lepiej samemu o sens się postarać, samemu sens nadać wydarzeniom, zamiast czekać i szukać. Pytać? Pyknął. A jeśli sam pan sens nada, sam sobie na pytanie odpowie, sens będzie według koleżki, koleżko, a nie koleżka według sensu. Koleżka nie będzie sensu niewolnikiem, to sens koleżka będzie zmieniał w zależności od własnej potrzeby. Pyknął. Mniejszej lub większej.

Pałając lub susząc. Nogą kiwnął. Jak to, sens według własnego

widzimisie? – zapytałem. A tak, odpowiedział, wolność, rozumisz, niepodległość. Nie zwierzęcość, plemienność, ale *humanitas*. Pyknął. Nie goło wobec ludzi ze wstydem, ale goło wobec ludzi z dumą, oni niech się wstydzą, że ubrani, bo w zbiorowej niewoli ubrania i moralności są, w więzieniu tekstylności masowej, totalitarnej, że nic, ani kawałka nie wystaje. Pyknął. Nos. Nos wystaje może.

Jeśli nie Stryjcio, to kto miasto zalewa? – zapytałem, ale bełkotliwie, bo język mi zwisał i kołysał się lekko. Kto? Dobre pytanie. Ale nie do mnie. Pyknął. Popatrz, koleżka, na siebie. Kto do mnie goło przyszedł? Pyknął. Dlaczego oni tam, na dole, tak pracowali? Dlaczego Wuj twój tak się na powódź sposobił? Dlaczego akurat na powódź, a nie pożar? Skąd wiedział? Profetyzm? A może sam kanały drażył? A co, może nie drażył? Ale to furda. Pyknął. Wystarczy policzyć. Wód przybór, opady, mżawka, wilgotność gleby, wysokość wód gruntowych. Napór faktów, mój drogi, napór faktów. Może kieliszeczek brandy?

Zapraszam, proszę bez krępacji. Nalał, ja wypilem ciut, posmakowałem, gorąco się zrobiło znowu. Napór faktów tymczasem jest nie do powstrzymania, a przy tym fatalny, nieunikniony, mówił Stryjcio, a świtu mucha złota bzykała już o szybę. Przecież to, co było pod, musi wyjść, zauważ, koleżka, na powierzchnię, a sporo było pod. Całe to miasto ma taką podwójną strukturę, o której wiesz, koleżka. Ona nie mogła dłużej się kryć, z tego musiała być powódź. Nie może być dwu miast w jednym, w tym jednego ukrytego. Pyknął. Wypilem. Gorąco.

I zauważy koleżka, co powstaje? Ani to, ani tamto drugie, a trzecie, trzecie miasto w miejscu tych dwóch. Nowa rzecz, inna. Ma trochę tego i tego. Ale nie jest już ani tym, ani tamtym. Tak jak dziecko dwojga rodziców. Zauważ, koleżka – więc jakieś było spółkowanie sekretne, jakaś kopulacja ukryta. A może gwałt? A może romansik? W każdym razie dziecko teraz jest. Uśmiechnął się, wykrzywiwszy wargi.

Pomyślałem: To on lizał, tak, wiem już na pewno, lizał, łobuz jeden. Ale mówił dalej, jakoś suche usta miał, wąziutkie, zbite. Suchość w powietrzu była, skostniałość, kostka słońca stuku puk o szybę, dryń dryń.

I, co ciekawe, to trzecie miasto przykrywa te dwa pozostałe, nieprawdaż? Jest nadbudową, jest poziom ponad nimi. To napowierzchniowa sprawa, *de surface*, ona się zmyje, zejdzie. Traktuj to, koleżka, jako interpretację, nie jako istotę. Pyknął. Jako przebranie, chwilową ekspresję podświadomości. Ta powódź, proszę koleżki, to marzenie senne, polucja uśpionych tęsknot, że się tak banalnie wyrażę. Ktoś, rozumisz, kochasiu, wrzucił kamyk do tego wulkanu. To się musiało stać.

Ale po tym wszystkim już koniec, wiesz, złociutki, już tego nie będzie. Już się skończy to ukryte, bo nie będzie tam nic, wypstryka się, że się tak wyrażę. Pyknął. Już nie ma powrotu, po tej powodzi nie będzie już podziemia, i dobrze. Nie wolno ich ratować, nie wolno niczego ratować, to konieczność. Fatalizm, rozumisz,

serdeńko. Sens należy zaproponować inny, świeży, nie babrać się w tym, nie babrać. Musi być odnowienie, nowa krew, nowy oddech. Ale żeby tak się stało, musimy przejść przez śmierć. Skrzywił się.

Nagle zaszurało coś obok, w jego papierach, a on obejrzał się, wzdrygnął. Nogę przełożył, fajkę ponownie rozpalił. Mnie było gorąco, coraz więcej gorąca, i sucho jakoś, przywiądnęłam nieco. Chrząknął, chrząknęłam. Pusty był kieliszek. Co koleżka zamierza? – zapytał. Chyba się tak nie pokażesz, goły, złociutki? Ja mam jakieś ubranie, kolega pozwoli, zaraz przyniosę. Podniósł się, aż zaszeleściło listowie suche z marynarki, łupież sypnął się na deski. Wyszedł do innego pokoju. Pająk słoneczny chodził po firance i po stole, po butelce, sieć suchą rozsnuwał. Kieliszek był pusty. Dolałam ociupinkę. Coś szurnęło w papierach, jakiś szmer.

Lizał, na pewno, teraz nie liże, więc suchy jest. Ale ja goły byłem, to widać, zupełnie goły. Gorąco mimo to, spotniałem, skleiłem się z fotelem skajowym. Czyżby mnie chciał liznąć? Tymczasem wrócił, rzucił ubranie. Założyłem – za małe. Ciasno, spodnie piją, marynarka się nie dopina, krótkie rękawy, nogawki – woda w piwnicy. No proszę, całkiem, całkiem, zabójczo nawet, wspaniale! Zresztą cóż, powiedział, trudno, nie mam innego. Musi koleżka pocierpieć. Usiadł z szelestem. Wykrzywił się.

Ja też usiadłem, ale niedobrze, ciasno straszliwie, coś się pruje, i strasznie pije, ciśnie, gniecie. Ale gorąco. Wykrzywiłem się. Niewygodnie.

Więc o czym to ja? Pyknął. Aha, pewne sprawy powinny odejść i nie gniesć nas, nie męczyć więcej, dlatego taka erupcja podświadomości jest konieczna dla oczyszczenia, rozumie koleżka? Kiwnął nogą. Mnie zaś gniotło, uciskało mnie niemiłosiernie. Skrzywiłem się. Skrzywił się. No i, powiedział, najważniejsze, aby przejąć nad tym kontrolę, żeby to samemu ukształtować, żeby nie szukać w tym sensu, ale dać się ponieść faktom, fakty tworzyć. Nie ofiarą sensu być, wiecznie wyczekującą, ale człowiekiem. Nie przedmiotem, a podmiotem. Koniaczku jeszcze?

Ja wypilem, co było, a strasznie niewygodnie, ciśnie mnie i gniecie. Skrzywiłem się. Mocny? Stary, francuski. Pyknął. Zaszurało coś w jego papierach, pajak słoneczny przemykał po ścianie. No i upadek, upadek musi się dopełnić, powiedział. Upadli pierwsi rodzice, muszą upaść i ostatni, musi koło jakoś się zamknąć. Pyknął. Od momentu zerwania jabłuszka, rozumisz, serdeńko, człowiek jakoś się buntował przeciw Bogu, rozmontowywał idee, proszę ja kogo. Skrzywił się. Rozmontowywał, rozumisz, cerebralnie. Bo nie wziął z Drzewa Żywota, rozumisz, pyknął. Ale z Drzewa Wiedzy, z Drzewa Poznania. Nie chciał być, jak Bóg, nieśmiertelny, chciał wiedzieć. I móc umrzeć, być inny. Oczywisty nonsens, pyknął, nogą machnął. Ale nie, rozumisz, bo jak pomyślisz, co dalej człowiek zamierzał, to nie takie oczywiste.

Skrzywił się. Bo człowiek następnie, po wygnaniu, robił wszystko, by Boga samego rozmontować, rozumisz, najpierw naturę niszcząc, potem Boga samego postponując. Powątpiewając. A dlaczego, jak koleżka myśli? Dlaczego? Żeby miejsce jego zająć czy żeby cały ten sens wniwecz obrócić, cały sens? No jak koleżka myśli? Pyknął, skrzywił się. Aż w końcu człowiek doszedł do tego, że stwierdził, że Bóg nie żyje, prawdaż. Tamten świat zaczął upadać gdzieś w połowie dziewiętnastego wieku, ale już oświecenie, już rewolucja, proszę koleżki. A potem to już śmierć Boga i proszę, co mamy. Upadek. Ale upadek ku złu czy ku dobru, co, jak koleżka myśli? Pyknął. Koniaczku? Aż się spociłem.

A może trzeba teraz potopu, żeby po tym, co się działo w ostatnim wieku, ziemię obmyć, może już nie ma na nic pomysłu, co? Pyknął. Ani na cywilizację, ani na system polityczny, wszystko źle. Było już, i źle. Liberalizm, komunizm, socjalizm, nic nie działa dobrze. Ani iść na wojnę, bo wojna to koniec nas wszystkich. Pyknął. A sztuka doszła do ściany, nie można już dalej, nie można. Nic już więcej, pożeranie ogona własnego od lat. Człowiek po prostu już taki jest, *das ewige*. Pyknął. Nogą kiwnął. Co pozostaje? Potop. Może trzeba ziemię zalać i wszystko od nowa zacząć? Dwójkę ludzi zostawić, niech zaczynają. Dwójkę jakichś nieboraczków, prostaczków. Co koleżka na to? Skrzywił się, pyknął. Koniaczku? Mam więcej, śmiało, z prezesowego przydziału.

No to wypilem, a gorąco, a pije, a ciasno! Czerwony się zrobiłem jakoś, nie widziałem, ale czułem, po stopach sądząc, które okrutnie spuchły. Pochylił się ku mnie lekko, aż zaszeleściło. Proszę więc Wuja swego potraktować jak najuprzejmiej, ale to wariat, choć nie przeczę, że interesujący. Z tym że, rozumisz, jeśli potop, to taki, który do cna wymaże, zniweczy, wymyje. Nic by, rozumisz, nie mogło – spojrzał na mnie bystro – nic by nie mogło zostać. Wszystko zniszczyć. Taki, rozumisz, nowy mit – chrząknął – założycielski. Napijesz się? – zapytał. Owszem, powiedziałem, bo piło, gniotło. Napilem się. No, oprócz tych dwojga.

Poza tym, rzecz najważniejsza. Pyknął. Skrzywił się. Ja się skrzywiłem, cisnęło. Proszę zapamiętać, że cokolwiek to jest, co dziś się wydarzyło, to okazja dla ciebie, złociutki. Można to – pyknął – i trzeba wykorzystać do własnych celów. Otóż, jak zapewne wiesz, mój drogi, Wuj twój ma córkę. Skrzywił się. Skrzywiłem się. Cisnęło. Czyli twoją kuzynkę, ma się rozumieć. Otóż to ponętny, że tak się wyrażę, kąsek. Oczywiście nie dla mnie. Skrzywił się. Mnie to nie interesuje, ja bym jej nie – pyknął – odpowiadał ani ona mnie. Wargi zacisnął i zmarszczki od tego pokazały się całą harmonią. To kwestia gustu. Skrzywił się. Pyknął. Bo ona na przykład mogłaby być w tej dwójce, o której mówiłem. Pytanie, kto drugi?

Ale tenże Wuj twój ma także babkę, ciężko chorą, rzekłbym – skrzywił się (i ja się skrzywiłem, cisnęło, piło) – umierającą nawet, rzekłbym więcej – umrzeć niemogącą wciąż. To kwestia spraw niezalatwionych. Kiwnął nogą. Na przykład Leta. Na przykład te dwie, co do babki wciąż przychodzą z dzieckiem. Babka wyrzuty ma, że nie pomogła, że pomoc nie mogła inaczej i stało się, co się stało. Rozumisz. Teraz przychodzą do niej co wieczór, zjawy dwie.

Babka ma pieniądze, prawdopodobnie duże pieniądze, które trzyma dla wnuczki, i – skrzywił się – inne wartościowe rzeczy. Pyknął. W skrzynce jakiejś, podobnie, schowane, pewnie zakopane gdzieś, ale ja nie o tym, prawdaż. Otóż ja tobie, kochanieńki... Coś szurnęło w papierach, on przerwał, spojrzał bacznie w tamtą stronę, nastroszył wielkie uszy.

Otóż ja tobie proponuję układ, jeśli łaska. Koniaczkę? Nalał, gorąco i ciśnie, niemiłosiernie wrzyna się. Ty weźmiesz wnuczkę i pieniądze – skrzywił się. A ja te pozostałe rzeczy po starej. Pyknął. Gdzieś w skrzynce zamknięte, zakopane może. A miała tam maszynkę, rozumisz. Takie coś. Ja tutaj – wskazał na biurko – konstruuje kopię. Lecz dźwięk nie ten, pomimo że obliczenia zgodne, rozumisz. Liczba nie kłamie, ale to – skrzywił się – duszy nie ma chyba tej samej. No więc tę skrzyneczkę, a w niej katarynkę, chcę tylko, żeby porównać dźwięki i ulepszyć ciutkę.

Popatrzył na mnie badawczo. Czy jesteś, złociutki, stanu wolnego? – zapytał. Nie, co też Stryjuńcio, jestem żonaty, zapomniał Stryjuńcio? – odparłem cicho, bełkotliwie nieco przez język mój ciągle zbyt długi, co zwisał, z bólem – cisnęło, łza spłynęła mi po policzku. Ach, to nie przeszkadza, przecież tak czy inaczej

będzie to fikcja tylko na potrzeby tu i teraz, a to jest przecież – skrzywił się – fikcja, jak się domyślasz, kochanieńki. Ale o zasadniczym przełożeniu. Skrzywiłem się, łza popłynęła mi po drugim policzku.

Co kolega na to? – pyta. Ale która, jak poznam? – zapytałem, bo wszak nie wiedziałem, ile wnuków Babka miała. Ach, poznasz, poznasz łatwo – pyknął, chrząknął. Po języku poznasz, na pewno, nikt tak, rozumisz, jak ona. Ona tylko jedna tak z całej rodziny. Paple i paple, ale z urokiem. W kogo się wdała? Mówią, że trochę krew nie ta, tak mówią. Skrzywił się mocniej, zaszeleścił, łupież jakiś się sypnął, łupież i płatki mydlane, manna sucha z głowy, z brwi. Suche, kolczaste krzewy.

Koniaczkę? Proszę przemyśleć, młoda dziedziczy, rozumisz, proszę ja kogo, cały majątek – chodzi o okrągłą sumkę, nawet bardzo okrągłą. Jak okrągłą? – zapytałem, jakby piszcząc trochę, a łza spływała ogromna, z hukiem. Bardzo, z wieloma zerami, nawet nie wyobrażasz sobie, serdeńko. Stara miała majątek tam, po tamtej stronie, rozumisz, cały powiat, dworek, kilka siół i przysiółków i tak dalej, pola, uprawy, park, lasy i sady. No i dwie manufakturki, jedna fabryczka nawet o lokalnej sławie, produkcja dość znaczna. To wszystko w papierach wartościowych i w wekslach. No i w ostatnim momencie dobrze wszystko ulokowała, bardzo dobrze. No i przywiozła ze sobą coś niecoś, ale nie wiadomo, gdzie to trzyma. A sam Wuj twój – pokiwał nogą – dostał się pod ziemią do jakichś magazynów czy czegoś takiego. Nabrał stamtąd mnóstwo, nie rozliczył się z podatku. Skrzywił się. Fikcja, serdeńko, ale jeśli już fikcja, to lepiej być po jej stronie.

Piję koniaczek, spodnie piją straszliwie, niewygodnie, ciasno. Gniecie. Łza trzecia, najsroźsza, spływa mi po policzku.

Babka rzeźnię miała, powiedziałem, skrzywiony, bo wrzynało mi się boleśnie w pół słowa.

Popatrzył na mnie pilnie, pyknął. A tak, Babka, sam wiesz, rzeźnię miała. Przed wojną rzeźnię miała, tam, kawałek od Zbrucza, koło Złoczowa. Rzeźnię miała słynną na cały powiat, na tę część Europy, podobne wokół budowano. Rzeźnię z tradycją, z pokolenia na pokolenie tam rżnięto. Tam, kawałek od Zbrucza, koło Złoczowa, w okolicach, tam, rozumisz, Pejsopole, w bok, za Czarnym Lasem, od drogi. Rzeźnia „Lunopol i Spółka”. Cała młodzież zjeżdżała tam z okolic, bo sława daleko sięgała i wszyscy zachwyceni byli, jak rżnięto. A co kilkanaście lat, to rzeźnia większa, coraz więcej tam rżnięto, interes się rozwijał, chętnych przybywało, cała wykształcona młodzież, rozumisz. Pyknął. Co podrosła trochę i do rżnięcia gotowa, to tam zjeżdżała. Pokolenie za pokoleniem, rozumisz? Wszystko na rzeź. Ze Lwowa gimnazjaliści, ba, z podstawówki nawet, Orleńta, Legia Akademicka, panny studentki z Wilna, Warszawy, Kijowa, wszystko na rżnięcie, patriotyczna młodzież. Kraków, Poznań, Grodno, Krzemieniec,

z miasteczek, zaścianków, dworów, wsi. Pierwsze powstanie, drugie, trzecie i tak w koło. Powstanie za powstaniem, a wszystko z paradą, z księżmi, ze mszą świętą czasem, ze sztandarami, opaskami, znaczkami, lilijkami. Pogrom pierwszy, drugi, trzeci. Taka sława była, opowiadano sobie legendy o tej rzeźni i o wyrobach jej. Pyknął. I rżnięcie co lat kilkanaście, szlachta, mieszczenie, chłopstwo nawet i robotnicze dzieci. Nie tylko polskie, bo i żydowskie, o tak. Uczono się wszędzie o tym, uczono się tego wszędzie, tak się podobało, tak smakowało, delikatesy, więc i żydowskie masami, ukraińskie, litewskie, tak, tak. Nawet niemieckie niektóre, nawet ormiańskie, białoruskie i inne. Rżnięto niebywale, książki powstawały, obrazy malowali, pieśni, rozumisz, ten tego. O rżnięciu wszystko. Tak, Babka rzeźnię miała. Młodzież do rżnięcia przygotowywana była od lat najmłodszych: czytanki, wierszyki, piosenki i teatrzyk, proszę ciebie. Ale przykład od starszych szedł. Matki, proszę ciebie, córkom. Ojcowie synom. Chcieli zamknąć wiele razy, to potajemnie rzeźnię otwierała, podziemną rzeźnię miała, i dopiero rżnięcie było, przeciw okupantowi, dopiero wspiania!

Koniec z tym, rozumisz. Widziałem, że zapalił się nieco, palił się lekko, dymił, kopcił ociupinkę z rzadkiego włosia na czaszce suchej, kopcił się. To z tej suchości źdźbła mogły się zająć. Pomyślałem, zgaszę!

Koniec z tym nareszcie! – krzyknął i niemal się dymem zakrztusił. Koniec! Babka rzeźnię miała, ale nie będzie już jej mieć! Koniec, z tej rzeźni wszystko, nieszczęście stamtąd, trzeba to znieść, rozumisz, niech już nie przychodzi Sara, Estera! I ten mały! Zapalił się. Koniec. Rzeźnię Babka miała dwie mile od Lwowa! A ja pomyślałem, choć piło, rżnęło – zagaszę! Bo całkiem się zajmie! Z głową i fajką! Ale czym zagaszę? Koniaczkiem. A może liznąć?

Babka rzeźnię miała! Ale skończyło się, rozumisz, skończyło, dość tego rżnięcia przez wieki, tego z pokolenia w pokolenie rżnięcia potężnego! Wstał, kopcił z fryzury suchej. Zapalił się, myślałem, zapali! I pomimo że mnie też rżnęło, też gdzieś w podolu właśnie rżnęło mnie najwięcej, wstałem z płaczem i koniaczkiem, z żalem wielkim, bo koniaczku szkoda, koniaczkiem go chlusnę! Chlusnąłem go. Zbaraniał. Oczy wytrzeszczył.

Ale gdzie tam! Ale gdzie tam! Zamiast pomóc, pogorszyło to tylko sprawę, bo dopiero od koniaczku – jak nie buchnie! Dopiero fajerek! Grzywa w ogniu! Wzrok w piorunach! Dopiero wrzaśnie, tupnie, a ja zwałem – ciasno, nie ciasno, rżnie, nie rżnie, zwałem, jego tam, gorejącego, zostawiając.

Na schody, po schodach, w pierwsze drzwi w prawo, byle szybciej, klucz pasuje, więc otwieram i jestem w środku.

Mieszkanie zastawione meblami, pakami, pakunkami, wchodzę dalej i zaraz „halo” słyszę z boku. Kuzynka Figa w szlafroku fioletowym, włosy ciemne, kręcone. To ona, więc to ona jest, córka Wuja mego?

Halo, dobrze, że jesteś w końcu, proszę, proszę, trzeba te rzeczy wnieść tu, do przedpokoju – wskazała na pudła, parę mebli, donice z kwiatami i telewizor. Pokój był pełen, podobnie jak i drugi obok. Złapałem więc największy ekran oparty o ścianę i przeniosłem do równie zagraconego przedpokoju. Ale ostrożnie, na litość boską! Tylko uważaj! Krzyczała za mną.

Tutaj to proszę postawić, a teraz ten obraz, proszę, ale ostrożnie, niezwykle cenny. Jedną ręką machała, drugą trzymała telefon, komórkę. I klatkę też, proszę też tę klatkę, ale ostrożnie, nie machaj tym tak, proszę! Machała ręką. Jak to nie można, nie wiesz, co tu się dzieje! Mówiła do telefonu. Nie wiem, motorówka, amfibia, cokolwiek, niech coś wymyśla, straż pożarna, wojsko, nie wiem, ktoś musi od tego być! Kompletnie niedorajdy! Zewsząd.

Postawiłem telewizor w miejscu przeznaczonym, przesunąłem klatkę, obraz poprawiłem. Wiesz przynajmniej, co to za obraz i ile kosztuje? Jakbyś wiedział, to byś nim tak nie stukał. Pachniała, pomyślałem, to ona, to na pewno ona jest córką z posagiem, tą, która dziedziczy. Kuzynka Figa. Mówiła do słuchawki: Nie mogę czekać, tu w każdej chwili może nas zalać. Nie rozumiesz? No to co?

Można oszaleć z tymi facetami, powiedziała. Nie, nie rozłączę się, dopóki mi nie powiesz, o której. Usiadła na fotelu, nogi przełożyła przez poręcz. No, czekam, powiedziała.

Skoro już jesteś taki miły, to jeszcze jedno – gdybyś mógł zdjąć zasłony, bardzo proszę, powiedziała. Wlażłem na stołek i zacząłem zdejmować. Tymczasem od niej zapach zaleciał, ciepły taki. Odpinałem żabki. Jak to, nie macie ludzi? – krzyknęła do telefonu. Pełno ludzi dokoła, a wy ludzi nie macie – ochotników chociażby. Czekam.

Zerknąłem z góry: zapaliła papierosa, stopa, udo, widziałem fragment uda, opalona. Dekolt, ramię. Szyja. Zaleciało ciepło. Rozpinałem żabki. Machała nogą, zupełnie jak tamten. Mnie ciasno, myślę, zdejmę te firanki i pójdę sobie, trzeba iść dalej. Czekam, powiedziała znowu, odłożyła słuchawkę. Palila, machała nogą. Odpiąłem, zlazłem ze stołka, złożyłem. Proszę tu, do drugiego pokoju, połóż tam, na łóżku, powiedziała. Poszedłem, położyłem. Ach, pokój wydał mi się bardzo znany, łóżko, łóżko już gdzieś widziałem, ale co dalej? Wróciłem. Napijesz się herbaty? Zaparzyłam, japońska, z pierwszych listków, wysoko w górach zrywana o brzasku. Jaśmin i żozoba oraz delikatna paranoja. Sto dwadzieścia złotych za

dziesięć deko. Tylko taką piję. Przywiozłam z Londynu. Chrząknąłem – z przyjemnością. Zaleciało ciepłem.

No, ależ siadaj, dlaczego nie siadasz! – krzyknęła nagle, podsuwając mi maleńką filiżaneczkę i maciupenką łyżeczkę. Usiadłem, stęknąłem, bo właśnie nie chciałem siadać, czego jak czego, ale siadania właśnie chciałem uniknąć. Nie słodysz chyba? Cukier – biała śmierć, ja nigdy nie słodzę! Nie, tak, nie, powiedziałem. Chrząknąłem. Troszkę.

No to tylko tym – cukier z trzciny i malwy, kandyzowany imbir i żeń-szeń, pszczele trufle, powiedziała, podsuwając. Tylko za granicą można dostać, kupuję w Wiedniu, powiedziała, nachylając się na chwilę nad niską ławą między nami. Włosy, dekolt, poły szlafroka, ramię, pręga różowa, odbity wzorek ramiączka. Zaleciało gorącem. Kandyzowana figa, pierniki na ciepło i jeszcze coś. Rozchylony szlafrok.

Widzisz, nie mogę się doczekać na jakąś reakcję, przecież wydzwaniam od świtu, to szaleństwo, zostawiono nas samym sobie, nie ma żadnej pomocy. Powódź będzie przecież, nie sądzisz? Oni mówią: jaka powódź! A ja wiem na pewno, kobiety oszukać się nie da w tych sprawach. Sama przecież czuję pociąg Księżycy. Rusza się, powódź będzie, to pewne. Ja to na własnym organizmie czuję przecież. Jakby się u mnie zbierało.

O wszystko trzeba się postarać. Przecież muszą stąd to zabrać. Na przykład buty, mam ich tyle, a kto je uratuje? Mówią: a, co tam jakieś buty! A to nie jakieś tam buty! Tylko buty! Od Prady, mam dwie pary z Nowego Jorku, dwie z Mediolanu, jedną z Nicei i dwie z Paryża. Mam różowe z Londynu. I żółte botki z Kopenhagi. Nikt takich nie ma, mówię ci, nikt, nikt. Już na pewno nie Aniela. Spojrzałem na stopy moje, ogromne, czerwone, a z podeszwy czarne.

A moje herbaty? Mam tu w pudłach, przecież jak zawilgotnieją, to koniec. Te sprowadzam z Belgii, a te z Niemiec. Piję tylko rano i po południu, w środy wieczorem, a w poniedziałki, czwartki, soboty i niedziele o czwartej rano. Budzę się i piję, regularnie. Regulują trawienie. Nigdy w piątki, środy oraz w piątki, według zasad feng szui, siedmiu żywiołów, rozumiesz. Czy ty w ogóle zalecasz się do feng szui?

Te obrazy – wskazała pod ścianę – wiesz, ile to warte? Część kupiona u artystów współczesnych. Gruchała, Gliździk, Prutka, Flejak. Przecież majątek. A i tak nie ma dnia, żeby ktoś czegoś nie wyniósł. Pochyliła się, poprawiła włosy. Zaleciało gorąco. Prażone fiołki, cukrowany goździk, jabłko w cieście i coś jeszcze. A tu ciasno, gorąco, gniecie, ciśnie, wrzyna się szew okrutnie.

Nie mówię o tych bohomazach Bronia, tego nie zbieram, tylko przez grzeczność. On tylko tę Anielę i Anielę maluje, a poza tym jakieś potworności. Halo, jest tam kto? – powiedziała do słuchawki. Pochyliła się, zgasiła papierosa. A mnie ciasno, potwornie pije, wrzyna się. Zaleciało. Pigwa, biszkopty,

kandyzowany koper i coś jeszcze. Pistacje? Gniecie i ciśnie, zaleciało gorącem, a i mnie gorąco od herbatki. Ręce tymczasem jakoś same zaczynają mi drżeć. Maleńka filiżanka drży, spodeczek też, łyżeczka, którą kładę na spodeczek, dzwoni.

Wiesz, większość to portrety. Trochę moich, wszystkie nieudane. Są też inne. Z natury coś, kilka krajobrazów, typowe. Ale też jakieś dwie czy trzy martwe natury. Pstryknęła palcami. No, ale dlaczego nie pijesz, no proszę, niechże kuzynek pije! Dzwoni łyżeczka, filiżaneczka coraz mniejsza. Zaleciało gorąco spod jej szlafroka. Kmin rzymski, laska, tak, laska wanilii, dynia w musie, gotowana parówka. Ciasno, straszliwie, gorąco, szew, nitka wrzyna się okrutnie. Czuję, jak puchnę, a ubranie kurczy się. Męka.

Pewnie u nich już byłeś i wiesz, co tam wyrabiają. Ohyda, ale ja wiem co nieco na ten temat. A co tobie się zdaje? – zapytała. Aniela, tak, na pewno mówiła ci, że jest w ciąży. Pstryknęła palcami. Ale to nieprawda. Urojenia. Brońcio głupi nawet nie wie, czyje to by było dziecko. Ona w ciążę zresztą zaszła tylko po to, żeby cycki sobie powiększyć. Dmuchiła dymem prosto we mnie.

Te krajobrazy... wiesz, typowe: krzaki, blade niebo, szare drzewka, coś tam, droga, bez tych błękitów, bez tych palm, bez wieżowców. Chata, trawa nędzna, sad, miasto w dymach. Zaleciało gorącem, a filiżaneczka, a łyżeczka, a spodeczek wciąż mniejsze i dzwonią, dzwonią. Ależ pij, ty nic nie pijesz! A piją spodnie, szew, nici, fałda, trze, ciśnie. Ach, puchnę, puchnę, ogromnieję, pękam w szwach. Piżmo, pączki z różą, maślane ciasteczka, jabłko w cynamonie, gęś na ogniu. Łza zaczęła cieć mi po policzku.

O tak, kicz, kiczek – powiedziała, zadarła kolana, naciągnęła szlafrok, ale kolano, udo, łydka, stopa. Zaleciało gorąco. Albo te konie czy wreszcie rzeka, śnieg czy coś tam, wiosna. Roztopi, wiesz, bociany lecą.

A ja puchnę, różnie mnie szew, w kroku różnie. Dzwoni łyżeczka, telepie się spodeczek, filiżaneczka dźwięczy. Kurczak w panierce, udko, ciasto dyniowe, marcepan, podroby, kalarepa. Łza z drugiej strony. Czy to nie nudne? Sztuka nowoczesna bardziej interesująca. Na przykład abstrakcje. Czy konceptualizm. Tam, ten drugi, teraz pod ścianą, przedstawia pustkę, a w niej dziurę. Uważasz, że to starocie warte przechowywania?

No, ale pij, nic nie pijesz, może dolać? Filiżaneczka, której nie mogę złapać za uszko, paluch mi rośnie, spuchł, łapię za uszko, żeby tak nie dzwoniła, dzyndzoliła o spodeczek, ale palec mi utkwiał w uszku, psiakrew, i ciśnie, gniecie, palec uwięziony, reszta uwięziona w spodniach, łyzy w oczach, ciśnie, puchnę, rosnę, a łyżeczka coraz mniejsza. Ja jestem dziennikarką, piszę serię felietonów. Korespondencje, sprawy socjalne, reportaże, interwencja, polemika. Wolę fotografię, ja fotografuję, wiesz, fotografia zaangażowana społecznie, niebanalna. Portrety, kobiety, ulica Nowego Jorku, autentyk, autentyk, no, mężczyźni, no,

przyjaciele domu. Każdy ma to coś, co się pokazuje na zdjęciu. No i ostrzejsze fotografie także – lubisz ostrzejsze fotografie, przebieranki, gadzety? Zwierzęta? Przechyliła głowę, zaleciało, babka piaskowa, mazurek, kasza z kwaśnym mlekiem, rąbanka w walonkach, pulpety w gromadzie.

I wreszcie moje akty, trochę aktów, niewiele udanych. Nogę założyła na nogę, kiwała, dzwoniłem i puchłem, palec w uszku uwięziony na zawsze. Zaleciało frytkami, sandacz, lin w gotówce, węgorz w kartofelkach. Moje akty zrobione w pracowni, ale też tu, na tej kanapie, gdzie pan teraz siedzi. Szew pęka w kroku, łyzy ciurkiem po policzkach, puchnę wciąż mocniej. Przeciągnęła się nagle, ręce ponad głową, jakoś lubieżnie tak. Ach, to były czasy. Ale kilka udanych, naprawdę, chcesz spojrzeć? – zapytała, przekrzywiła głowę. Zaleciało makrelą, jajka w majonezie, krem ze szparagów, kapuśniak. Ja dyszę i puchnę, łyzy mi ciekną.

Filizanka dzwoni, alarm, alarm. Chcę wstać, lekko się unoszę, trzeszczą szwy. No, ale siadaj, dlaczego nie siadasz? – mówi. Ona sama wstaje, podtrzymuje mnie za ramię, szlafrok rozchylony. Cynaderki, czekolada z rumem, głowizna, pieczarki w szczególności, ślimak w rozjazdach, czarna rzepa. Jej telefon wydaje z siebie sygnał jęczący, że słabnie, że słabnie. Dzwoni łyżeczka.

W tym momencie coś o moje stopy czerwone się ociera. Zaglądam: kot, wielki, czarny, tłusty. Mruczy, ogonem macha. Ona: O, kiciuś, kiciuś kochany przyszedł. Pogłaszcz go, kochany jest! Więc głaszczę, ale pochylając się, trzeszczę. Kiciuś syczy, zęby ukazuje, mruczy i ogonem, ogonem. Ona: Och, zły jest! Zdenerwowałaś kiciusia! Zdenerwowałaś biednego kiciusia mruczusia! Dlaczego go denerwujesz?! Brzydki kuzyn, fe! – mówi, a kiciuś hyc, tłusty, ale hyc mi na kolana, odwraca się tyłem do mnie i o twarz mi ogonem wali, mruczając do pani, a wali. O, słodki kiciuś, ona mówi, słodki. A kiciuś wali, tyłem do mnie odwrócony, tyłkiem różowym, mruczy, a wali. O, słodki, ona na to. Czemu go denerwujesz, on taki słodki. Nie bój się, mówi, kastracik, Lunek.

A kiciuś wali ogonem mnie po gębie, pac pac pac. A wali. Ja głaszczę, a on wali. Pazurami mi się wbija, ja płaczę, ale kiciusia głaszczę. Psiakrew, tłusta świnią, myślę, ale głaszczę. Płaczę, a głaszczę. Kiciuś wali, a wali. Pac pac pac.

Wreszcie ona zabiera go, choć niezadowolony kiciuś mruczy i w moje spodnie, a raczej przez spodnie, się pazurami wbija, bo nie chce zejść. Ja płaczę, szlocham, wreszcie odrywa Figa kiciusia. Stawia na podłogę. Kochany kiciuś mici, kochany kiciuś, mówi. Kiciuś patrzy na mnie żółtymi oczyma, szparkami żółtymi mnie przeszywa, zimnym wzrokiem się wbija we mnie i mruczy.

Co tam fotografie, ale kremy! – mówi. Czy ty używasz kremów? No wiesz, pytam, bo na przykład Anielcia wcale. Cerę ma zniszczoną, słabą. A kremy są ważne, mam cztery spakowane pudła, o tam, pod ścianą. Pytam tak, bo ty powinienes, na cerę, bo robią ci się pajęczki. Czy wcierasz? Usiadła ponownie, zarzucając szlafrokiem, migdały prażone, suszone cziricziri, racuchy na oleju,

szczawiowa, kardamon i ser pleśniowy kozi.

Więc tak – poprawiła się na kanapce – rano mógłbyś ten z algami z Morza Sargassowego, sprowadzam z Amsterdamu, pod oczy. Potem ten z wątroby węgorza, przywiozła mi koleżanka z Tokio, świetny, ale to musisz według siedmiu żywiołów, nigdy w środy i piątki, zawsze natomiast w środy. No, ale pij, ty wcale nie pijesz!

No i dalej, krem z mątwy na powieki, mam go z Bytomia. Tylko w niedzielę, ale w zimie nigdy, bo osłabia śledzionę. No i krem z morskoczynu, najlepszy na wybroczyny. Spojrzała na mnie. Czy ty masz wybroczyny? Bo tak jakbyś miał, pokaż no się. Pochyliła się do mnie. Szlafroczek się chybcze. Zaleciało kawą, koktajlem z krewetek.

Kiciuś mruczy i wpija się wzrokiem sukinkota. Ona dalej: Czy ty w ogóle się stosujesz do siedmiu żywiołów? Mogę zobaczyć twoją grdykę? – pyta i pochyła się. Mogę dotknąć? Oj, niezdrowo wygląda, wydarna. Przełykam z trudem.

Otóż najlepszy krem z geranium i paczuli, ale tylko o zmroku, na grdykę najlepszy. Mam w tamtym pudle. Nawet Brońciowi dałam, bo on też ma coś z grdyką. Ale wiesz, oni tam z Anielą... Babka już Anielę wyposażyła odpowiednio, więc Brońcio... no ale pij, ty wcale nie pijesz!

A cóż to? Pochyliła się mocniej, szlafroczek rozwiany, zapach rozmarynu, serwolotka, ostrygi. Cóż to, tobie żyła wychodzi, żyła ci nabrzmięwa! – zawołała, kiciuś mruknął głośnie, wściekle. Gdzie? – zapytał głośnie, w łzach (bo szew). O, tu! Wskazała palcem na moją pachwinę. W pachwinie ci wyłazi! – zawołała. Żyła wyłazi. Oj, niedobrze, kremów nie stosujesz! Prawie weszła na stolik, aby lepiej zobaczyć, szlafroczek, szlafroczek, ramiączko. Duszona wątróbka, mintaj, gęsia pipka, żurawina, pierogi z kwaśnym mlekiem, ozór, makagigi, sznycel.

Spojrzałem w dół. To klucz!! To klucz się wyraźnie rysuje w kieszeni ciasnej odzieży. Nie żyła, a klucz nabrzmięwa! Klucz! Zawołała: To niebezpieczne, może dojść do zawału, do wylewu może dojść! Trzeba kremem natrzeć. Tymianek i kobyle mleko, mam od koleżanki z Kocmyrzyc! – krzyknęła. Daj, natrę! Zalutuje brzoskwinią w syropie, ogórkiem w śmietanie, grzybkami w occie, camembertem, gryère'em. Sól trzeźwiąca, ajerkoniak, mydło lucerneńskie.

W tym momencie guzik z moich spodni wystrzela, trafia w jej dekolt i wpada w ciemną lukę. Zamieszanie. Na niebie błyski, znaki jakieś, ptaki spadające czarne. Spadają czarne ostatnie ptaki nocy niby szmaty postrzelone w locie. Czuć rychły koniec. Ja wstaję, spodnie spadają, odzież w strzępach. Ona wstaje, lecz chwiejnie, po czym opada na kanapkę. Filiżanka spada na stół, uszko odleciało, mój palec je rozsadza. Telefon jęczy, zdycha, wydaje ostatnie rżężenie, rozładowany. Kicia zęby szczyrzy, wściekle miauczy. Huk jakiś za oknem, wystrzały armatnie. Gicz cielęca, leniwe na parze, omułki, frykadela z frędzelkami,

małż w szuwarach, flądra.

Znów na korytarz, wciąż uciekam, jak długo jeszcze? Wciąż goły. Szum i huk jakiś. Pięć schodków niżej, widzę, jest lufcik, prześwit na półpiętrze, okienko małe, przez które spoglądam – chcę dociec, skąd ten huk potężnego wystrzału, jakby armatniego, eksplozja dochodząca z zewnątrz, potężny wybuch, od którego zerwały się w szaleńczym łopocie skrzydeł wszystkie śpiące dotąd na drzewach ptaki, zatrzęsły się szyby i coś posypało się z kopuły nieba. A po nim jeszcze trzy następne, równie głośne.

To tam, tam! Tuż za linią budynków stojących ramię w ramię widziałem ogromne cielsko rzeki, wijące się w węzłach i splotach, a nad nią zanurzone po kolana ogromne drzewa, szarpane i wyginane przez kłębiące się wody. Ogromne konary drzew pękały teraz z hukiem przypominającym armatnie wystrzały, jeden po drugim, jak zapalki, i wielki wiecheć liści osuwał się do brudnej wody, a potem płynął, obracany wirem, zanurzany falą w dół rzeki, tam, gdzie mknęły wszystkie unoszone fragmenty świata.

I kiedy tak patrzę, z dołu głosy dochodzą przestraszone, zbiegam więc o kilka stopni, tup tup tup, i nagle, jak spod ziemi, wyrasta przede mną Wuj mój, ściska mnie za ramię i oczy wybałuszając śmiesznie i groźnie, syczy: Patrz! Zaczyna się! Spójrz tam! Już się przelewa, podziemia zalane. W rękę butelkę miał, wciąż tę samą, lejdejską.

Na schodach tupot i leci Fifak, blady, roztrzęsiony, z piszczącym głosem: Nieszczęście, Wuju! Katastrofa! Mieszałem, pilnowałem! Wszystko wedle przepisu, przysięgam, mieszałem, nie przypalając, ale kamień! Kamień się zrobił! Na dnie garnka kamień został, zbrzyliło się, skamieniało ciasto! Garnek do wyrzucenia!

Wuj mój tymczasem uśmiechnął się pod nosem. Nic to, nie martw się, jakoś poradzimy. Zaraz na to spojrzę, mruknął.

Nie spojrzę, nie spojrzę, bo wyrzuciłem, bo smród! Garnek zmarnowany! – pisnął Fifak. Co zrobiłeś? – warknął Wuj mój. Wyrzuciłem, wyrzuciłem ten kamień, po co takie coś, czarne, bez sensu. Wyrzuciłem, jęknął Fifak, lekko przerażony, bo Wuj mój zmarszczył się straszliwie, błyski poczęły chodzić mu po barankowej czapce i brwiach, zdawało się, że zaraz coś strzeli. Gdzie wyrzuciłeś? – zapytał powoli, zbyt powoli. No, zająknął się Fifak, no, gdzie – do wody, kamień do wody wyrzuciłem, wysapał. Kamień w wodę.

Cisza zapadła straszna. Widać było tylko wielkie prądy przechodzące przez twarz całą Wuja, jakieś krwawe myśli przebiegały jak upiory jego głowę, w oku pozołogę miał, we wzroku mord i otchłań czarną. Zbliżył się do Fifaka na krok, ręce wyciągnął do jego szyi i zastygł tak na chwilę. Oczy Fifaka szalały, on cały skurczył się i zbladł. Udusi, pomyślałem, a jak nie, to może trochę przydusi

przynajmniej. Ale nie. Tak stali.

Tymczasem z dołu krzyki, zamieszanie. Zaczyna się, woda, woda, potop! Jezu, potop, woda idzie, uciekajmy! Nieco z góry obserwowałem z podziwem ten spektakl: w Pierwszym Mieście na Rynku siedzą w kawiarniach i piją, a tu woda zaczyna przelewać się przez koronę wałów szaroburą falą. Szum, huk coraz większy: zobaczyłem, że może dwieście kroków dalej, w miejscu, gdzie był most, zieje czarna wyrwa w wale i woda zaczyna walić stamtąd na ulicę brudnym strumieniem. Fifak nadal jak słup, lecz powyginany, skurczony, i oczami kręcić zaczął młynka, nie wiedząc, co dalej.

Wuj mój tymczasem do mnie się obrócił i rzekł: A ty co? Masz klucz, idź dzwonić do wieży na alleluja!

To rzekłszy, pchnął mnie w dół schodów, do drzwi. Wyszedłem, trochę już jasno było. Szum, huk wody dochodził, groza przelewająca się, wyginająca gdzieś obok, otwierająca się gdzieś nieopodal. Dokąd iść, ludzi ratować? Ale przed mną, przy wąskiej ścieżce, w krzakach, stoi mój piesek, oglądając się za mną i machając ogonem. Nagle zniknął, wbiegł w ciemną przerwę w chaszczach.

Więc za nim, za nim!

Przez blocko, w ciemność, i szliśmy tak znowu, on prowadził, język mój tuż za nim, księżyc, choć jasno już, wisiał i bujał się jeszcze nad nami i widać było jego rysy, twarz jego wyraźną, okrągłe policzki i dobrotliwy uśmiech, trochę jakby kretyński, a wszystko srebrne, doskonale zimne, bardzo odległe, rysunkowe i cięte cienką kreską.

I piesek znów kluczył, bujał, zakręcał powoli, ginął pomiędzy dachami i grał w ciuciubabkę, a ja wciąż za nim jak zaczarowany.

I opuściliśmy już Pierwsze Miasto wąziutkim przejściem przez krzaki, w ciemności, przez kładkę i kanał, a potem ścieżką wzdłuż cuchnącej wody, wzdłuż murów poczty idziemy, przez tory, na tyłach stacji kolejowej. I niby miejsca przeze mnie znane, ale nie od tej strony przedziwnej, nigdy nie zwiedzanej.

Przez krzaki i chaszczę, obok budynku czarnego z neonem migającym, trzeszczącym, „Lunopol S.A.”, aż na koniec znów asfalt zamiast trawy i blocka. Przez mostek, już byliśmy znów w Drugim Mieście, droga skręcała i minęliśmy podwórko zawałone śmieciami.

I po co, znów tu, po co? Dlaczego nie skręcić gdzieś w bok, w chaszczę, wyjść na chodnik, w uliczkę inną? Po co iść tak jak po sznurku, po wątku, jak nawleczony na tę historię? Coś sapie. Dzikość czuć w tym srebrnym świetle, pod drzewem, w wysokiej trawie, stopy wbijają się w miękką ziemię, wilgotną i lepłą, namokniętą od tych ogromnych deszczów, spuchniętą i ciepłą. Papiery i rozbite szkło chrupią. I smród nieznośny, smród traw i ziół, odór moczu, smród miejsca, gdzie się natura spotyka z człowiekiem.

Ciągle czuć wodę, rzekę, kanał. Jakiś stary murek niezwykle spróchniały, ciemna dziura w nim wyżarta. Dopiero po chwili w świetle księżyca rozpoznałem, że jesteśmy na cmentarzu zarośniętym po pas zielskiem, malwami i paprocią.

Między nagrobkami fosforyzowały z sykiem jakieś białe kwiaty. W powietrzu błyska elektryczność, jony świetlne znikają nagle jak narysowane. Dalej, w szarzącym poranku, w rozwijającej się bladej linijce blasku na horyzoncie, miasto, jego drżące dachy. Było szare, srebrne nieco, z niebieskim nalotem. Tuż za linią budynków stojących ramię w ramię ogromne cielsko rzeki w węzłach i splotach, a nad nią zanurzone po kolana ogromne drzewa, niektóre walczące jeszcze, szarpane i wyginane przez sznury wody, niektóre złamane.

Wuj tam gdzieś dalej znów brzdąka, słyhać aż tutaj dźwięki słabe, przemieszane z szumem, z podziemi, słyhać piosenkę harcorską i słowno-muzyczną składankę studencką, szuranie i stękanie trumien, odsuwanie skrzyń.

Piesek prowadzi, znika w ciemnym wejściu do grobowca, który świeci dziwnym światłem, zaglądam za nim, schodzę. Zawiało znów chłodem i wilgocią, nic, tylko ciemność, czarno, i dopiero po chwili wzrok się zdołał przyzwyczać, i w kącie widzę jakiś kształt rozmazany, niejasny. Jakby stół rozplwający się, rozciekający, jakieś sterty papierów, kartony, śpiwór, krzesło, skrzynki, trochę szmat i butelek, i nie było nawet tak bardzo brudno.

W powietrzu czuć było grzybem, ale i chemią, czymś do odkażania. Coś tam w kącie, jakiś kształt podłużny, ciemny, wydłużający się jeszcze, niepokojący – szmaty, wołki, jakieś resztki, ktoś tu mieszka? Śpi? Mieszkanie, gazety, miska, garnek, butelka, odtwarzacz DVD, duży miedziany kocioł, części pralki. Zapalki. Ślady życia.

Pod ścianą skrzynka, pudło z desek, coś gruchocze wewnątrz, słyhać głos słaby, śpiewy dobiegają, godzinki, wiersze, litanie i psalmy. Przybliżam się, ale nie za blisko, bo trochę strach – skrzynka to czy trumienka mała, i coś grzechocze w niej, woła i śpiewa, cały chór w niej, orkiestra i symfonia.

I nagle kątem oka zobaczyłem cienie grube, czarny atrament pełną wzdłuż ścian, po podłodze, jakby się woda zbierała w kącie salonu. Plamy wilgoci ciemniej powolutku już we wszystkich kątach. Coraz ciemniej i ciemniej. Rozlewa się i pluska. Woda, uciekać, uciekać! Po kątach pisk i śmigają pod nogami cienie, błyski żółtych i zielonych ślepi zwierzęcych, przewracane puszki grzechoczą i bach bach bach, czarne, futrzaste pociski wypadają przez wejście na zewnątrz. Szczury? Kuny, lisy, tchórze, psy? Wychodzę. Jasno, trupio, aurora lśni na trawach.

Z grobowców tymczasem, jedna po drugiej, wyłaniają się postaci, słyhać skrzywienie otwieranych zardzewiałych drzwiczek, szuranie odsuwanej kamiennej płyty. W bladym świetle mnóstwo ich kręcących się, mruczających, przeklinających. Niektórzy w stanie nieważkości, kiwający się na boki, eteryczni, inni wynoszą z grobowców jakieś pudła, szmaty i manele, jeszcze inni targają wózki, poubierani w warstwy ciuchów, coś tam burcząc do siebie i na odległość śmierzając potężnie. Twarze w tym świetle trupim piękniejsze niż zwykle, wyżarte przez robaka, kiłę, brud, alkohol, bezzębne, sinoczerwone, zarośnięte. Mijają mnie.

To Trzecie Miasto, o którym kiedyś słyhałem? Wciąż ich więcej i więcej, pochód cały, wyłazą z grobowców rodzinnych, z małej kaplicy, z katakumb, z kanału, z trumien, w których spali. Mieli tam swoje barłogi, a teraz woda podtapia im piwnice. Tam Wuj mój brzdąka i nuci piosenkę oazową i turystyczną, w góry, miły bracie, na szlak, Panie, prowadź.

Idzie Maniutek o twarzy bydlaka, który zabiłby własną matkę, a teraz wychodzi, chwiejąc się, z grobu i trzyma jakąś skrzynkę w ręce.

A za nim wychodzi Żyła, rozchełstana, wielkie limo pod okiem, trochę bezzębna. Krzyczy: Ty żuchwo kopana, ty mordzielcu żuchwą poruszony i coś jeszcze, ryczy jakoś tak niezrozumiale, on też ryczy, żeby ryj zamknęła żuchwa, bo zakopie, i głos ma potężny, jakby z podziemi, trzęsie się cały cementarz i wszyscy ci zmartwychwstańcy trochę schodzą z drogi.

Maniutek krzyczy: Mordo ty ubrana, zamknij żuchwę wreszcie, bo zakopię siekierą, żuchwa, na śmierć, na żuchwioną śmierć, żuchwą kopaną. Za nimi pan Redaktor, obsikane spodnie. Za nim jeszcze wielu, kobiety zawinięte w warstwy wołoku i złodzieje dworcowi, jeden porżnięty szkłem po twarzy, drugi targający plecak, a w nim starą umywalkę. I wszyscy uciekają, więc zaczęło się, woda nadchodzi. I wszystko to w tym świetle trupim, przebijającym, ludzie wychodzący z ziemi, groby otwarte, i ja w tym wszystkim nagle, bez butów, punktów wciąż zero w grze, poziom pierwszy.

Tymczasem piesek czmychnął przez dziurę w murze i ja za chwilę za nim, widziałem go wciąż z przodu, jak drepcze z powrotem mokrą ścieżką, przez śmieci, chaszczę, pomiędzy drzewami, język mój tuż za nim, potem ja, a za nami Maniutek, żuchwa, zamknij paszczę, a za nim Żyła, będziesz chciał jeszcze paszczy, żuchwa, czekaj, ni ryja dostaniesz! I Redaktor, i inni, słyhać było sapanie. Wchodzę na ulicę i z boku, spod krzaków, bulgot stłumiony i syk i wypada fala, szara i spieniona, wścieklizna wodna, brudna, plująca, strzykająca jadem.

Koniec, myślę, uciekać, ale jak, ogarnie nas, zaleje, zatopi, pędzi, coraz bliżej, o pięć, o trzy metry od nas. Gdzie piesek? Widzę go, spokojnie biegnie, ja za nim więc, krok, drugi, i nagle unoszę się, jak wówczas, ponad wodami, ponad falą.

Pode mną kłębowisko, kotłowanina, pisk, skwir, kipieli. W lewo, ponad olchę i głogi, duży kasztan i siekające twarz gałęzie.

Widziałem teraz: woda występowała z brzegów i przelewała się przez koronę wałów. Wąskie strumyczki spływały na ulicę, tworząc kałuże, a potem coraz potężniejsze rozlewiska. Gdzieś w dole przerwane zostały wały i fala poszła na miasto. Z podziemi ruszyły tłumnie szczury, myszy, nietoperze, robaki i wszelkie stworzenia zamieszkujące ciemności. Na szczęście huk wystrzałów drzew łamiących się nad rzeką zadziałał jak alarm i pobudził wielu.

W niektórych oknach ludzie zaspani, niezdający sobie sprawy, o co ten krzyk i zamęt. Zgiełk, bieg, zamieszanie, ścisk i tratowanie wzajemne, a z wałów powoli zbiegają maleńkie strumyczki, wzbierające z każdą sekundą.

Podę mną miasto wzięte w skręty ramion rzeki, w mlecznokawowe, brudne sploty. Bryzgi piany, rozlewająca się szara plama, rozbiegający się wokół dreszcz. Lecę i widzę: pakują się – kobieta w oknie wkłada do torebki kosmetyki, a woda wchodzi już po schodach na jej klatce. W drugim oknie facet wyjmuje z szafki pudełko ze zdjęciami, obok rodzina dmucha materac. Matka pcha wózek z dzieckiem, dużym, skręconym dziwnie, z uśmiechem na twarzy. Widzę w oknie nagiego mężczyznę, zdejmując książki z półek, szybko, z jednej wydiera kartkę, resztę rzuca na podłogę. Dalej starsza pani, zdejmując obrazek ze ściany, potem facet w kurtce wyjmuje pieniądze z łóżka. Kobieta w krótkich spodenkach zwija pościel, potem zabiera garnek. Obok dziecko wyjmuje z klatki chomika. Inna kobieta niesie komputer i kota pod pachą. Staruszka wyciąga zza telewizora jakiś czarny portfel, a potem usiłuje podnieść i telewizor. Facet z naprzeciwka pakuje do walizki wszystko, co ma pod ręką, kobieta rzuca mu ubrania z szafy.

Widzę dalej barak rozszczekany, wrzeszczący, wewnątrz rzędem klatki z psami, psy policyjne, warczące, wyjące, szczekające, kręcące się wściekle w kółko. Biegnie facet w niedopiętym mundurze i po kolei, trzęsącymi się rękami, otwiera klatki, psy wybiegają, jeszcze siedem nieotwartych i fala wchodzi tam i chlusta brudną pianą.

Dalej budynek filharmonii, po schodach na górę biegnie ktoś, zdyszany, niosąc pod pachą ciężkie cymbały, dwa oboje i skrzypce, byle wyżej. I w bibliotece woda wpada do piwnicy, gdzie aż po sufit poustawiane regały zaczynają pęcznieć.

Obok, w okienku, widzę na łóżku kochanków robiących sobie miłość wzajemnie, nieprzerywających, woda jest bardzo blisko, wlewa się do sieni, a potem zatrzymuje się nagle tuż przed ich drzwiami.

Ale przede mną kościół, wieża. Do drzwi małych przypadam, czarnych, które otworzyły się, jak tylko klucz w nie włożyłem, z trzaskiem i mruczeniem.

Wąskie schodki, kręte. Szybko, biegiem na dzwonicę. Sześćdziesiąt siedem stopni, zawrót głowy. Ale dzwon jest, rzeczywiście, dzwon na dźwigni wahadłowej zawieszony. Do dzwonu więc, targać linę! Wieszam się u końca niby worek

kartofli. Dzwon zaczyna dzwonić, huk taki, że za chwilę zupełnie nic nie wiem, nic nie słyszę, czuję tylko szum ciągły, sygnał zajętości. Ogłuchłem?

Coś słyszę, ale jakbym był w szkalnej kuli, w sferze zamknięty. Buczenie, zderzenie dźwięków, poruszają się we mnie wszystkie fibry, i białosc, metaliczny smak. Troszkę jaśniej na dworze i przez okienko widać z wysoka cały spektakl. Rzeka zdobywa miasto i zatapia je po horyzont.

Szarożółta fala idzie, porywa samochody, zrywa krzaki, bije w szyby, skręca słupy, mnie asfalt. Na ulicach potoki, węzły wodne, wiry, głębokie wyrwy i wyboje w kolorze kawy z mlekiem, brudno, piana i śmieci. Czarny kozuch, grzywa fali. Woda podchodzi pod wieżę i puka do drzwi, a potem nagle pojawia się w środku, jakby mogła przechodzić przez zamknięte bramy.

Wszystko w tym biciu, w tym dzwonieniu, tramwaj, samochód porwany, kot, wózek. Szarobura rzeka wali przez miasto, dzwon nadal się kołysze, ja trochę w nieważkości, w kosmosie, jakbym był postacią niemego filmu. Piski dzieci i mruk piosenek, rzy koń i szczygieł, fru, nagle spod nóg. Stuk puk tuk, obcasy po bruku. Wieża leciutko drży.

Drży i kołysze się, buja. Ale tak buja od wody naporu czy coś innego napiera, napiera? Słyszę przez szum, przez mgławicowość huku podzwonnego, jak coś tupie i schody drżą, stękają. Tupie, tupie, wieża kiwa się, dzwon dzwoni.

Aż tu na schodach sapanie i czerwona twarz pani Mani, pani Mani zaskoczona przez wodę przy powrocie z wyprawy na mostek, gdzieś tam lunetą przyłapaną z góry i od tyłu. Pani Mania, sapiąc, wspina się i nagle zatrzymuje jak wryta, patrząc na mnie, i znak krzyża czyni, trochę blednąc. Ma w rękach donicę z abulafią.

Na zewnątrz jasno już zupełnie. Dokoła widać miasto i płynącą środkiem potężną rzekę szaroburej barwy, niosącą ze sobą krzaki, ławki, drzewa, papier, meble, zdechłe kury i inne, dziwniejsze jeszcze przedmioty. Brudna woda.

Zdaje się jednak, że Pierwsze Miasto, za rzeką, wygląda normalnie, nie widać stąd, czy jest tam woda i do jakiej kreski sięga na ścianie, do jakiej kreski w dniu urodzin ołówkiem stawianej, nie widać zniszczeń, domy, dachy, drzewa wyglądają jak zwykle. Jest szaro, szum wielki, woda wciąż się podnosi: pani Mania ręką jakoś macha i biadoli jednostajnym głosem, z którego to biadolenia ani słowa rozróżnić nie można. Woda napiera i szura, meble dźwiga, przestawia, właśnie wstąpiła sześć kolejnych stopni na schody. Dokoła morze.

Mnie jakoś nerwy biorą tymczasem i zaczynam w koło chodzić – nie, żebym myślał, ale jakoś tak, z nudy. Pani Mania na to przeżegnała się i jeszcze głośniejszą zaczęła biadolić, przyciskając do piersi doniczkę z abulafią.

Widzę, że bosa jest, boso pod ścianą usiadła. Tak szybko biegła, że buty zgubiła. Liczba bosych wzrosła i bosonogość stała się normą, należała do stylu ewakuacji.

Zauważyłem przy okazji, że nie sami jesteśmy w wieży. Z góry co chwilę na deski podłogi spadała gołębia kupa. Dodatkowo mijała nas cała masa pajaków, karaluchów, stonóg i innych żyjatek, włączących powoli do góry w ucieczce przed napierającą powodzią. Do tego doszło kilka mysich ogonków zwisających tu i ówdzie w półmroku z krokwi. Z pewnością też znalazłyby się nietoperze i coś tam jeszcze.

Ja chodzę, pani Mania siedzi i biadoli. Wokół metaliczne dzwonięcie. W płataninie desek, słupów i krokwi można by było pewnie i powódź przetrzymać, gdyby znalazło się tylko coś do jedzenia i woda, choć akurat tej ostatniej wokół nie brakowało. Ale coś mi nie daje usiąść, myśl taka, że powinienem dalej iść.

Za oknem cała surrealityzacja miasta, ulice to rzeki, zalane domostwa, ilu zaskoczonych we śnie, może ratować kogoś jeszcze trzeba, na pewno trzeba, ale ten obraz też fascynował mnie jakoś, było w nim piękno złowieszcze, wynaturzone, lecz silne. Huk w głowie, metaliczny łomot, dzwonięcie. Dwa poziomy niżej widziałem, jak woda powoli wchodzi po stopniach, na szczęście wieża jest wysoka i jeszcze tych stopni jej brakuje do nas czterdzieści i osiem. Zaczynamy więc odliczanie. Wte i wewte chodzę po pięterku, na którym się zatrzymaliśmy, i czuję się tak, jakbym miał na sobie dźwiękoszczelny kombinezon kosmonauty i plastikowy globus na głowie. Dzień pierwszy, punkt wciąż jeden z dziesięciu.

Dzwon dzwoni powyżej, a tu ja chodzę, dzwoniąc zębami, bo zmarłem w ten poranek, chłodniej stało się jakoś. Dopiero teraz widzę, że chłodniej, chłodniej, bo goły jestem.

Niechże już ksiądz nie chodzi, niech tak nie dzwoni, bo uszy puchną, krzyczy nagle pani Mania, i słyszę ją teraz wyraźnie: Ja zwariuję zaraz, niech nie dzwoni, jak mu nie wstyd tak dzwonić przed kobietą. Skaranie boskie. Oszaleję, zgorszenie i piekło. Niech nie dzwoni. Ale chodzę nadal jak durny dookoła, nie mogąc znaleźć sobie miejsca, wściekły.

Nie jestem księdzem, nie jestem księdzem, mówię. Ale głos mój jak cymbału dźwięk, tylko tum di dam, tum di dam buczy. A pani Mania dalej: Niech ksiądz tak nie dzwoni tym dzwonkiem, bo uszy puchną, nie mogę patrzeć, co za bezeceństwo, ohyda, zgorszenie, piekielne awanse, i żegna się krzyżem raz po raz, tfy tfy, zgroza. I zerka, i patrzy. Niech się ksiądz zasłoni.

Wreszcie odstawia abulafię na podłogę, nareszcie, nareszcie. Potem zdejmuję sweterek i podaje mi, księżulowi, sama zostając w koszuli białej w kwiaty żółte i różowe. Niech się ksiądz zasłoni, przecież mogę dostać apopleksji od tego dzwonięcia i dzwonięcia ciągłego.

Nie jestem księdzem, do cholery! – krzyczę głośno, ale tylko dum di dam słyhać, tylko dum di dam. Sweterek biorę. Ale jakże sweterka użyć? Jakże użyć, aby nie dzwonić? Tym bardziej, że i klucz przecież dzwoni, dzwoni i dzwoni, przy chodzeniu zwłaszcza. Jakoś jednak sweterka używam, nie najlepiej to wychodzi –

wstyd, cóż, nie pokażę się tak przed ludźmi. Aż pani Mania z ulgą wielką i impetem siada na powrót na deskach podłogi, aż cała wieża się trzęsie i z góry coś się sypie, kurz, tynk, spada kilka karaluchów.

Nasza wieża drży, czuję, jak napiera na nią rzeka całym ramieniem, a może to jeszcze od przysiadu pani Mani to trzęsienie, już nic nie wiadomo. Może to pupa pani Mani taką energię przekazała swoim klepieniem w konstrukcję drewnianą, jeszcze barokową, że teraz rozłazi się prąd ten po wszystkich pilastrach, filarach, belkach i dźwigarach.

Ona zaś mówi. Oj, zmarzną teraz, zmarzną zaraz, już zacznę marznąć, ale nie można było przecież wytrzymać, oszaleć można. Kto to widział, żeby ksiądz tak dzwonił? Kto to widział, żeby ksiądz z dzwonkiem latał przed kobietą poważną? No kto to widział? Nie do pojęcia przecież, skaranie boskie, piekło i poduszczenie diabelskie, dobrze, że pastylki wzięłam. I zaczęła pani Mania otwierać woreczek foliowy, który zawsze pod ręką miała, pełen wszelkiego lekarstwa. Zażywszy tabletki, westchnęła, skrzywiła się i wyjęczała: Oj, bo się zatknę! Wstała zaraz, rękę do piersi przystawiając. Jak tak bez popicia, zatknę się i koniec. Ale oczy wywróciwszy raz i drugi, westchnęła i klapnęła potężnie na powrót na podłogę, wywołując ciężkie stęknięcie konstrukcji i wprawiając wieżę w lekki taniec bujany.

Lecz rzeczywiście dzwonienie było już ciut jakby cichsze. Pani Mania też siedzi teraz ciszej jakby, trochę dla odmiany pochlipując, a ja łażę dalej, wszelako bez dzwonięcia, dzwon tam na górze też jakoś już ucichł. Łażę tak, wyglądając po kolei przez wszystkie okienka, zaglądając w kąty i zakamarki. Robi się jaśniej, słońce gdzieś tam wstaje nad zatopionym krajem, widać rzekę przewalającą przez ulice swe żółte cielsko, swój brunatny bulion, ogromną ucieczkę olbrzyma gdzieś z gór, na grzbiecie niosącego meble, krzaki, deski, samochody, śmieci i zwierzęta, wielka wyprowadzka, wielka wędrówka, wąż wychodzi z miasta i zabiera wszystko, pamięć, tony śmieci i tę szarą materię, coś, co się tu gromadziło latami.

Rzeka, jej bicepsy, zwoje szarych mięśni, brunatne warkocze, żyły, ścięgni wodne przesuwające garaże, budy i kioski, łamiące drogowaskazy i oświetleniowe słupy. Znad tej szarej masy, znad tego zgiełku, który w perspektywie wygląda spokojnie i majestatycznie, wystają dachy i daszki, drzewa i wieżyczki, anteny topoli. Coraz jaśniej. Dzień pierwszy wstaje, pierwszy z czterdziestu?

A ja chodzę nadal, choć już nie podzwaniając, cisza od tego nieznośna zrobiła się teraz, jakaś metaliczna, jakby z powietrza wyjęto dzwonięcie, a została po nim tylko głucha dziura, drażniąca wklęsłość, blaszane opakowanie.

Pani Mania, która obserwowała to wszystko z wyrazem twarzy prawdziwego pawiana, zaczęła teraz rozpaczać i jęczeć wniebogłose, krzycząc, że zimno się zrobiło i co teraz będzie, zginiemy tutaj, oczywiście, że nikt nas nie uratuje, że to kara boska za te grzechy polityków, że była taka przepowiednia, Gulaczkowa przyszła i przyniosła gazetkę, no i w radio mówili, że tak się to skończy, jak

głosowanie się nie powiedzie. Ojej, o Matko Boska, o Jezusie Święty, co teraz, co teraz, a przecież moje mieszkanie zalane, tyle pracy, meble wszystkie, przecież nic nie zdążyłam wynieść, abulafię jedną, a właśnie wczoraj poodkurzałam, a teraz wszystko na nic, całe życie zmarnowane, a co z innymi, co z panią Apolonią biedną, samą teraz. Dobrze choć, że ksiądz u niej zdążył być na ten moment ostatni. Pewnie nie żyje, a ja tak wyszłam, w jednej koszuli, na zatracenie, i kto nas teraz uratuje, kto odda za stratę dorobku całego życia, kto kwiatki podleje – dobrze, że drzwi zdążyłam na klucz zamknąć, bo złodzieje by jeszcze okradli. O Jezu, Jezu.

Od tego gadania znów zacząłem chodzić w koło. A ona dalej: A ja przecież taka chora jestem, w tamtym tygodniu dopiero co u lekarza, zgaga i noga, i kiszka, zgaga straszna. Dobrze, że choć tabletki wzięłam, dobrze, że choć te proszki nasenne. Tak mi zgaga, noga, proszę księdza, dokucz, jak w tamtym tygodniu Gulaczkowej, ale bardziej, gdzie tam. O, ledwie wczoraj byłam z tym u lekarza, a doktor mnie już zna, mówi, co tam znowu, pani Razdziupińska, a ja, no znowu, znowu, wciąż coś, widzi pan, strasznie ta zgaga pali. Proszki mnie zapisał, ale nie chciał, ale zapisał w końcu, tak mnie to leczy, że mi coraz gorzej, jakby człowiek sam sobie nie pomagał, to by go już dawno na śmierć zaleczyli. Dobrze, że proszki wzięłam. Ale co my tu będziemy jeść? O Jezu, na śmierć z głodu zginiemy, o Jezu!

Zamknij się wreszcie, kobieto, przecież myślę, wrzasnałem, ale gdzie tam, tylko dum pi dum, pam pam dam. To ja znów wte i wewte, jak wściekły.

O Jezu, ale zimno bez sweterka, powiedziała pani Mania, przestraszona nieco, chyba z zimna zamarznę albo się rozchoruję na całego. I zaczęła ze swego woreczka wyjmować różne pudełeczka i listki tabletek, fiołki i słoiczki. Z dwóch wyjęła po pastylce, położyła na języku i połknęła. Ani czym popić, można się udławić, zadławić się można na śmierć i tak zginąć, nikt nie uratuje, nikt nie będzie

wiedział nawet, Boże, Boże, takie nieszczęście, jakie to nieszczęście, za jakie grzechy – dobrze, że osoba duchowna choć w pobliżu. A ksiądz z jakiej parafii, bo chyba nie z naszej, przepraszam, ale księdza nigdy nie widziałam w kościele naszym, na żadnej mszy księdza chyba nie było, ale twarz skądś znajoma, może od jezuitów? Boże, Boże.

Nie jestem księdzem, warknąłem, zrozumiano? I znowu, psiakrew tidum tidum, stacja Opole Główne. Tak tylko pytam, powiedziała pani Mania podejrzliwie, bo ja tu wszystkich księży dobrze znam i jak nowy przyjdzie, to zaraz się przedstawiamy, a ksiądz musi od sąsiadów, bo nie pamiętam z naszej parafii. Boże, zaziębę się, no zaziębę. Ojej, ale skrzypi ta wieża, pewnie się wywróci.

A tam, w dole, emocje, namiętności wody, walka ukryta, kto kogo, przepychanie śliskiego ciała przez sito miasta. Samochody porwane, dachy, krzesła, czapki. Gałęzie i krzaki, papiery i pudła. Woda postąpiła o kilka stopni w górę. Musiałem zobaczyć, co się dzieje dalej, jak radzi sobie reszta, co w mieście, co w nim pływa, co się tam kotłuje. Zszedłem nad samą wodę: odór mułu i czegoś kwaśniejącego i inny jeszcze zapach, zatykający, potworny. W murze żadnej szczeliny, jedne drzwiczki tylko na wysokości półpietra, wymacane pomiędzy wilgotną cegłą. Naciskam je, popycham, lecz ani drgną.

Zapieram się, próbuję jeszcze raz, ale stawiają opór – im więcej się wysilam, tym większy opór czuję, jakby reagowały na moje wysiłki, jakby ktoś je od wewnątrz popychał. Więc puszczam i nagle buch! otwierają się w moją stronę z rozmachem, w nich czarnieje twarz Bronia.

Ach, tu jesteś, woła. Zaczekaj, wchodzimy, mówi i przepycha się powoli, stękając. Jest ciasno, ale on jest mikry i udaje mu się przejść, włosy, koszula, spodnie całe w wapnie i sadzy. Za nim przepycha się Aniela, on jej pomaga, ja też. Wreszcie się udaje. Na twarzy czarne krechy sadzy. Ubrana w kozuszek mój, to znaczy Wuja mego, umorusany, krechy sadzy i krecha ceglatego pyłu. Wchodzą na schody, zziajani.

To przewód kominowy, mówi Bronio. Wyszliśmy na spacer, kiedy te trzaski usłyszałem, myśleliśmy, że to już. Ognie sztuczne, trąby i wołanie. Trzask pieczęci. No i woda nas zgoniła tu, wleźliśmy w ten przewód. Przewód? Poziomo? – myślę. Nie mogę uwierzyć, niemożliwe. Znów kłamie. Mówię: Jasne, dobrze, że jest, to znaczy, tak chcę powiedzieć, ale wychodzi mi na szczęście znów pam pi du ti dum, pam pam. Chodźcie! – mówię jeszcze, to znaczy, chcę powiedzieć, a pam di dim pam słyszę. Ha! Nic, myślę, i taka przykrywka dla nich, pam di dim będę mówił, a myślał sobie co innego, niech też mają, a co! I prowadzę na górę, do pani Mani. Idziemy, Aniela ostatnia, co chwilę wybuchając nieopanowanym chichotem. Bronio ją ciągnie za rękę. Zaczekaj, mówi do mnie. Zaczekaj. Czy to tu? Znalazłeś? – pyta. Co tu? – odpowiadam, to znaczy, chciałbym, ale słyszę pam du. No, skrzynka, maszynka? – pyta raz jeszcze. Jaka maszynka? – mówię, a raczej:

Dam du damda? Skrzynka, śpiewająca trumienka, maszynka świergocząca, katarynka, mówi i łasi się jakoś. Chciałbym ją wreszcie zobaczyć. Podobno jest tam w kopercie zawinięte serce.

Wzruszam ramionami. Serce? Oszalał. Nie wierzyłem mu, to przykrywka, żadne tam serce, żadne tam. A dopiero maszynka! Serce-maszynkę wymyślił! Nie wierzę! Przykrywka dla czegoś innego na pewno, dla narkotyku albo czegoś w tym rodzaju. Ale ja teraz też przykrywkę mam, pam di di dum mówię, a myślę co innego, ha! Przychodzimy. Pani Mania mruga oczyma ze zdziwieniem, potem zrywa się. A ty jak się tu dostałaś? Dziecko! – woła do Anieli. Miałaś się szanować, leżeć! Co ci mówiłam? Z taką wadą, Boże! Aniela tymczasem wygina się jakoś tak w bok, rękę wyrywa z uścisku Bronia i chichocze.

Czemu chichoczesz, ty? Czemu się chichrasz? To nic śmiesznego! Niebezpieczne! A jaka brudna! Miałaś leżeć, woła pani Mania. Aniela chichocze, pokazuje na mnie palcem, a właściwie na mój sweterek. Co ty tam masz? – chichocze. Pieluchę? Śmieje się, zęby ma białe, choć krzywe.

Słuchaj, przysuwa się do mnie tymczasem Bronio. Moje mieszkanie niezalane, wszystko tam jest. Można tam wrócić, ale Wuj mówił, że będzie łódź, mamy iść wyżej. Trzeba ją – pokazał ruchem głowy Aniela – ratować! Ratować! – dodał ciszej. Aniela chichrała się. Nie wierzyłem mu. Przykrywka. Aniela ratować? A para, która miała ludzkość odnowić? Przecież to Figa najwyraźniej, ją ratować, ją ratować, jeśli już kogoś ratować, bo z nią ratować świat. A ja ją tam zostawiłem, zemdloną! Gorąco mnie się zrobiło na powrót. Gorąco. A Leta? I co to za Leta w końcu?

Ale dlaczego, dlaczego do cholery martwię się i w sen płaczę, kiedy nieprawda, nieprawda i zaraz się obudzę, niech no tylko drzwi znajdę, klucza użyję! I nikogo tu nie ratować, nie wplątywać się, przecież życie gdzie indziej jest, a ja tu na moment, nieprawdziwie, fikcyjnie. Tam iść i tam ratować, moich, nie tu! A tymczasem Aniela chichra się i chichra! Pampers, pielucha, jakoś tak zanosi się, aż usiadła na podłodze, dłonią usta zasłania, do krechy czerwonej krechę czarną, sadzę czarną, smołę dodaje.

Bronio kręci się w kółko, zdenerwowany, przyczajony jakiś, rozgląda się, węszy, w końcu nerwowo skubie kłaczki wyjęte z kieszeni poplamionej marynarki, jakieś karteluszeki, paproszki w kulki toczy w palcach i na podłogę rzuca tu i tam, nerwowo, nie patrząc nawet. Zaraz wyłażą robale, by to porwać, z kątów mysz wyskakuje, nietoperz frunie, łopot jakiś nad głowami. Ty, przestań, krzyczy Aniela, histerycznie krzyczy. Przestań znowu karmić, bo przyleżą, ja nie chcę. Już nakarmiłeś, już! Bydlę ogromne, spasione masz! Całe stado masz, kiedyś nas pożrą! Daj już spokój, słyszysz, nie chcę! – krzyczy Aniela, krecha czerwona. Nienawidzę tego twojego dokarmiania! Tego miętolenia, skubania! Nienawidzę tego w kulki zwijania! Rozumiesz? Chyba już wszystkie książki wyskubałeś,

kartka po kartce! Ty u prezesa pisarz, a ściubisz, zamiast pracę szanować, po karierze się piąć. Boże!

Bronio przestaje, jeszcze bardziej sam w kulkę się zwija, bykiem patrzy. Ale ja myślę: Jak to, wyskubał książki? Jak to? Nie wierzę, to przykrywka, że skubie i kartki w kulki zwija. Może rysunki swoje zwija? Może karteluszek, zapiski? Nie wierzę, mówię nawet: Pam didi dum. I milczę wymownie. A jedna kulka, pam pam pi dum, spada po schodach w dół, spada tam, w tę bulgoczącą przepaść, w studnię naszą bezdenną.

Pani Mania tymczasem do Anieli przemawia: No i co z siebie zrobiłaś? Musisz dbać o siebie, nieszczęście jakieś sprowadzisz! Trzeba odpoczywać, a nie szlajać się po kominach, kto to widział? A jeszcze z kuzynem? Tak się nie szanować! Pani Mania skrzywiła się, lecz mówiła dalej: Nie wiem, co wy tam wyprawiacie, jakieś szaleństwa, muzyka do nocy gra, jakieś bieganiny, nie można zasnąć. Chora spać nie może! Wykończysz się, moje dziecko, wykończysz się jak nic.

Bronio nie mówił nic, skubiąc coś, ale już po kryjomu, w kieszeni tylko, tak aby Aniela nie widziała, skurczył się jeszcze, zgiął, zmierzwił i skudłacił. W kąty się wciskał, zaglądał wszędzie i coraz bardziej ściubił.

Pani Mania, przysunąwszy się bardziej do Anieli, podjęła szeptem scenicznym: A jeszcze z nim, na litość boską, dziecko, też to twój kuzyn własny! A poza tym, wiesz, co o nim mówią, jego matka jaka była? Jakaś dziwna przecież, czarna taka, nie z waszej rodziny, wyraźnie i akcent inny, i budowa inna, wyraźnie. Herbatę mieszała jak? Nie pamiętasz, a ja pamiętam, że nie w tym kierunku. Inna była, czarna taka, jakby Węgierka, na pewno Węgierka – czasem, jak spała, takie miała murzyńskie zawołania, że strach, że strach! Mówię ci. Lepiej z nim przestań, bo coś złego z tego będzie! Węgierska choroba albo i gorzej.

Aniela spojrzała na nią zimno, wreszcie wstała gwałtownie. Ach, przestań! Nienawidzę cię! – powiedziała i poszła w drugi kąt, patrząc przez okienko na to, co w dole.

A w dole węzły i sploty rzeki, mlecznokawowe błoto, pędząca ulicami kipieli i dużo więcej jeszcze niewidzialnych spraw, przykrytych.

Tymczasem cała wieża pracowała, skrzypiała, śpiewała popychana przez rzekę, huśtana przez nią, śpiewały cicho legary, skrzypiały belki, krakały krokwie. Pani Mania rozglądała się z lękiem co chwilę wokół, a powódź pracowała, pracował też czas, pracowała przestrzeń, rozszerzając się we wszystkie strony.

Nagle coś huknęło, szurnęło, furknęło w dole, wieża zatrzęsała się i dzwon wydał ciche jęknięcie. Podłoga zaskrzypiała, krokwie zachichrały w odpowiedzi. Belka kwiknęła. Pani Mania krzyknęła cicho w przestkach. Ale Bronio zaraz: Coś uderzyło, jakiś pień, o wieżę, pnie porwane przepływają, drzewo albo samochód. Albo coś innego. A ona: O Boże, Boże, a jak nie daj Boże co gorszego? Jak nas coś przewróci? Zginiemy tu zupełnie, zupełnie. Ani jeść, ani pić, nic, nic. Dobrze, że choć proszki wzięłam. Ani toalety. Jak zwierzęta, jak zwierzęta. Bez toalety. Jak to tak? Jak zwierzęta.

Bronio odwrócił się gwałtownie: Niech pani zejdzie na niższy poziom, na tamto piętro zaraz nad wodą i tam się załatwi, nic innego zrobić nie można. Załatwi? – zawołała. W wieży? Jak to tak? Na schodach? Jak zwierzęta! Bronio

w odpowiedzi tylko wzruszył ramionami i zabrał się za swoją robotę: coś skubał w kącie, z ręką w kieszeni coś ściubił i skubał, i kulki toczył.

Pani Mania pokręciła się nerwowo, powzdychała jeszcze chwilę. No, jak zwierzęta, jak zwierzęta. A ksiądz jak mówi? – zapytała mnie. Było mi wszystko jedno, odpowiedziałem więc zgodnie z prawdą: Pam pam di di didam. Spojrzała, skrzywiła się na dłuższą chwilę. No dobrze, skoro ksiądz mówi, że można, to trzeba, nie ma wyjścia, niech Bóg wybaczy, powiedziała. Ale zimno, jak tu zimno, przecież zmarzną, przeziębę się i rozchoruję tu całkiem. Brrr!

Ponieważ było mi wszystko jedno, stanąłem bardziej w cieniu i zdjąłem sweterek, rozwikłałem się z pieluchy, i podałem go jej odwrócony tyłem. No, już, wezmę, co za wstyd, dobrze, że tu w cieniu się schować można. Wezmę i zaraz wrócę. Jak zwierzęta, powiedziała jeszcze i zaczęła schodzić po schodkach w dół, trzymając w rękach gromnicę i oświetlając sobie drogę chybotającym się płomyczkiem. Jej głos było słychać cały czas. Mówiła do siebie.

Aniela tymczasem, patrząc na mnie, powiedziała: No, od razu lepiej. Ja odżywam, odżywam zaraz. Nie mogę tak, zapomniana, nie mogę. Bo zimno. Westchnęła. On rysuje mnie, ale mnie rysuje, jakby siebie rysował, on rysuje mnie, ale kolorów brak, tylko pędzlem muska, a wewnątrz zimno, pustka czasem. A przycisnąłby. Przycisnąłby czasem. Popatrzyła na mnie. No, ale pięknie rysuje, pięknie. To ja, mój feler taki, że muszę czuć też co innego. Nie tylko pędzlem, ołówkiem, ale też wiesz, smak, smak jeszcze. I zatańczyć, zatańczyć, dać się porwać. Ale nic, nic, nie słuchaj. Popatrzyła Broniowi w oczy. Dopóki będziesz chciał, to będę, ale się staraj trochę. A Bronio nic nie mówił, tylko skubał nadal, bez słowa, gdzieś w kącie, zawzięcie.

Po chwili w dole dał się słyszeć łomot, wrzask okropny, jakieś szamotanie i kwiki dziwne, dochodzące z dołu. Coś jakby bulgotanie i chlupot, mlaskanie i prychanie, sapanie jakieś, puszczenie baniek, bardzo głośne i ciągłe piski pani Mani, którą za moment ujrzeliśmy z garderobą w nieładzie, włosami stojącymi na sztorc, twarzą poszarzałą i oczami w ślup, wbiegającą jak wichra po schodach i wrzeszczącą: Boże, bestia, diabeł! Potwór, ratunku, ratunku! Na pomoc, umieram! Co, gdzie? – krzyknął Bronio, łapiąc ją za ramiona. Co, gdzie? Aaa! – krzyczała ona jeszcze głośniej, potwór, diabeł, aaaa! W końcu Bronio, potrząsając panią Manią, stwierdził, że niczego więcej prócz głośniejszego jeszcze krzyku z niej nie wydobydzie, puścił ją i zbiegł na dół, ja za nim. Zadzwoiło.

Ja za nim, po schodach, w półmrok, w wilgotność, w studnię ciemną, a tam, skąd dobiegały dziwne sapania, w wodzie, pod schodami, przewalało się coś i dmuchało w ciemności, stękając ohydnie. I bańki puszczało, i stękało, i przewalało się. I nie zobaczyliśmy w mroku połyskliwym nic innego, jak tylko wypuszczający nozdrzami co chwilę fontanny mgły wodnej wielki i bury łeb czegoś – przyjrzałem się bliżej – hipopotama!

Hipopotam! Biedny zwierz sapał i wydawał dźwięki, z trudem mieszcząc się w wąskim korytarzu. Zanurzał się i wynurzał co chwilę z brudnej wody, najwyraźniej cierpiąc. To hipopotam – skąd tu hipopotam? Widocznie woda wymyła go z zoo. Utonie w tej wieży, jeśli go ktoś nie uratuje.

Bronio przypatrywał mu się dłuższy czas z uśmiechem – wyżej pani Mania dłuższy czas wrzeszczała. On, wyciągnawszy z kieszeni kulkę, rzucił ją w dół. Zabulgotało, zawrzało, wzburzyło się, powstały fale i ogromna paszcza stwora otworzyła się i pochłonęła z sykiem kulkę i litry brudnej wody.

Wbiegliśmy na górę. Bronio zaczął uspokajać panią Manię. Hipopotam? – zawołała. Lewiatan raczej, hipopotam prosto z piekła chyba. Boże, to potworne, dostałam zawału, apopleksji, muszę wziąć proszki! Nie mogła złapać dłuższy czas oddechu. Skąd się tu wziął, dlaczego tutaj, w kościele? Niech ksiądz go stąd wygoni, przecież nas pożre.

Jest z zoo, z zoo, rozumie pani? – warknął Bronio. Z zoo, pewnie inne zwierzęta zginęły, a hipopotam przecież umie pływać trochę, chociaż nurt silny. Wrzuciło go tutaj, porwało i wrzuciło tutaj, może zdążą go uratować jeszcze. A może wydostanie się stąd i popłynie dalej, trzeba, żeby mógł wyjść na ląd. Może się przestraszy i ucieknie, może się spłoszy, powiedział, ale za cicho jakoś, bez przekonania.

Nie wierzyłem mu, no bo jak, spłoszy się, jak, hipopotam z zoo, jak to, wymyty? Nie wierzyłem, a widziałem także, że nie wierzy Aniela, która podbiegła do schodów i spojrzawszy w dół, krzyknęła: Nie mówiłam, skubałeś i skubałeś, to teraz masz! Tyle karmiłeś to bydłę, że aż przyszło! Patrzyła zafascynowana w dół, w tę poruszająca się górę ciemną, tę wielką dzikość i bezradność wielką.

Ale od tej pory o toalecie dla pani Mani nie mogło być mowy. Doszła jakoś do siebie, połykając kolejne proszki. Proszę księdza, czy katechizm przewiduje trzymanie takiego bydłęcia w kościele? To niedopuszczalne, proszę, niech ksiądz to wygoni na dwór. Przecież śmierdzi i sapie, jest niebezpieczny. Rzeczywiście, hipopotam kotłował się w dole, woda się kotłowała, pani Mania kotłowała się powyżej, a zdenerwowany Bronio zaczął znów chodzić w kółko jak zwierzę po klatce, a kiedy i ja też za nim chodzić zacząłem, on znów zaczął w kącie stawać i skubać.

A ten znów dzwoni jak na złość, jakby brakowało jeszcze tu czegoś! Niechże ksiądz nie dzwoni, przecież to nieobyczajne! – zawołała pani Mania, nie zasłaniając tym razem jednak wcale oczu, a uszy. Głowa od tego pęka! Można zwariować! Ja jednak chodziłem wciąż w kółko. Niechże ksiądz w takim razie zejdzie na dół i mu się tak pokaże, może się bydłę wystraszy i ucieknie na ten widok. Na pewno takiego czegoś nie widziało, powiedziała wreszcie pani Mania.

No to zbiegłem w dół, porwawszy dechę z góry, zbiegłem na dół. I zacząłem walić nią o belki, czyniąc hałas i harmider, w nadziei, że zwierzę wystraszy się i odpłynie. Ale na próżno, bo hipopotam, rzeczywiście wystraszony, zaczął wypuszczać znów swoje fontanny, sapać i, zdaje się, śmierdzieć bardziej niż zazwyczaj, lecz swej nowej klatki, tym razem schodowej, nie opuścił. Być może właśnie garnął się do ludzi, szukając ratunku w nowej sytuacji, chociaż z góry słysząc było ciągle pokrzykiwania pani Mani: Wynocha! Kysz! Sio! A jak nie chce wyjść po dobroci, to niech ksiądz tą deską utłucze gada!

Dałem spokój, wróciłem, zrezygnowawszy z dalszych działań. Pum di di dim, powiedziałem tylko, pu di dum.

Aniela śmiała się znów. Przecież to wszystko od nas zależy, sprowadziliśmy tu tego krokodyla, to go możemy odwołać, odesłać. Powódź też tylko od nas zależy, tylko od nas, prawda, Broniu? – zapytała. Prawda, Broniu, że gdyby nie te karteluski, to by powodzi nie było, prawda? Przez to mazanie, przez te majaki. Gdybym ci nie dała polizać, to by nie było tak, nie? – zapytała znowu. Włosy spuściła na czoło, nie było widać jej twarzy.

Jakoś tak cicho zrobiło się przez chwilę, choć nie wierzyłem ani słowu, ani jednemu. Bronio skubał w kąciku, Aniela melancholizowała, śmiejąc się od czasu do czasu jak potłuczona, ja podzwaniałem nieśmiało.

Tymczasem pech jakiś, pech nad panią Manią zawisł tego dnia widocznie, bo jak się okazało za chwilę, hipopotam nie był jedynym zwierzęciem uratowanym od zatopienia w ogrodzie zoologicznym. Za chwilę znów huk, brzęk szkła tłuczonego, okienko na dole, na półpiętrze pryska, a przez nie, z kłody, wprost z przepływającego nieopodal wielkiego konaru drzewa liściastego, jakiś zwierz mały, hyc hyc hyc, smyrgnął, wpadł jak torpeda do wieży i po przeskoczeniu wszystkich elementów konstrukcji, słupów, belek, desek, framug i schodów, spadł prosto na głowę pani Mani, która wydawszy z siebie pisk międzyplanetarny, osunęła się bez czucia na podłogę. Spojrzeliśmy: koczkodan! On też narobił zaraz krzyku, sycząc i szczerząc zęby ze strachu.

Przejęty Bronio próbował go zdjąć z jej głowy, ale bez skutku – wczepił się łapkami tak mocno we fryzurę i taki wrzask podnosił, kiedy ktoś go dotknął, że kiedy udało się wreszcie panią Manię przywrócić do świadomości, natychmiast znów wpadała w histeryczne delirium i traciła grunt, chwiała się, słaniała. Wreszcie, za piątym razem, sama poprosiła, szara jak papier, żeby zwierza nie ruszać, może sam zejdzie. Ale koczkodan nie schodził, przeciwnie, przerażony nie mniej niż ona wczepiał się z całej siły w jej włosy.

Okazało się wkrótce, że spodobało mu się bardzo to miejsce i odtąd na stałe tam niemal zamieszkał, co chwila rękami grzebiąc gdzieś i coś iskając i pani Mani włosy układając w fantastyczne fryzury. Ona sama wołała się nie poruszać i zastygała, sztywna jak miotła, dopóki małpiszon nie zeskoczył, żeby poszukać

jakichś robaków pod sufitem – nimi się żywił i były to jedyne momenty odpoczynku dla biednej kobiety. Kiedy się najadł jednak, zaraz wracał do swego ulubionego gniazda. Ona też nauczyła się nawet nieco poruszać mimo małpy na głowie – wszelako ostrożnie, sztywno, bez gwałtownych ruchów – a nawet mówić z małpą na głowie, z początku cicho, mrucząc pod nosem, a potem coraz głośniej, czemu czasem koczokodan akompaniował, szczerząc się i piszcząc, podskakując rytmicznie, prężąc ogon, a także śmiejąc się diabelsko. Ze mną szczególnie, jako że pozostawałem goły, wkrótce nawiązał porozumienie pozasłowne, czując widocznie bliską naturę. Od czasu do czasu wrzeszczał wniebogłosy i wskazywał wyciągniętym palcem koczokodanid idącą po belce tłustą larwę.

Aniela śmiała się spazmatycznie, rumieńców dostała, i kiedy się śmiała, koczokodan również był wesół. Bronio w kącie ściubił i skubał. Dzień szedł, powódź szła dalej. Woda wstąpiła kilka stopni wzwyż.

Ale ten Bronio! Ale ten Bronio, no! Niby tam w kącie stał i ściubił, aż wyskubał wreszcie: posypały się trociny, paprochy, siano, gips i tynk. Posypała się słoma, sadza i dachówki i jakieś przejście, jakieś wejście ukazało się. Dziurę wyskubał w ścianie, w dachu, w kącie. Tędy, zawołał, zanim nas zaleje!

Pobiegliśmy. A hipopotam? – chciałem spytać, lecz pum pi dim zapytałem tylko jak zwykle. Dalej, zawołał Bronio, dojdziemy do czegoś! I sam wskoczył, przepychać się zaczął, stękać i rękę wyciągnął po Anielę, która wkrótce z nim stękać w dziurze zaczęła i tak stękali coraz głośniej i głośniej, aż kurz szedł i sadza. I stękali, głupio jakoś. Wpadł tam koczokodan za nimi, lecz stękali dalej. Zacząłem panią Manię więc podsadzać i dobrze szło, bo zatkała sobą dziurę i stękanie tamto, ale tylko do pewnego momentu, bo część pani Mani już tam wlaźła, a pozostałość wraz z nogami nie. I ani rusz. A abulafia jeszcze, gałązki połamane, liść się sypie, ale pani Mania wypuścić nie chce. Magiczne drzewko, mówi.

I ani rusz. Próbuje raz i drugi, aż głupio ją tak pchać od tyłu, ale ani rusz. Tym bardziej, że im mocniej ją tak od tyłu popycham, tym bardziej ona krzyczy. I kiedy ją popycham, ona w krzyk. Klops czy, jak mówią, pat kompletny. Na powrót też nie bardzo. Za nogę ciągnę, ona w krzyk, tynk się sypie, wieża trzeszczy, dzwon dzwoni, ani rusz. Konstrukcja się buja, ani rusz. A woda postępuje. Myślę: Zginiemy! Myślę: Na amen zginiemy tu.

Lecz hipopotam przyszedł mi niespodziewanie z pomocą. Przestraszony wieży bujaniem, dzwonu biciem bańkę wypuścił, zafurczał, ziewnął, bąka strzelił, dźwięk wydał do wrzasku podobny. Na to pani Mania jakąś siłą cudowną, energią niezemską popchana wpadła w dziurę, przepchała się w całości, sadzę i dym wzbijając, krokwie łamiąc. Zniknęła w czeluści, za nią ja, jak mogłem, zbroję całą porzuciwszy, goło, z kluczem w miejscu bezpiecznym, na czworaka.

Z kluczem w zębach, dodam.

No to pchamy się w sadzy i smole, w ciemności, na czworaka. Za mną nic, ciemno i ciemniejące światełko z opuszczonej wieży, które teraz płąsa i chyboce się jak płomyk z lampki, przede mną panoramiczny tył pani Mani. No i jęcymy, powoli idzie, popychać ją trzeba, bo robi się zastój czasem, zwięzenie, w którym utyka, ale idziemy. Wyłazimy na dach i dachami teraz droga, dachówki spadają, a my na czworaka dalej, jak małpy. Jęczy pani Mania: Jak szatany jakieś, na łapach, czarne, jak szatany! Abulafię targa za sobą, przed sobą czasem posuwa. Gzymsik, parapecik, pomiędzy anteny i kominy – jaka panorama miasta się rozciąga, w którym rzeka rzeźbi sobie przejście, a kamienica skrzypi, gra, trzeszczy olinowanie i stępka jęczy, tak jakbyśmy płynęli statkiem ogromnym przez morze wielkie – przez właz włazimy, po drabince na strych jakiś, rupiecie i kurz, ale już jakby znajomo. Padamy ze zmęczenia, pani Mania, Aniela, Bronio pada, ja padam. Koczkodan, w nowym miejscu niepewny, wskakuje na głowę pani Mani i już z jej włosów gniazdko sobie wije.

Leżymy tak, dyszymy, jęcymy, a wokół nas jęczy przyroda cała, przyrodzenie jęczy, jęczy rzeka i miasto opasane i przebite przez nią jęczy, bulgocze. Dyszymy, a z boku rumor jakiś znowu, drzwi się otwierają w głębi i wpada Wuj mój galopem, zmierzwiony, rozpięty, z ognistym wzrokiem. Za nim hamuje Fifak, utykając na jedną nogę. Ha! Tuście mi się schowali! – woła Wuj i dalej nas zapędzać i organizować.

Wstawać, wstawać! Tam, na dole, Maniutek już niemal tratwę woduje! Zaraz załadunek. Woda podchodzi, podchodzi, ale zdążymy. Jedno tylko pokażę wam, zanim się zacznie, jedno tylko! – krzyczy i rękawy podwija, koszulę rozdziera i przez nią szramy pokazuje, strupy na piersiach, czapkę na ziemię rzuca, aż dym bucha, iskry się skrzą, i na kark każe patrzeć pokąsany cały: Widzicie? Tu, patrzcie, te psiekrwie mnie tak pokąsały. Te diabły małe, czorty jedne, skąd je diabli nadali? Tfy tfy, krzyczy, spluwa.

Za nim Fifak, czerwony, płaczący, nieskładnie coś opowiadać zaczyna, a Wuj mój od czasu do czasu gromkim głosem wtóruje: otóż nastąpiło coś, czego nikt w kamienicy się nie spodziewał. Już od jakiegoś czasu przed powodzią dało się słyszeć tu i ówdzie szумы, tupania, trzaski, popiskiwanie, szurgot i furkot w ciemnościach, w papierach, w szpargałach, wśród książek w bibliotekach, w starych szmatach na strychu – słowem, wszędzie tam, gdzie nikt nie zaglądał. Przypisywano to myszom uciekającym masowo od przyboru wód. I rzeczywiście, dziesiątki tych małych stworzeń przemieszczało się teraz w eksodusie z piwnic w kierunku strychu, przebiegało między nogami krzesel i pod nogami mieszkańców, wspinało się po zasłonach i balansowało na sznurach na bieliznę, drapało w szafkach i myszkowało w spiżarkach. Ale myszy, jak się okazało,

uciekały również przed czymś innym.

Pierwszą ofiarą była Figa, ukąszona boleśnie i zniecka od tyłu, gdy pochylała się nad szufladą w poszukiwaniu pilniczka do paznokci. Bezcelność i perfidia ataku wprawiły ją w osłupienie. Krzyknęła, lecz zanim zdążyła odwrócić się, by wymierzyć policzek, coś szmyrgnęło pomiędzy pakunkami stojącymi w pokoju i skryło się za szafą.

Potem wypadki potoczyły się seryjnie: najpierw Fifak, który zapuścił się sam do Babki pokoju i grzebał, szperał wśród półek, został ugryziony w rękę myszkującą gdzieś głęboko. Wrzasnął i zaraz pokazał wszystkim skaleczony palec, przysięgając, że widział jakiegoś małego diablika. O tam, tam uciekł, widziałem! Wuj mój maznął go w ucho, łajac za szperanie w cudzych rzeczach. Ale za chwilę sam został ugryziony, po nim Żyła, znów Figa i Maniutek. Widziano sprawców: były to małe stworzenia wyglądające jak skrzyżowanie kuny, kota i małpy, obrośnięte czarną szczecina, niezwykle zwinne, potrafiące stać na dwóch łapach, piszczeć, wyć, szczekać, charczeć i szeptać. Czasem wydawały z siebie płacz podobny do płaczu dziecka, innym razem ryczały potwornie, szczerząc żółte zęby. Wylazły skądś z podziemi i ponieważ nikt nigdy nie słyszał o nich, zrozumiano, że to stworzenia jeszcze przedwojenne, pozostałe po poprzednich mieszkańcach tego miasta. Byli też tacy, którzy nie wierzyli, mówili, że to żydowskie są spiski i legendy albo że przywiózł je tu jeden czarniawy konus, literat jeszcze z Leopoldis, w futerale swojej maszyny do pisania Remington Junior, ktoś mówił, że w donicach abulafii zwykły nory kopać i czaić się w nich przez kilkanaście lat, by wyjść nagle w środku nocy. Ale nikt tego nie widział. Gryzły dotkliwie: upodobały sobie kilka osób, którym dokuczały szczególnie, innych zaś szczęśliwie ignorowały bądź odwiedzały rzadko. Ich porą była noc lub zmierzch i czaiły się wówczas na samotnie przebywających ludzi.

Nie było sposobu, by je złapać: Maniutek, klęcząc potwornie i rycząc głośniejsz niż one, wydał im wojnę i uzbrojony w pałę i kuchenny nóż wziął sobie za punkt honoru wytępienie plagi. Lecz pomimo pomocy ze strony Fifaka i urzędnika obławy z udziałem pisarzy nie udało mu się osiągnąć żadnego. Oberwało się w ogólnym rozgardiaszu Fifakowi w kolano i od tamtej pory wyraźnie utykał.

Rozważano sposoby poradzenia sobie z najazdem, tak jakby powódź nie była już najważniejszym problemem dni bieżących – diabliki stały się przekleństwem każdej minuty. Budowanie tratwy w tych warunkach stało się niepodobieństwem: budowniczy musieli mieć za plecami straż odpierającą ataki tych małpisonów. Jednemu z pisarzy omal nie odgryzły nosa. Wszyscy leczyli bolesne pogryzienia. Jedna Babka ucieszyła się niezmiernie na ich widok, pokazując Fidze stwory pędzące po podłodze przez pokój: O, tam są, lecą, oto one. Wyszyły, mówiłam, że wyjdą! Ha ha ha, śmiała się serdecznie, przechylając głowę do góry, ha ha ha! Biegają! Widzisz, złotko? Teraz widzisz? Zwariowałam? Ha ha! Klaskała w dłonie.

Nie mamy chwili do stracenia, zawołał Wuj mój. Trzeba przegnać te czorty i wsiadać na tratwę, a jak nie, to trudno, uciekamy z nimi.

Zaraz, powiedział Bronio i wszyscy spojrzeli na niego, a on kurczył się i rozwijał, falował, mierzwił i skręcał, twarz mu grała. Zaraz, powiedział. Ja wiem, jak te biesy wygonić. Tak powiedział. Cisza zapadła, cisza duża, a woda też jakby uspokoiła się nieco. Aniela pobladła tylko i wstała, patrząc na to skręcanie się Broniowe, na to kulkowanie, bo znowu rękę do kieszeni schował i kulki toczył. Trzeba im kulkę rzucić – powiedział. Tak, ja pójdę.

O nie! – zawołała Aniela, o nie! Nigdzie nie pójdziesz, zginiesz! O nie, krzyknęła, koło niego stając, brudna taka i sadzą zamazana grubo. Nie pozwolę ci!

Ale pani Mania, która dotąd siedziała cicho, z koczkodanem w czuprynie, odezwała się nagle: To dobry pomysł, ktoś te diabły wyprowadzić musi. Co, nie wiecie? A Bronio, zdaje się, dobrze wie, co mówi. Prawda, Broniu? Co, Broniu? Powiedz, jak to idzie, a może ksiądz nam powie, co? Obróciła się do mnie.

Cóż mam jej powiedzieć, o co jej chodzi? Pum di di dum pi – zaprotestowałem, wszystko jedno mi było. Trzeba świnię znaleźć, powiedziała pani Mania.

Co? – zapytał Fifak. Co? – zapytała Figa, która właśnie weszła w szlafroku swoim, aż zaleciało bananem i cynaderką. Świnię? A świnię, świnię, powtórzyła pani Mania dobitnie, patrząc uparcie na Bronia. Koczkodan wyszczerzył zęby i zaczął się chichrać i fikołki fikać.

No, jest tam... u Marka czy Łukasza – Bronio wybałuszył oczy, potem spuścił wzrok – że ten opętany... z demonami... a Jezus wypędza je, no i – zrobił się czerwony jak burak – one wchodzi w te... w świnię, i świnię skaczą do wody. Jakoś tak. Chrząknął. zmierzwił się tylko jeszcze bardziej, jeszcze bardziej rozczochrał.

Jakoś tak? – zapytała pani Mania. Jakoś tak? A ksiądz nie pamięta na pamięć? Można sprawdzić, zawołał Fifak, można sprawdzić. Niby jak sprawdzić, mruknął Wuj mój, niby jak sprawdzisz, baranie, jak wszystkie książki już spakowane. Zapadła cisza.

No dobrze – świnię, świnię, ale skąd weźmiemy świnię? – powiedziała Figa rezolutnie. Zapachniało rezedą i płynem borygo. Pieprzenie takie i tyle, dodała.

Ha, bo to mało świń? – zawołała pani Mania. Daleko szukać nie trzeba – rozejrzała się wkoło wzrokiem pełnym wyższości. Koczkodan wziął się pod boki. Palcem nie będę pokazywała. Co? Figa najpierw zdębiała najwyraźniej, robiąc okrągłe oczy, a za chwilę poparzyła na nią wzrokiem bazyliuszka.

A to, że jest tu parę osób, co mają swoje za uszami, i to nie od dziś wiadomo, a ja, chociaż nie jestem z tej rodziny, wiem, bo wszyscy na całej ulicy wiedzą, co się tu wyrabia, zaperzyła się pani Mania. Więc niby kto? – zapytała zimno Figa.

No, chociażby ten cały Stryjuńcio. Wiadomo, że zboczeniec. I wiadomo

w całym mieście, że wyprawia jakieś fanaberie, jakieś świństwa, diabli wiedzą co zresztą. Zboczeniec i tyle. Młodzież deformuje – powiedziała, a koczkodan zasyczał i zatarł łapki.

No, no, bez przesady, proszę, bez takich tu insynuacji, wtrącił się Wuj mój, konkretniej, konkretniej, to do niczego nie prowadzi.

No właśnie, powiedziała Figa, może już damy spokój, co? Z tym wymyślaniem, kto tu świnia. Ja bym tam miała swoje typy, powiedziała, i rozszedł się zapach terpentyny i grzybów po deszczu. To są rodzinne sprawy i więcej taktu, droga pani Maniu, proszę. A tak w ogóle, to widać, że by się pani przydał jakiś dobry krem, bo strasznych zmarszczek pani dostaje. I zasiała amoniak, podroby i gulasz.

Jasne, odpowiedziała pani Mania, a kto się Babką opiekuje dzień i noc? Kto pieniądze daje *a vista*? Kto na kredyt mnie wynajął? Ile mam jeszcze dokładać? Czemu się sami nie zajmiecie Babką, tylko mnie, obcej, ją zostawiacie? Ładna rodzina, a jak by to wyglądało, gdyby nie ja? Całkiem by się zmarnowała, a tak, proszę. Codziennie na mojej głowie pieluchy, pampersy, karmienie i na mnie te zjawy, te bzdury, co wygaduje, codziennie muszę tego słuchać i grać w ten głuchy telefon! A to Lecia, a to te dwie z dzieckiem, i udawaj, że wierzysz, i wysłuchuj tych majaczeń. Umrzeć nie może, bo jej duchy nie dają, sprawy niezłatwione ma, męczarnia, męczarnia, ale ja znoszę, proszę bardzo, bo się nie chciało nikomu innemu! Z rodziny się nie chciało! Ciągłe z wojny te sprawy, z tymi dwiema, co Babka wciąż nie może sobie wybaczyć, a potem Lecia czy wypadek, czy choroba, i co można było zrobić, a czego nie zrobili, i wysłuchuj tego, a co mnie to obchodzi, za jakie grzechy? Mało mam swoich zmartwień? Sama byś, złociutka, do niej zeszła czasem. I jeszcze Aniela! Ratuj potem, ratuj, pani Maniu! Jak trzeba, to ratuj! Brudy prac, to pani Mania! Potem niewdzięczność tylko i nienawiść za całą nagrodę.

Figa zaczerwieniła się wyraźnie, wyczuć w powietrzu można było grasicę cielecą, parówkę, barszcz biały. Niech już się pani tak nie skarży i za taką bardzo pokrzywdzoną nie podaje, ja tam swoje wiem, zresztą wszyscy wiemy – Babka już tam nieźle panią wynagrodziła. Jakieś papiery, co? Nie dała? A komu przepisała wszystko? Nikomu z nas, tylko pani przecież. Już by pani tak całkiem za darmo tam tyle nie siedziała, co? Nawet nie Leci, tylko komu? No, niech pani się przyzna, powiedziała, wysuwając do przodu brodę i pierś, aż powiało rozmarynem, mortadela, kozuchem mlecznym.

Leci? To ja pani powiem, kochana. Bo panią to guzik obchodzi – Babka i w ogóle wszystko. A skoro już tak, złociutka, to ja ci jeszcze powiem, zaperzyła się pani Mania, a koczkodan wprost szalał, paluchem w ucho dłubał, oblizywał. Ja wam powiem, kto największa świnia. Przecież wiadomo, co to ja ślepa jestem? Inni też widzą, jaka z ciebie szmata i puszczańska. Sprowadza nie wiadomo kogo do

siebie, szwenda się po mieście, ze wszystkimi ją widzieli, nawet po hotelach. I, proszę cię, z mężczyznami nawet po francusku – tfu, ohyda – nawet po francusku, słyszałam, jak jęzorem obraca. Wywłoka jedna, a niby hrabina, niby ą, ę, po francusku, psiakrew, z młodymi, sama widziałam kiedyś, po francusku dziób umie otwierać, a, to świństwo straszne. Tfu, świństwo. Koczkodan język wystawił i zaskrzeczał.

Co?! – wrzasnęła Figa. Małpa stara! Myślisz, że nie wiem, co tam wyrabiasz w pokoju na drugim piętrze? Ty, uważaj, bo na policję zadzwonię! A z Anielą jak było? I Lety małej nie wspominaj, bo zatłukę! Zapachniało bitkami i sosem chrzanowym.

Ty taka mądra teraz jesteś? – zawołała pani Mania. Ile ja się nasłuchałam o tym biednym dziecku, jaki wypadek, jaka choroba! A gdzie wtedy byłaś, co, gdzie ty wtedy byłaś? Babka tylko o tym mówi, tobie nigdy tego co mnie nie powiedziała, nigdy się prawdy nie dowiesz!

Zatłukę! – wrzasnęła Figa i ruszyła w stronę pani Mani, aż koczkodan zaczął krzyczeć i podskakiwać z podniecenia, bo zajęchało witaminą B i ozorem w galarecie. Cisza! Spokój! – huknął Wuj mój. Tak do niczego nie dojdziemy! Przestańcie! Uspokoily się obie, odwracając się od siebie z obrażonymi minami.

Trzeba by je wywieźć, powiedział Fifak. Kogo? – zapytały równocześnie Figa i pani Mania. No, te stwory, zająknął się Fifak. Wywieźć gdzieś.

Wiem! Wiem! – zawołała nagle pani Mania, podskakując niemal, aż koczkodan, straciwszy równowagę, zakołysał się na niej, zaskrzeczał i wczepił pazurami w ucho i podbródek. Poszedł won! – wrzasnęła, poszedł won, ścierwo, nareszcie ode mnie! – krzyknęła i złapawszy małpę, z całej siły rzuciła ją o ścianę. Wrzask i łomot, koczkodan zniknął. Teraz pani Mania z potarganą grzywą i podrapaną twarzą wyglądała sybilicznie: Hipopotam! – zawołała, wznosząc palec. Hipopotam to przecież świnia! Duża świnia! Ksiądz zabierze diabły do hipopotama.

Popatrzono na mnie. Goły byłem.

Ja, pójdę ja, odezwał się znowu Bronio, występując na środek. Zwabię je, ja wiem, co one lubią. Ucieknę, nie martw się, ucieknę, powiedział do Anieli, całej czarnej od sadzy. Kreski czarne rozmazały jej się, wyglądało, że lzy jej spływają po policzkach. No dobrze, powiedziała, ale zostaw mi coś, cokolwiek, może być polopiryna. Zresztą i tak nie ma czym popić.

I już miał iść, już miał iść, ale zatrzymał się, bo nie miał nic więcej do skubania. Paproszków żadnych, karteluszków żadnych, w kieszeniach wyskubane dziury na wylot, nic, nic, i rozglądać się zaczął, żadnych papierów wokół jak na złość ani kotów kurzu, ani kłębów starych włosów, strych wysprzątany dziwnie, nic, nic, nic. Potrzebuję książki, jęknął, książki. Wszyscy na Wuję popatrzyli niemo, lecz Wuj mój, czapkę z podłogi zabrawszy, milczał, potem siadł, minę zrobił srogą, ramionami wzruszył, wreszcie rzekł: Nie dam! Moje książki są moje i do skubania ich nie dam!

Tak? To chcesz, żeby nas ta zaraza zjadła? – zapytała Figa, pokazując ukąszenia na łydce i wyżej jeszcze, podnosząc szlafroczek, aż wyfrunął zapach zupy z dyni i opieńków w occie. Taki z ciebie wuj?

Nie dam! – wrzasnął na to Wuj mój, znów czapkę cisnął, aż baranek beknął żałośnie, iskry poszły. Idźcie sobie do Stryjcia, on ma całe mieszkanie szpargałów, tam się kłębią. Co z tego, że ty, Broniu, jedno wyciągniesz, jak zaraz u Stryjuńcia w kurzu następne się lęgną? No, sam powiedz? Tam ich cała chmara, kotłują się i kwiczą! On od podłogi do sufitu przecież książki ma, papierzyska, tam się pasą!

W tej samej chwili rumor jakiś dobiegł z korytarza i usłyszano toczenie się czegoś po podłodze, a potem piski i kwiki, tupot i warczenie, skowyt i szczekanie walczących stworów. Porwał się zaraz Wuj mój, porwał się Bronio, odpędzili gady: na podłodze zobaczyli resztki papierków, a z tyłu, przyciśnięty do ściany i przestraszony, stał Fifak, blady jak papierek.

Chciałem książkę przynieść, wyjąkał przejęty, ale obudziły się bydlęta, obudziły się biesy. Wuj mój do papierków się rzucił, ale zbierać nie było co. Wszystko zeżarły, biesy, wszystko, charczał i miny stroił. Walcie do Stryjka! – zarządził.

Rzucili się wszyscy do schodów, na klatkę oświetloną teraz bladym słonecznym światłem i naznaczoną śladami rozkładu: obłaząca farba stu malowań i przemalowań, odpadający tynk, złuszczonego skóra, plamy grzybiczne, zacieki, freski, kreski, napisy, obicia.

Ja za nimi, lecz dziwnie powoli – cóż bowiem obchodziło mnie to i owo? A jeszcze inne wiedziałem, czego oni nie znali. Coś dla mnie tam było, jakaś misja, spadek, zapis jakiś, ale głupi, głupi, goły i głupi. Wiedziałem, że my tu, a ja tam Stryjuńcia zostawiłem w pożdze. Ale jakoś niechętnie szedłem, nie wiem czemu.

Może dla przykrywki. Coś tam sobie mruczałem pum pi du pim, a myślałem inne. My tu biegniemy, a on tam gorze! Goreje tam od suchości swojej.

No to do drzwi. I wszyscy już przybiegli, Maniutek i Żyła z dołu i dwaj pisarze żyjący ze sobą w kazirodczym związku. Pan otworzy, przysliśmy zrobić porządek z tym diabelstwem. Pan otworzy! Słyszysz pan? One jedzą książki, kiedy wyrzucimy książki, pójdą sobie, ścierwa! Słyszysz pan, panie Henryku? Otwieraj pan, przecież pana też na pewno gryzą. Otwieraj pan, to jedyne wyjście. Otwórz pan te drzwi, do cholery! Ale tam nic, cisza głucha, jakby nikogo nie było. Otwórz, Stryjuńciu, otwórz, to ja, Figa, mówię, mamy sprawę! A tam cisza. Otwórz pan, i tak wiemy, że się u pana kryją! – wrzasnęła pani Mania, ale to nic nie pomoże, niech im pan nie pomaga, one papier żrą! Wiemy, że pan je ukrywa. Otwieraj, stary mordzielcu! – wrzasnęła Żyła. Otwieraj, bo wywalę drzwi, żuchwa, wtórował jej Maniutek. Ale po drugiej stronie cisza. Otwieraj, słyszysz? Dobra, sam tego chciałeś, wyważamy! – pisnął Fifak, a Maniutek z rozpędu gruchnął o drzwi całym ciężarem swego cielska. Drzwi jęknęły, zatrzęsły się, z góry na zebranych posypał się kurz, pył i dwie myszy, ale nie ustąpiły. Maniutek walnął jeszcze raz, tym razem mocniej, jednak z takim samym skutkiem. I trzeci raz, ale i tym razem drzwi stały twardo, zagradzając wejście. Maniutek osunął się po nich w dół, trzymając się za ramię. Złamałem, żuchwa, przez tego mordzielca złamałem rękę.

Pani Mania, która była tuż za nimi, przysunęła się i rozpoczęła negocjacje: panie prezesie kochany, panie Rykuńciu, no niech pan otworzy. Panie sąsiedzie, przecież my po dobroci. Musi to panu tak samo przeszkadzać jak wszystkim. No, nie ma innego wyjścia. A panu na pewno brakuje też wody i wszystkiego, jak i nam, a tak się podzielimy, znajdziemy jakieś rozwiązanie. Z sąsiadami różnie, zwłaszcza w taki ciężki czas jak teraz. A pan przecież chorowity, dychawiczny. Wszyscy wiemy, że serdeczna wada u pana jest. No i tratwa, tratwa już gotowa. Można uciec. Albo chociaż zawołać pomoc. Niech pan nie będzie świnia, niech pan nas wpuści.

Ale nikt nie odpowiadał. A może nie żyje? – szepnęła pani Mania. Koczkodan, który pojawił się nagle znów na jej włosach, zrobił osowiałą minę, najeżył się i zapiał niby kogut. A może zeżarły go te diabły? – szepnęła Figa. Wszystko możliwe.

A wiesz, Stryjku, że te czorty Anieleń prawie na śmierć zagryzły? A ona przecież też z wadą sercową, mogło jej zaszkodzić, powiedziała Figa, do drzwi się przysuwając, a zaraz od niej zaleciała bryndza, pikolada i ćwikła, chrzan tarty, lunopolska wędzona.

I nagle za drzwiami coś zaszurało i dał się słyszeć głos, zrazu cichutki, a potem głośniejszy, grało radyjko *April in Paris*, leciutki dżezik, bardzo wdzięczny, i głos dobiegał głęboki, kobiecy, murzyński. Na trąbce Clifford Brown, bardzo pięknie. Po chwili Maniutek, zrazu osłupiały, odpowiedział stekiem

wyzwisk, który ciągnął się przez jakieś piętnaście minut. Po czym, zmęczony, kopnął jeszcze raz w drzwi z całej siły, splunął i odszedł, wygrażając, że wróci z ogniem i podpali.

Wuj mój, o dziesięć schodków niżej, patrzył na to wszystko z miną bez wyrazu, lecz wydawało mi się, że widzę nikły uśmieszek błędzący mu po twarzy. Aniela stała nieco dalej, rozmazana, niepewna.

Dobra, nic z tego, dajcie spokój, zakomenderował Wuj mój i wszyscy powoli zaczęli od drzwi odstępować. Teraz na dół, pakować barkę, każde z was po jednej rzeczy może na nią zabrać, więc zastanówcie się dobrze.

Ruszyli na dół, krzycząc, protestując, a najwięcej Figa. Bronio nie poszedł, kręcił się i kręcił, obok Aniela, rozmazana, blada, niepewna raczej. Ale jakieś już w nią wstępowały fluidy, coś już ją wypełniało na nowo. Widziałem, zażyli dwie kapsułki *lyricum barbarum* i także zniknęli.

A kiedy wszyscy odeszli, ja zbliżyłem się do drzwi i klucz w nie wraziłem, przeszło gładko. Stryjuńcio siedział w swoim fotelu z nogą założoną na nogę i kiwał butem, pykał fajkę, kurzył się lekko z czupryny, żarzył się jeszcze. To radyjko małe, *April in Paris*, pu pi dum.

Witam, witam, uśmiechnął się. A jakże, spodziewałem się! Proszę koleżkę siadać – wskazał mi fotel naprzeciwko. Widzę, że kolega znów goły, co? He he. Tak, gołemu lepiej w pewnych okolicznościach. Wykrzywił się. Grymas.

Może koniaczku? Pokażę ci coś – to powiedziawszy wstał i podszedł do okna – podążyłem za nim. Otworzył okno – jezioro, jezioro wokół – i wskazał płaski, do połowy zalany dach budynku opodal. Wie koleżka, co to jest? – zapytał. To supermarket, proszę ja kogo, supermarket. Mieli tam wszystko przed powodzią, ogromny sklep, kapitalizm, rozumisz. Potem zalało. I zaczęło stamtąd wypływać, po jednym, co wypłynąć mogło. Pyknął. Paczki, pudełka, dużo zgniło, zmoczone. Ale niektóre nie, wyrzuca to nurt, rozumisz, wypłukuje. Butelki. I zatrzymują się tu – pokazał stertę śmieci zebranych na odłamanych gałęziach, tworzących wielkie gniazdo na wysokości pierwszego piętra, wokół dwóch słupów latarniowych.

O, proszę, co tam jest, wskazał fajką – przyjrzałem się, smród bił stamtąd okropny, muł, rzeka, ił, gnijące liście i inna zgnilizna: wśród śmieci widać było kilka butelek. To się tak robi, proszę patrzeć. Ujął stojącą obok okna siatkę na ryby, zawieszoną na długim teleskopowym ramieniu. Z łatwością dosięgnął butelki i wciągnął ją na parapet. O, proszę – koniaczek, powiedział. Nawet nie wiedziałem, że mieli tam takie rzeczy. Kieliszczek?

Usiadł z powrotem, tlił się, tlił się jeszcze. Skrzywił się. Grymas. Wtedy dopiero zauważyłem na jego karku, a za chwilę na rękach ślady głębokich ukąszeń. Co, widzisz, złociutki? Tak, tak, przychodzą i do mnie, tu mieszkają, zaraz pewnie je zobaczysz. Pyknął.

Coś zaszurało w kątach pomiędzy papierami. Potem znowu. Wiesz, nie to, żebym się bał, bo mam na nie sztuczki, ale to nieprzyjemne. Skrzywił się. Proszę zresztą zobaczyć, koleżko, co one żrą. Wskazał fajką na kilka leżących na stole książek z pogryzionymi okładkami i wyjedzonymi stronami. Tu mam dla nich przysmaczek. Jedną specjalnie sobie upodobały, ale jej nie dam, mam tu schowaną, dlatego tak na mnie skaczą, powiedział i uchylił połę marynarki. Coś zaszeleściło w kącie. Pyknął, a żarzył się jeszcze.

Ale jak tam nasze sprawy? – zapytał i skrzywił się. Widzę, że nic nie wskórałeś? A wnuczkę chociaż znalazłeś? Odpowiedziałem mu, odpowiedziałem, jak słowo daję, ale niestety, pum pum pi dudum, dudum, dudum. Niestety, dudum tylko, pidudum.

Popatrzył bystro, radyjko na baterie grało *April in Paris* i murzyński głos

buczał i szeptał natrętnie. On tlił się jeszcze. Kopcił nieznacznie. Mówi: A klucz dostałeś, prawda, od Babki? A wiesz ty, że razem z marketem woda wymyła także cementarz bliski? I nieboszczyków cała masa płynie, woda ich wpuszcza ludziom do łazienek, do kuchni, na salony? Do piwnic się wciskają? Pyknął.

Wuj twój, powiedział, Wuj twój myśli, że to z zewnątrz, że potrzeba taka, przed opresją się bronić, że okoliczności, obca moc. A to wewnętrzne, rozumiesz? Pyknął. Przecież nie widzisz mnie, jeśli coś w tobie nie chce mnie widzieć, prawda? On tam na gitarce pogrywa, a ja jemu radyjko, rozumiesz. Smaku nie ma, rozumiesz, musisz sam posmakować, musisz smak nadać. Sam. Czymże ja bym był bez tego? Bez tej Anieli, rozumiesz, bez nich wszystkich, gdyby bez wysiłku to było wewnętrzne, bez chęci? To jak prąd, rozumiesz, prąd od ciebie do mnie. Jeśli prądu nie ma, obraz znika, nic nie ma, pusto, serdeńko, balonik. I pryśnie.

Wiesz, że tam Babka rzeźnię miała? Mówiłem ci już. I pokolenie w pokolenie na rzeź szło, rozumiesz? Po kolei. Teraz to się skończy. I inna sprawa była. W czasie wojny w miasteczku obok Żydów rżnięto, rozumiesz, Niemcy i to SS miejscowe, z tamtych stron. Żydów rżnęli. I luna była. I nagle do Babki pod dom przyszły dwie kobiety z dzieckiem, synkiem dwuletnim jednej, prosiły o pomoc. Babka chleb dała, co miała, to dała, ale nie ukryła ich, bała się, że Niemcy przyjdą i za ukrycie zabiją, jak zrobili w Glinianach z rodziną znajomą, rozumiesz, ojca i matkę, i troje dzieci zabili za pomoc Żydom. Skrzywił się, tlił się wciąż, żarzył co nieco. No i sąsiedzi widzieli, sąsiedzi by zaraz donieśli, że Babka te Żydówki wzięła do siebie. Więc tak czy inaczej Babka chleb dała i poszły dalej. Rozumiesz? Skrzywił się. Nie rozumisz.

Pięknie, pięknie, prawda? – zapytał, wskazując fajkę na zewnątrz. To musi się skończyć, bo upadek musi się dokończyć, pyknął. Dotarliśmy do horyzontu i należy go teraz przekroczyć. Wszystko zniszczyć i wszystkiego dokonać od nowa. Tylko warunek: wszystko dawne musi zniknąć. Dlatego ja nie płynę na tej barce. Skrzywił się. Wszystko to, woda, te kłaki kurzu ciemne, te kocmołuchy, wszystko to ze mnie, z ciebie, nie z zewnątrz. My chcemy tego, gdybyśmy nie chcieli, to co innego, kochanieńki. Ale chcemy.

Wówczas jakiś cień oderwał się od półek z książkami i z charkotem skoczył mu na kark, gryząc i kwicząc wniebogłosy. Stryj usiłował strącić intruza i zaczął szarpać się gwałtownie, wtedy ta mała, pół pudel, pół świnia, zeskoczyła na podłogę, odbiła się, hyc, na zasłony i stamtąd znów na głowę Stryjuńcowi. A że tam się tliło, więc pisk i kwiczenie straszne, i znowu skoki, na ramiona, szyję. W tej samej chwili pojawił się drugi bies, rzucając mu się do rąk i wytrącając fajkę. Stryjuńcio poderwał się i strząsnął z siebie oba, ale te, warcząc i kwicząc, dopadały do niego i jęły kąsać gdzie popadnie. Wtedy zza pazuchy wyjął książkę i wydarłszy kartkę, zmiażdżył i rzucił na ziemię. Kulka potoczyła się po podłodze, a stworki rzuciły się za nią, kotłując się, gryząc na środku parkietu. Walczyły z warkotem i kwikiem,

aż w końcu, rozniósłszy kulkę na strzępy, zniknęły pomiędzy półkami.

Stryjuńcio stał jeszcze chwilę nieruchomo, ciężko dysząc, potem usiadł w fotelu i na powrót zaczął zapalać fajkę, a z czupryny ćmiło mu się i ćmiło. *April in Paris*.

Ale ty, koleżko, ty masz szansę jeszcze. Ja chory jestem, wada sercowa, Aniela po mnie ma to samo zresztą. Tylko przeszczep by tu pomógł. Musisz tę skrzynkę znaleźć, zanim zniknie. Dlatego mówię: wnuczka dla ciebie, papiery dla mnie. Muszę być pewien, że zniknęły, że już nic, nic. Żadnego spadku, rzeźni żadnej w pamięci, czystka, czystka. Jakaś odpowiedzialność na mnie, w końcu Prezesem. Pyknął.

O, widziałem już: blady był, a gorzał, coraz bardziej zajmował się, coraz więcej. Pum pum di di dim, powiedziałem, pum pum di di dim. Ale nic, koniaczku łyteczek i wyszedłem, niech gore.

Tam, wysoko, w fotelu.

A na dole już pakowanie, krzyki, kłótnia. Woda postąpiła do tego czasu o sześć stopni na schodach, nie kłębiła się już tak wściekle, płynęła, hucząc i pomrukując, mętna i węzłowata. Arka zwodowana, patrząc, statek sklecony ze śmieci, deszczulek, butelek z powietrzem, mebli starych, kartonu, drzwi, rur plastikowych, zwierząt wypchanych, poduszek, puszek, ram od obrazów, krzeseł, butów, dziwny, podobny do wyspy ruchomej raczej, do wieloryba niż do prawdziwego okrętu, siedmioma linami przytwierdzony do okien, buja się na spokojniejszej już fali.

Już się pakują – wbrew temu, co nakazał Wuj mój, Figa, ubrana tym razem w futerko, kazała załadować osiem paczek kremów, herbaty i butów swoich, a jeszcze Fifak niesie następne. Ale go co chwila z tyłu dopada jeden z tych małych czortów i gryzie złośliwie. Gryzą też innych, pani Mania razem z koczkodanem skacze po meblach, starając się jak najmniej dotykać podłogi. Maniutek wrzeszczy, macha krzesłem wokół. Panika oraz dezorganizacja pracy. Figa wciąż woła: Kici kici, kiciunia, nikt nie widział kicia?

Aż wreszcie Bronio, Bronio się pojawia jak spod ziemi i jednym skokiem ląduje na barce. Ledwo stanąwszy na jej pokładzie, który się buja, jak na łódź przystało, rękę do kieszeni wkłada i zaczyna skubać. Wyciąga stamtąd kulkę papieru małą, pokazuje w blasku promieni słonecznych upalnego lipca i nagle cisza staje się kompletna. Wszystkie zwierzaki patrzą w jego stronę osłupiałe. Bronio, jako że widzi, jak działa ta sztuczka, rzuca tę kulkę zaraz tam na pokład, a wówczas z całej kamienicy z wrzaskiem już tłum tych czortów leci w tamtą stronę. Mnóstwo ich, kwicząc i walcząc o pierwszeństwo, wpadają wszystkie na barkę. Jest tumult. Bronio, przyszykowany na tę okoliczność, odczepia cumy: barka płynie, kręcąc się w kółko. Na niej tłum szalony walczy, gryzie się, kwiczy. Figa krzyczy: Moje bagaże! Już barki nie widać, prąd ją porywa, zabiera, unosi.

I teraz lament i krzyk zgrozy! Tratwa porwana, jak my teraz się uratujemy!? – krzyczą pozostali. Rozglądam się wokoło: brakuje wśród płaczących Wuja i Anieli. A przecież to chyba oni płakać powinni najgłośniej. Dlatego nie wierzę. Bronio nie odpłynął, nie wierzę, to przykrywka jest tylko, żadna prawda, ni Wuja, ni Anieli nie ma, nie widzieli ich pani Mania ani Żyła, ani Maniutek, ani nawet Fifak, któremu oko uciekało. Coś musi być w tym, podstęp jakiś. Idę ich szukać.

A tu tymczasem mrok zaczyna nagle się skradać nad miasto, mrok już idzie. I rozmazuje mi się obraz pomalutku, szare i czarne plamy już padają i wylazi ciemność z dziur i zakamarków. Gaśnie po literze też neon, który trzeszczał i strzelał i raz „OPOL”, raz „L NOPO” raz „POL S.A.” głośił. Rzeka szumi i warczy, ale nie rzeka to teraz, a raczej jezioro, rozlewisko brudne i w nim

chlupocze coś, coś się bełta, gęsto, jakby nie tylko muł i gałęzie, ale włosy i ręce tam na dnie. Zupa to prawdziwa, zupa z kością i mięsną wkładką, zabelana zupa.

Rzeczy zalane wypływają z głębi: pokrywa je szlam, papier nasiąknięty przedziera się łatwo, rozmywa się druk, drewniane meble pęcznieją i zwijają się w kłęby, kanapy, ubrania, pościel nasiąknięte brudną wodą rozsiewają odór, gniją wewnątrz, puchną, paczą się w oczach.

I oni wszyscy wyblakli teraz, jakby razem z barką i stworzeniami tymi odpłynął z nich kolor, krew z nich wypłynęła. Rozmazany Wuj mój, Figa rozmazana, wargi Anieli zwisa, blada jest, zmazane nawet czarne kreski, wszyscy nieważcy jacyś, powietrze z nich schodzi. I ja schodzę na dół i słyszę, jak w jednym pokoju Wuj mój na gitarze brzdąka. A co zabrzdąka, to mnie się przypomniało, że klucz niosę. A co zabrzdąka, to ciemniej i sennie. I kamienica cała się rozłazi, mrok przez szpary wpływa, rozszechnia się bania, w szparach się nicość pojawia o barwie zwodniczej. Ziewam już, już mgły mi na oczy upadają. I wszyscy zmęczeni, straszliwie zmęczeni się wloką niżej, na piętro tuż nad samą wodą, która bulgocze i bulgocze w dole jak wrząca zupa.

Tylko pisarzy dwóch jakoś dziwnie ożywionych łązi i miejsca nie może sobie znaleźć, łążą i łążą. I nagle jak nie rzucą się na siebie z wrzaskiem i kwikiem, jak się nie zaczną za włosy szarpać, szczypać, tarzać po podłodze, piszczeć głosem przeraźliwym. Oczy ci wydrapię! – wrzeszczy jeden. A ja tobie oczy! – wrzeszczy drugi. Co się stało, o co poszło – nikt nie wie, ale zmęczeni wszyscy i nie wiedzą, co robić. A tamci na podłodze i za włosy się ciągną, łubu du i piski. Szmato! – krzyczy pierwszy. A ty szmato! – drugi krzyczy i się tarzają. W końcu Maniutek wodę przyniósł i wodą ich polał, aż przestali, powietrze łapiąc, guziki zapinając. Szmata, powiedział jeden. Sam szmata, na to drugi. I spokój przez chwilę, ale nie na długo. Pogodzeni, znów tulą się, cmokają i dalejże się kotłować, miłość uprawiać wzajemną i oddanie. I znowu piski i śmiechy, turlanie się po podłodze, aż znowu Maniutek wściekły wodą ich polał i rozdzielił, aby odpocząć innym dali. Oni tak cały czas, powiedziała Figa, futerko jej się nastroszyło z lekka, ale co ich teraz naszło? Aż do mnie pigwa doleciała, szprot w oleju.

Wuj mój tam brzdąka, jakoś nie zmartwiony, że arka przepadła, brzdąka sobie na swej gitarze turystycznej, pisakami z pielgrzymkowych tras popisanej, oblepionej naklejkami. „*I love you, Pierre*” na przykład głosi napis, no proszę, no proszę. Ale coraz mniej wyraźnie brzdąka i gitara też niewyraźna, rozmazuje się i kapie. Wszyscy już w kuchni są, zmęczeni, rozmyci, jakby ciemność zabrała im już po kawałku. A Wuj mój brzdąka, potem znowu mówi: Słuchajcie, arka jest przygotowana, stoi w pokoju obok, ale cicho!

Oni ziewają, machają rękami. Zwariował biedak, na mózg mu z nieszczęścia padło, mruczy pani Mania, na mózg mu padło, bo całe życie zmarnowane, skoro i arki nie ma – mówi pani Mania i ziewa potężnie. Zresztą wszystko jedno.

Biedaczek, biedaczek, mówi Figa i zaraz cytryna i śledź po żydowsku, ale słabo już, raczej bułka tarta i wanilia, syrop na kaszel. Przecież tam stara śpi obok w pokoju, mruży Fifak i oczy mu lecą, rozmazane całkiem. Tam Babka psi, psi, mówi pani Mania, chciałam powiedzieć śpi, ale nieważne. O żuchwa, o żuchwa, o pochwa, potakuje Żyła, a Maniutek mówi: Żeż ty żuchwa, żuchewka, rzodkiewka.

Tam stoi arka, powtarza znów Wuj mój i wskazuje na pokój Babki, proszę wsiadać, zresztą wszystko jedno. Masz tu butelkę, mówi do mnie ciszej, i w razie czego wiesz, co masz z nią robić. Tak mówi i na gitarze brzdąka, byle jak, niedbale. O żuchwa, na to się odezwie Żyła, całkiem już zalany, w powódź zalany, mruży i idzie, odwraca się i idzie. Trzeba iść spać, do jutra to przeczekać, może pomoc przyjdzie, mówi pani Mania, ma straż pożarna jeździć, ludzi ratować, w radio mówili, żeby czekać, nie pływać samemu. Dobranoc wszystkim, Figa mówi na to, nic tutaj po nas, nic tu przecież po nas, straż wszystko zabierze, no i odchodzi, jabłko w cieście, żurek, krupnik, napar z lipy, mięta.

Na dole, w kuchni jeszcze pani Mania każdemu daje po proszku odpowiednim, Żyle, Maniutkowi, pisarzom obydwu, Wujowi i koczkodanowi, który wyłazi z mroku po kawałku, we włosach jej siada i tabletkę rozgryza, ogląda, smakuje, krzywi się przeraźliwie i we włosach pani Mani znika, znika w jej czuprynie. Pani Mania wyjmuje z torebeczki coraz to nowe pastylki, syropek i krople i aplikuje, mruży coś, potrząsa głową, łupież leci, ona coś mruży i trzaska palcami, i trzaska. Do abulafii też podchodzi i listki obrywa, wacha, w palcach rozciera i trzaska, i trzaska, i strzela. I wszyscy chwieją się teraz, lekko rozpuszczeni. Ciemność ich bierze po kryjomu w zastaw.

Maniutek też mruży, a potem nagle trzaska o podłogę z hukiem i kurzu erupcją, cieknie mu z jamy ustnej strużka na bok, na posadzkę, i zawijasy kręci w kierunku księżyca. Żyła obok o żuchwa, mówi, o żuchwa, i twarzą uderza o lastrkowy parapet, i coś tam się rozsypuje z brzęczeniem. Pisarze w dziwnej zastygają pozie, z opadniętymi szczękami, wywalonymi językami, sapiąc i dysząc przez chwilę, potem drgawki wielkie wstrząsają nimi raz i drugi, chrapanie, skomlenie, aż wreszcie cisza przerywana od czasu do czasu głębinowym ruchem gazów.

Wuj mój jedyny niewzruszenie brzdąka. I pani Mania już z niepokojem na twarzy śledzi jego gesty podejrzliwie, lecz nic – żadna tabletką, krople żadne, czopki czy nawet zastrzyk wkłuty po kryjomu w baranka nie działają na niego – on brzdąka. I pani Mania już zirytowana, pod nosem mruży najgorsze przekleństwa. Co za diabeł, co za diabeł. A Wuj mój nic, tylko mocniej brzdąka, aż się pani Mani ręka trzęsie od brzdąkania tego, trzęsie się i telepie. A to niedobrze, bo ona właśnie jakąś strzykawkę sposobi i z ampułki ciecz nabiera. A ten brzdąka, pani Mania przeklina, ręka jej lata, krople roni, igła o szkiełko dzwoni, dzyń dzyń. Wreszcie

wściekła przykłada się mocniej, ale Wuj wtedy właśnie w dur i po gryfie riffy, i w dur, i bicie, już nie palcówka. No i masz, stało się, pani Mania się w rękę dziabnęła igłą, sama się dziabnęła. Stoi jeszcze moment, rozdziawiona taka, a potem bęc, na podłogę, bęc, gruchnęło i zgasło. I Wuj mój tylko tram tram tram na bałajce.

Noc, ale nie wszyscy śpią, pracuje woda, pracuje miasto i ciemność pracuje, wciskając się w sprawy. Wuj mój brzdąka wciąż i im bardziej brzdąka, tym bardziej mu z góry odpowiada echo jakies, słabe z początku, ale potem wyraźne, lecz przeciwne, na przekór wygrywane, odbicie zjadliwe. On brzdąka, a skądś z góry coś dudni i łomocze, coś grzmi coraz głośniejsz.

Nie pojmowałem, co to, czy to noc się krzywi, czy burza idzie, w niebie trą łożyska? Ale mój Wuj zły był i coraz piękniejsze pieśni nucił, dziękczynne i inne, turystyczne, a potem kuplety, oj da dana dana. A tam z góry jakies dźwięki nieludzkie, jakies atonalne huki, stuki i bryń bryń bryń, coś wali bez sensu i w poprzek gamy.

No to Wuj mój klasykę dżezu, ale na to z góry wariackie walenie w rury dobiegło, granie na kaloryferze, stukanie czymś ciężkim i dźwięcznym w kanalizację. No to Wuj mój klasykę romansu zasuwa, ale na to z góry szuranie krzesłem po parkiecie, łomot wielki, jakby się przewracały półki z książką i czasopismem kolorowym. Na to Wuj piosenkę wojskową, pieśń ułańską, melancholijną przyśpiewkę – a tam na górze przesuwanie mebli i trzaskanie garnkami, łomot dziki sztucców. Wuj zły był, zły, z oczu szły błyski, nawet baranek zjeżył się i świecił.

Zaczął kościelne pieśni, oazowe. Na górze zaraz im odpowiedziało brzękanie butelek. Wówczas poznałem! To Stryjuńcio brzęczy, Stryjcio tam hałas czyni, tę dywersję z góry. Stryjcio fałszywe tony wpuszcza, chce zagłuszyć i na przekór w kaloryfery dzwoni, po podłodze szura. Wuj zagrzmiął pieśń z pielgrzymki, potem kanon mszalny, a tam na górze zaraz Stryjuńcio zaczął kręcić kogel-mogel z czterech jaj tak głośno, że stukotała łyżeczka aż tutaj.

Wuj spurpurowiał, nadał się, wstał i wreszcie hymn zaintonował, baranka nie zdjąwszy. Ale Stryjuńcio wtedy zaraz z wiadra wodę do sedesu spuścił z takim hukiem, że nic poza tym nie było słyhać w całym domu.

Wówczas Wuj przestał, bałałajką trzasnął i ruszył szybko do swego pokoju. Woda już mu chlupotała pod stopą, ale on wszedł tam w ciemności, barankiem przyświecił i zdjął z półki pierwszą butelkę z kolekcji. Przez chwilę poważyl ją w dłoni, potem zaklął i przez otwarte okno rzucił w fale. Ha! – krzyknął w moją stronę, niech płynie, może się uratuje. Potem wziął następną i także w wodę wrzucił, i następną, i znowu. Zdawało się, że w ten sposób uratuje zbiory – butelki płynęły lekko zanurzone, porwane przez nurt napierający. Ktoś je na pewno znajdzie, dobiją gdzieś do brzegu.

Ale za chwilę pierwsza z butelek, którą stracił przed chwilą z oczu, kiedy nurt ją porwał, wpadła do wody z pluskiem na powrót tuż obok otwartego okna i brzęknęła o parapet, aż zatrzęsło Wujem. Ręką po nią sięgnął i znów zaklął

głośno, widząc, że ma naruszoną zatyczkę i ktoś przed chwilą przy niej grzebał. Kiedy wyjął tkwiącą w szyjce szmatkę, ze środka wypadła z brzęczeniem mucha i warcząc wściekle przez chwilę dookoła jego głowy, usiłowała znaleźć sobie skrytkę w uchu albo nosie Wuja, uparcie i z determinacją pikując raz po raz na niego. Stryj! Stryj wyłowił butelkę za pomocą swej tyczki, wyłowił butelkę ze swego okna na górze i zatyczkę z niej wyjął, wypuścił zawartość, a muchę do wewnątrz włożył! A, więc Stryj tam czaił się i sabotował wszystkie poczynania Wuja! Butelki łowił, jak wcześniej łowił alkohole. Wuj milczał teraz, lecz straszny był, widziałem pomimo ciemności, że to nie żarty.

I rzeczywiście, po chwili trzasnęło i iskra piorunowa wystrzelona z baranka zakrzywionym elektrycznym łukiem muchę spaliła w locie. Wuj nie odezwał się, bo zaraz druga butelka spadła obok okna. W tej był zamknięty kawałek parówki. W trzeciej, rzuconej jak poprzednie najwyraźniej z góry, znalazł się guzik, na dnie czwartej zaś trochę cieczy niewiadomego pochodzenia. W piątą wetknięta była skarpetka, a szósta pełna była fajkowego dymu, który się rozlał wokół po otwarciu.

Stryjek! Znów Stryjek tam na górze czyni sabotaż, wyławiając flaszki za pomocą swej teleskopowej sieci i potem pakując do nich psikus swój, wypuściwszy wprzód zawartość w noc lipcową, gorącą.

Wuj zębami zgrzytnął, wpadł do toalety i zaczął w sedes walić pustą flaszką, dając tym znaki niechybne Stryjkowi. Od jak już dawna powaśnieni mieli ten wspólny rodzaj komunikacji opracowany dla sytuacji kryzysowej?

Po chwili z góry, rozgałęziona polifonicznie na całą sieć rur i kanalizacji, zaczęła przychodzić odpowiedź w rytmie samby. Wuj wybiegł do okna, głowę z barankiem wystawił i zaczął krzyczeć w górę, ręką wymachując.

Zwariowałeś? Co ci z tego przyjdzie? Ja chcę cokolwiek ratować z powodzi, a ty to psujesz? Po prostu się przyznaj, że wyschłeś na wiór, że nic już w głowie nie ma, żadne soki nie krążą, po prostu pustynia, ugór, jałowa ziemia.

Z góry zaraz dał się słyszeć głos Stryjka: Nie bądź dzieckiem, Jasiu, nie bądź dzieckiem! Tkwisz w tym staroświeckim przekonaniu, że to cokolwiek warte, że to coś znaczy. A to papierki tylko, zabobony, zaklęcia, modlitwy jakieś, nic naprawdę. Zostaw to wreszcie, pogódź się, żeś przegrał, serdeńko. Nie mogę słuchać tego rzępolenia, muzykę włącz, wyrzuć to pudło.

Ech, stary wariat! – wrzasnął Wuj mój, stary wariat. Wiem, o co ci idzie! Zazdrosny jesteś po prostu, że ja wciąż mogę, a ty już nic, ty już nie, co, już lizanie nie smakuje, już mdłe, co? Już nie to samo co za młodych czasów? A sam z siebie? Sam z siebie nic? Nic nie masz do zaoferowania? Wymyśliłbyś sam coś raz w życiu! Stworzyłbyś, wziąłbyś gitarę, harmonię, grzebień chociaż, i zagrał.

He he, zaśmiał się Stryjuńcio z góry, he he, ty myślisz, że w autentyczności pozostajesz, a to kicz, kicz straszny, to powtórka, przeróbka i nieautentyczność

właśnie. Włącz prąd, niech nas ożywi. Albowiem, kochanieńki, nic już nie można, wszystko wyczerpało się, skończyło. Pogódź się z tym, zostaw, niech zginie! Co, serdeńko, ratować chcesz? Te sentymentalizmy? Te brednie, te fru fru? Przecież to trucizna jest, zniszczyć to należy, bo z tego zgnilizną wieje, z tego trutka tylko dla młodych, zły przykład. Będą znów rzeźnie stawiać, pieśni śpiewać, męczyć się będą z tym, co było, a to zostawić trzeba, zamknąć, zniszczyć, wypalić. A zresztą co zostawisz, co? Wszystko? To absurd. Wszystko cię zatopi, zaleje, zdepta. Co ważniejsze? Kim jesteś, żeby decydować, co na arkę włożysz?

A niby co potem? – wrzasnął Wujcio. Niby co, w próżni będą? Łudzisz się tylko, łudzisz się, przecież nowych kościołów nie postawią z niczego, będą językiem mówić, a bez pamięci człowiek jest do połowy tylko.

Do połowy? Ha ha ha, Stryjuńcio ubawiony. Do połowy? Właśnie teraz do połowy, zostaw człowieka, zostaw, poradzi sobie lepiej bez twojego garbu, bez bagażu, bez tej arki twojej nieszczęsnej. Dopiero potem stworzysz coś spomiędzy, coś z niczego, ale najpierw do nicości wypal, wymyj do pustki, wypłucz wszystko, niech wreszcie nic się pojawi. A wtedy siłę swą człowieczą pokażesz. Wtedy coś stworzysz, język wyciągniesz, prąd, rozumiesz, prąd.

Ale człowiek człowiekiem jest właśnie dlatego, że go pokolenia, tradycja, przeszłość wciąż formują, miętoszą wciąż i męczą przecież! – wrzeszczał Wujciu. Zdrajco! A kogo biesy gryzą najmocniej? Po co ci książek tyle? Przyznaj, że to tylko twój kryzys osobisty, że ty jesteś pod ścianą i całemu światu tę ścianę wmawiasz. A kiedy mówił tak Wuj mój, widziałem w mroku poważny wód przybór, wody chlupały już pod stopami, poziom się podnosił i podnosił coraz bardziej.

To ty przyznaj, serdeńko, żeś przegrał, i przed naporem faktów nie graj hymnów, bo nie pomogą, już skończone. Chciałeś tamtego miasta bronić, ukrytego, dawnego, nieistniejącego od dawna, chyba że w twojej wyobraźni marnej, w butelki zamkniętego, w powietrze, bania-luki, ty, wiecznie niepokodzony, ale tak naprawdę to podobało ci się tutaj, inaczej nie broniłbyś, miałeś nadzieję na przyszłość, zaakceptowałeś. Zaakceptuj i teraz, konformisto! Ha, co, serdeńko, nie jest tak, a? I kiedy mówił stamtąd, z góry, z mroku, widziałem blaski na niebie wyraźne, widziałem, że łuna coraz większa z góry bije. On tam gorzej coraz mocniej, coraz bardziej.

A ty po prostu niepokodzony jesteś, to ty nie akceptujesz faktów. Niby z falą chcesz iść, poddać się, a tak naprawdę tamta historia tkwi w tobie, zdrajco, tak naprawdę pogodzić się nie umiesz, obleśna to sprawa i boli, więc najlepiej zalać to wszystko, zalać i zatopić, bo ciebie dręczy, co? Ha, znam cię, filozofie! Ale to nie jest żadna filozofia. Sam mówiłeś, że fikcja, a jednak gryzą diabły.

Bzdura, kochanieńki, bzdura, fiksum dyrdum. Fikcja, a walcząc z fikcją, lepiej być po stronie fikcji, dlatego ty i ja, dlatego zostaw, niech płynie. Nic z tego

nie będzie, rozumiesz, taka moja wola, będzie koniec, bo złe jest, jest feler, Bóg niestety nie czuwa w tej chwili, więc niech będzie już na całego, proszę ciebie. Nie ma nic, nic nie ma naprawdę, to tylko fikcja, napięcie pomiędzy nami, któremuś życie oddał, duszę strawisz na to. Jaka tam Leta? Sameś ją wymyślił, przyznaj, nie byłoby tej legendy, tego ducha, tylko dziecko by było, co zmarło, i koniec. A ty grasz to i śpiewasz, płaczesz, msze odprawiasz, celebracje. A ja ci mówię – nic, tylko smaczek pomiędzy nami. I kiedy mówił, luna była wielka na niebie w gwiazdach, w konstelacjach wszystkich. Ogień już napoczął strych i wszystkie zbiory. A tu na dole woda szła, wznosiła się, szumiała. Wuj już po pas, po szyję.

Ha, nie pozwolę, złociutki, nie pozwolę, grzmiał z góry Stryjciu, niech zalewa, prędzej spalę i ogień spuszczę na was z góry. Gdzie twój Bóg jest teraz? Pokaż ty swoją wielkość i wolność swą ukaż, że potrafisz odrzucić to i zacząć spokojnie od nowa, od zera, bez tej arki, nie jako niewolnik, a jako człowiek. Człowieczeństwo swe ukaż. Mówię ci, *April in Paris*, kochanieńki, nie listopad w mgłę ściernisk. Babka rzeźnię miała, a teraz nie będzie już po tym ni śladu. Ja nie pozwolę, taka moja misja. Wolność i słońce, nowa szansa, rozumisz. Grzech swój pierworodny zmażesz, jeśli mnie posłuchasz. Prąd pomiędzy nami, nadmuchane balony, pstryk, krzyknął. Pstryk!

I zaczął butelki rzucać z góry, a w każdej ogień był. Płonące owe pociski jak gwiazdy gorejące w wodę wpadały i chlup chlup chlup. I pękały niekóre z nich z hukiem od różnicy temperatur, od wody zimnej się rozbryzgiwały. Eksplozje, trzaski, wiwat. Jaśniej od tego było, iluminacja i widowisko, spektakl kosmiczny, deszcz meteorów, światło i dźwięk, kalejdoskop.

W tej poświęceniu widzę, że wodą trumienka płynie, owa skrzynka magiczna, którą widziałem w grobowcu, wymyta wreszcie, nadpływa, śpiewając, grając, grzechocząc jak arka mała. Wuj mój widzi i głos mu odbiera, i już do niej podpływa, a łzy w oczach, a smarki z nozdrzy furkoczą. Cudowna skrzynka, trumienka z kośćmi, wewnątrz maszynka do recytacji wierszy i katarynka do wygrywania pieśni. Papiery, wśród nich koperta, pieczęć na niej, w kopercie serce na dnie.

Nie, krzyczy z góry Stryjcio, nie pozwolę! Ale Wuj już jest blisko, już dopływa, bulgocząc nosem. Nie pozwolę, z góry Stryj woła głosem strasznym i grom rzuca, butelkę z ogniem, alkoholową bombę zapłonową, jedną i drugą, niecelnie ogromnie, ale na koniec trzecia w trumnę trafia i cała skrzynka w płomieniach, w pożodze, jak okręt płonący, arka siedmiu światel.

Wuj ratuje, ale nic, trumna płonie jak morska pochodnia, jak latarnia na Faros. I z sykiem tonie, z sykiem i piszczaniem. Para i dym unoszą się tylko przez chwilę. Wuj zanurkował, by szukać szczątków, i za chwilę wynurzył się, parszcząc.

Stracone, zacharczał, stracone na wieki! Od żaru stopiła się maszynka, papiery, klejnoty i kości w jeden bursztyn, w to tylko. I w dłoń położył mi kroplę

czarną, mały, ciepły kamień.

Ale tu woda, Wuj mój już po grdykę, ja już na schodach. Wuj mój wciąż bulgoce. Diabeł, diabeł, mówiłem ci, diabeł. I woła tam jeszcze w górę, dwa plemiona są z dwóch braci i będą zawsze, jak wiesz, jak wiesz dobrze, zdrajco. Nie po to było drażnione królestwo, żeby je wody pochłonęły, rzeka wejdzie do podziemi i w podziemiach zniknie, a co się odsłoni, będzie stolicą, do której my tu tęsknimy od lat. Zobaczysz, na nic twoja władza. I zanurkował, baranek z sykiem i wodnych par wyrzutem zanurzył się, pogrążył, Wuj zanurkował, bańkę ogromną wypuszczając z toni.

To ja po schodach, tam, gdzie Babki pokój, a w ręku flaszkę mam od Wuja, w ręku klucz od Babki, w ręku tę perłę, łzę czarną, kroplę Lety niosę. Z jednej strony woda z pluskiem i bulgotem, z drugiej ogień z szelestem i hukiem idą sobie na spotkanie.

Przede mną Aniela idzie, trochę ją popycham, szybciej, szybciej, tu ogień, a tu woda, zginiemy! Mówię, lecz bełkotliwie, bo język mi zwisa.

Wszystko już jedno, mówi Aniela i zażywa bez entuzjazmu tabletki, pastylki i proszki. Penaten, niacyna, laktacid, echinacea. Wyblakła, warga sina, żółta, kreska wątła, nieznaczna, nitkowata. Bez sensu to teraz, bez sensu, powiada, już smaku na nic nie mam, już mi nie zależy. Chcesz polizać? – pyta i podstawia palec. Liżę i rzeczywiście mdłe, niejasne, bez treści, bez soli. Nawet zabić się bez sensu, mruć, ledwo ją widać, mdła jest coraz bardziej.

Wchodzi po schodkach w górę, ale co schodek, to coraz mniej ją widać, kreska się rozmywa, jakby ją gumka myszka zjadała, jakby ją żarła. Wchodzi i słyszę, jak na górze skrzypi, skrzypi coś, jakby drzwi skrzypiały. Ona wchodzi, a coś skrzypi, na górze skrzypi. To Stryjuńcio otworzył! Otworzył jednak i stamtąd do niej jakiś znak czyni, jakoś ją przyzywa.

Postępuję ostrożnie z tyłu, trochę z dala, i widzę jak ona wchodzi tam do niego, ledwo ją widać, ledwo ledwo, i siada tam u niego na fotelu, ledwo.

On tymczasem potężnie goreje, żarzy się i skwierczy i pyta ją: Napijesz się, dziecko? A ona: Tak, staruszk, napiję się. I nalewa jej wina czerwonego z butelki stojącej na biurku, i ona pije zaraz, a pijąc, koloru nabiera. I powoli czerwona kreska biec zaczyna i wyłazi rysunek, i warga się wychyla. Aniela pije, a kolor napływa, warga kraśnieje, kreska się napręża, rysunek wraca, kształt się powoli napęlnia.

Napij się, dziecko, mówi znów Stryjuńcio i podsuwa jej ołówek z biurka, ołówek jej podsuwa, a ona pije, aż jej warga pięknie lśni, i ołówkiem rysunek poprawia, brew i owal. I tusz mam, mówi Stryjuńcio, i tusz mam. I zjedz coś, dziecko, mówi, musisz coś zjeść. Dobrze, zjem też, staruszk, mówi Aniela, zjem zaraz, ale mięso, mięso bym zjadła. Ale ty płoniesz.

A on rzeczywiście goreje na potęgę, z łepetyny mu się kurzy, z suchego sitowia idzie dym. Chodź, mówi Aniela, chodź, staruszk, to cię zgaszę, ugaszę ci płomień, mówi. I on się zbliża, widzę, i pewnie z językiem, z językiem będzie zaraz, więc już nie patrzę, na dół spływam, co ma być, to będzie.

Ciemność tymczasem rozlewa się wkoło, schodzę w dół, po schodkach, pyk pyk pyk. Już nic nie widać, atrament zabarwia ściany i meble, po omacku krążę. A potem jeszcze tylko kilka kroków i senność wielka, senność tak ogromna, że wprost do łóżka Babki mojej idę i kołdrę podnoszę, rąbek kołdry biorę i kładę się

cicho tam jej w nogach, a ciemność przykrywa mnie całkiem po chwili.

I czuję kołysanie, woda przybiera i wypływamy, plusk w ciemności. Gdzie sięgam ręką – woda. Wokół jezioro, ja na łóżku wielkim, pierzyną zaścielonym, w nogach u Babki, z Babką chrapiącą. Dokoła miasto moje, a jakby nie moje, zatopione, dachy, słupy, blachy, mury, korony drzew – pomieszane, przewracane, bez sensu, jakby korzeniem w górze, oświetlone tylko księżycem, w bladą folię zawinięte. Skręty i wiry wody, gęsta zupa z kością, i na dnie coraz to ręce i włosy. I z głębokości wypływają krzesła, poduchy, materace, napuchnięte pudełka, nadmuchane zwierzęta. Fioletowa świnia, spuchnięta kura. Szmaty, szczapy, buty. Jezioro żalu, cysterna niedoli.

Kolor niejasny, nieważny, uciekły. Trawy, włosy rzeczne, ogromna wyspa śmieci, ład ruchomy, poruszany przez białe, tłuste larwy. Smrodliwe zalewy. Musze wesele. Rzeczne warkocze, muł spowijający drzewa. Papiery lepkie, łopoczące z dala.

Płynąłem z Babką wśród ciemności, nieważko. Gwiazdy drgały w wodzie, obracały się, nikły. Kręciliśmy się lekko i mijaliśmy domy, dachy, wieże, pod nami szurały dachy samochodów, konary dębów, druty, kable, blachy. Odbijaliśmy się i niósł nas prąd podwodny, niewidzialny, czasem warkocz na wodzie, czasem wir, zakręt niewielki, kominy, anteny, księżyc, komar, lipiec.

Moje miasto, lecz inne, straciło istotność swą – która ulica i który dom, park, sklep, podwórze. Domy napuchły, darły się jak papier, drzewa jak gąbka, żółty szlam na pościeli. Płynąłem, nieważne już dokąd, pchany jakąś myślą, ruchem tych włosów, palców podwodnych, oddechów. Klucz miałem jeszcze i butelkę miałem, Babka spała na poduszce, zawinięta w kołdrę cała jak mumia.

Wir nami kręcił zupełnie beztrosko, prowadził nas, gdzie chciał, zwodził i mamił, zerwała się mewa, krzyknął gawron. Szumiała woda. Poza tym spokój jakiś nadzwyczajny. Plusk fali. Na drzewie kot, kiciunia, kotek Figi, kiciunia miaucząca, gruba, mokra trochę. Gałąź rzuciłem, trafiłem w głowę, kiciunia spada w mętne wody, znika. Żegnaj, żegnaj, żeglarzu!

Zasadzki wodne, spiętrzenia, kaskady, rafy i skały, złe prądy, piraci. Płyniemy dalej, pomiędzy dwa domy, uliczką wąską, ciągle w piruetach. Z daleka widzę na balkonach po obu stronach wody dwie sąsiadki, jedna od drugiej przeraźliwsza, jak w siebie rzucają wyzwiska, przedmioty i groźby. O coś poszło ważnego, widać, zresztą wszystko jedno. Jedna tutejsza, a druga przyjezdna. Jedna pranie wywiesza, druga nie wywiesza. Jedna w piecu wciąż pali, druga ma centralne. Miotają w siebie szkłem i porcelaną, kto w ich zasięg podpłynie, zginie bez ratunku. Z ust ich otwartych zieje czarny płomień i żółcią plują na siebie z daleka. Już niebezpiecznie się do nich zbliżamy, już łóżko falą rozbujane kręci się w stronę raz jednej, raz drugiej paszczy, przepływamy tak blisko, że widać wyraźnie migdałki tej wrzeszczącej bardziej z lewej strony, więc odbijam, odbijam nogą w prawą stronę, zresztą wszystko jedno, ale udaje nam się minąć je bez szwanku.

Mijamy rafy podwodne, rzędem zakotwiczone zgruchotane auta, o których dachy łóżko zahaczając, włącza wycie stu autoalarmów. Wyją syreny, zrywają się gawrony z koron okolicznych drzew. Babka śpi zawinięta, nie słyszy niczego, a ja rąbki pierzyny wkładam sobie w uszy i w błogiej ciszy mijamy zjawisko.

Potem nas prądy niosą w inny akwen wśród bzyku komarów, plusku wody. Księżyc wykrzywia się dziko w wodzie, całe niebo z gwiazdami, czarna gęstwa koron drzew, liście, gałęzie, kura. Druga kura. Wreszcie przed dziobem blok ogromny, okręt wpłynął na blokowisko, gdzie ludność zalana zbiera się wysoko na dachach i stamtąd próbuje razić przepływających, rzucając cięższe kawałki mebli. Na dachach żyją, rozstawiają grille i smażą wszystko, co wyszło z lodówki.

Ogniska, tańce i muzyka. I kręgi wielkie wyrysowane dla zrzutów z wysoka. W oknach, na balkonach ludzie, wołają, machają, ale ja nie słyszę, zresztą wszystko jedno. Smród nas uderza z otwieranych okien, w całym ogromnym blokowisku nie działa już żadna z pięciu tysięcy toalet. Komary szarżują, gonią nas i jęczą. Mijamy bloki bokiem, przy krzakach wodnistych.

Jakiś zapaszek lepszy też do mnie dochodzi, zielone jabłuszko, margaryna w wannie. Macam pod kołdrą i czuję – noga, włochate futerko, druga noga, potem reszta. Figa! Jakaś rozmazana, w futerku puchatym ocalonym z fali.

Ty tutaj? – mówię, bełkotliwie jednak, bo język mi zwisa. A co myślałeś, ona na to, przeciągając się lekko, aż futerko podsuwa się wyżej. Myślałeś, że się tam spalę z tym wszystkim? Nie jestem aż taka głupia. Trzeba się ratować, może jeszcze uda się coś z mieszkania ocalić, jeśli pomoc się znajdzie, mówi.

A ty? Spojrzała na mnie. Udało ci się? Wymacałam w nocy, że klejnoty ocaliłeś, powiedziała. I klucz też na miejscu.

Tylko to zostało, powiedziałem, bo w jednej dłoni trzymałem czarną perłę, kroplę Lety, a w drugiej klucz, w nogach butelka od Wuja. No to dobrze, mruknęła i zaleciało sandałową wkładką, drzewem boa i kurczęciem z rożna. Po co więc pływasz? Nie wiesz sam? Zdecyduj się: raz latasz, innym razem pływasz, potem przez ściany przechodzisz bez szwanku. Zdecyduj się w końcu. Dzień jest czy noc? Wszystko pomieszałeś. Brak konsekwencji w tej twojej historii. Nie widziałeś mojego kota, kici mojej, gdzieś po drodze?

O, tam nas kieruj, tam! Wskazała ręką na budynek spory, który był w mieście od zawsze straży pożarnej siedzibą i remizą. Dobijamy do okna, a tam strażak, uśmiechnięty, młody, urodziwy, w hełmie bojowym, z sikawką, macha do niej i macha. Więc ona wchodzi, już jest wewnątrz, a strażak macha nadal, błogo się uśmiecha i przepuszcza ją dalej gestem tanecznym. Tam czterech innych, uzbrojonych, błogich, podających jeden drugiemu maski z tlenem. Gdzie dowódca, pyta Figa, zresztą wszystko jedno

Tam, pokazują, uśmiechnięci wszyscy, tam leży, ten wąsaty strażak, bombardier naczelnik, w kasku lśniącym i skarpetkach w prążki, z błogim uśmiechem gładzący się po wąsach. Co pan robi? – pyta Figa, ale błogo tak, rozsiewa paczulę, kardamon i wilgotne siano. Kręci jej się nieco w głowie, więc siada obok. Co to za zapach? Zapach? – uśmiecha się błogo komendant. Dezynfekcja, akcja ratunkowa. Muchy płoszymy, muchy. Wyszczrzył zęby. Muchy płoszycie? Muchy? – zapytała Figa. Zresztą wszystko jedno. Muchy wspaniałe są – odpowiedział komendant, zupełnie wspaniałe. Lubimy je, nie przeszkadzają nam, nie, nie. Ale przez to zamieszanie otworzyło się kilka gaśnic. Helon, helon, he he. Helon, hehe, helon się ulotnił. Ulotnił się. he he. Mieliśmy ten gaz, ten he he helon w gaśnicach starego typu, hyp, powiedział. Wyszczrzył się, po wąsach pogłaskał.

Dlaczego pan jest nagi? – zapytała Figa i błogo uśmiechnęła się do komendanta. Zresztą wszystko jedno. He he, helon, powiedział komendant. Muchy są wspaniałe, ale rozumie pani, ubranie w szafie wisi. Wisi? – zapytała pani Figa. W szafie wisi, a helon ulatnia się, uśmiechnął się komendant. Proszę się położyć, jest mnóstwo miejsca.

Moja herbata, jedyna paczuszka, którą uratowałam, biała, listki bardzo świeże i w nich larwa morwowca, dwieście dwadzieścia za kilogram, proszę – powiedziała Figa, już na podłodze, zza pazuchy paczuszkę wyjmując. O, wspaniale, wspaniale, szczyrzy się komendant, wspaniale, mówi i paczuszkę odwija. Gdzieś tu mam bibułkę, zaraz. Lecz bibułki nie znalazł, książkę wziął z tych, co ich stos cały leżał w kącie, byle jak, jedna na drugiej, w skórzanych oprawach. Jedną kartę wydarł, wersem zapisaną, herbatki nasypał i ogromnego skręta skręca, ogromne cygaro. Zapałki spod kasku, zapalczki, mruczy. I zapala, i sztachnął się zaraz potężnie, w oczach błysk i wiry wężowe, radość i śpiewanie. No, niezłe całkiem, mówi, szanowna pani pociągnie?

I Figa ciągnie. Zaraz zapach świeży, wiosenny, młodziutki się roznosi wkoło, ptaszek już śpiewa, pączek się rozwija. Tak palą, palą chwilę. Dym, siwo, wędzarnia.

A sprzęt? Sprzęt gdzie wisi? – zapytała Figa, kładąc się obok. Sprzęt? Aaa, tak, w magazynach, ale też wyciągnęliśmy trochę sprzętu, wspaniały, wspaniały, proszę mi wierzyć – powiedział komendant, gładząc się po wąsach. Wyszczrzył zęby. Sikawki, pompy, węże, bardzo miło, bardzo. Chciałaby pani? Trzymała pani kiedyś wąż strażacki? O, tak, poproszę, mówi Figa cicho. Ale pozwoli pan, że zostanę w futerku? Jest mięciutkie. Można też poczochnąć.

Psiakrew, myślę, uciekać, nic tu po mnie, zaraz i mnie częstować będą i zostaną tam na amen, w rozleniwieniu rzewnym, i nic już mi się nie będzie chciało dalej, żadnej akcji czynić. Wiry i kręgi, potem cicha woda, łamane gałęzie, trzask, butelki grają, zgrzytanie o dachy, coś tam jest jeszcze w tej wodzie, bąble, bąble i jakieś latarnie podwodne i bulwy, woda bulgocze, kopry i karczochy, brokuły wielkie wyłazające z głębin. Statek się kręci, niedobrze, niedobrze, zamykam oczy, dokąd taka podróż?

Rozpoznaję, wystarczy twarz zbliżyć do wody, sięgnąć dłonią w ciemność, w głębinę mętną, gęstą od czegoś: oto budynki w nieładzie, spiętrzone, drzewa, placyk mały, na dnie ławki i piaskownica, huśtawki dziecięce, widać, jak się porusza pod wodą cały tłum zatopiony, faluje, zmienia się, uśmiecha. Ogromny tłum, tysiące ludzi na ulicach, na każdym skwerku, w każdym oknie twarze, dziesiątki twarzy zewsząd, między nimi zwierzęta, wszędzie gęsto od zwierząt i wszystko faluje, zwichrowane, tańczy, pływa. Z tyłu płot cmentarza, potem mostek zalany, na którym jak płomień kołyszą się przechodnie, powoli, poddani tańcowi topielców, potem kościół i wychodzące zeń cienie, bulwar nadrzeczny, wszystko w niemym tańcu. Powolne samochody, cień wielkiego drzewa. Kury, kaczki, psy, koty, konie i indyki, krowy, owce i migotliwa chmara ryb.

Stado krów, stado świń, króliki, gęsi. Kawałek dalej kawiarnie i stoliki, krzeselka, ludzie falują przy nich fala za falą, lekko zmieszani, w półobrotach, w tańcu, i mnóstwo ptaków nad nimi, i mnóstwo ryb. Przechodnie na ulicy już za chwilę zapadają się w grząskim gruncie, który jest ruchomym dywanem owadów, mrówek, much i chrabąszczy, większe zwierzęta brodzą w fali mniejszych, wpadają w głąb, toną.

Rozpoznaję tę zatopioną okolicę: pod nami stacja i dziesięć pociągów, lecz ludzi o wiele, wiele więcej. Na dworcu walizki, spuchnięte bagaże, w wagonach podróżni z twarzami przy szybach. Na peronie, w tłumie ogromnym falują dwie kobiety z chłopczykiem małym, być może dwuletnim, mają jedną torbę, ich płaszcze tańczą, tańczy na płaszczu żółty znak i włosy poruszają się im lekko, oni trochę się unoszą ponad brukiem, przy pustym torze, i tłum z bagażami, z tobołkami, z dziećmi. Właśnie tam dopływa klucz, który im rzucam, klucz, to dla nich. I zaraz się wszystko zamazuje, mąci, miliony much, komarów siada na twarzach i włosach, pokrywa ich zupełnie.

Pod nami szkoła, w ławkach dzieci, wszystkie falują lekko poruszane i włosy im się kołyszą jak w rytm melodii. Jedno z nich przed bramą na podwórzu stoi i patrzy w górę, jest w niebieskiej sukience z kokardą we włosach, która się rozwiązuje. Widzę jej oczy, macha nam i macha. Otwiera buzię, krzywi się i woła coś, nie słychać ani słowa, woła i język nam pokazuje z daleka cały niebieski od

borówek, ciemnoniebieski, granatowy, jak całe jej usta. Woła, lecz nie słyhać ani słowa. Obok niej piesek, rudy, niepozorny. Włosy falują, jej właśnie rzucam na dół tamtą kroplę czarną, szkiełko na nitce znalezione w wieży, i widzę jeszcze, jak łapie ją i za chwilę znika, unosi ją ogromna, żywa fala motyli i pszczoł, gawronów, kawek, wróbli.

W parku zgiełk drzew, wilki zapadają się w tłumie zajęcy i myszy, mieszają się w gęstej plazmie roślinnej ziół, traw, krzewów, kwiatów, grzybów. Wielkie zwierzęta, łosie, niedźwiedzie, mamuty. Dźwięk jednej struny mąci wszystko, wzbija szlam roślinny, plankton owadzi, rybie migotliwe stada i ptasi kurz.

A teraz się odwracam, sprawdzam pościel tam, gdzie Babka miała leżeć, macam wszędzie, pierzyna zwinięta, poducha na wszystkim, nie ma tam nikogo, tylko tobół wypchany, kukła tylko senna, w ciemności zwinięte w kłęb, w kołtun zbite prześcieradło. Pod poduchą, z gryfem w pierzynę zawiniętym, gitara, pudło Wujowe, struny poszarpane na niej. Dotykam i bryń bryń, dźwięk fałszywy wychodzi, krzywy, pokraczny. Coś tam pod kołdrą jednak, pod pierzyną, się kłębi nadal, głowa czarna, łeb zmierzwiony, kędzierzawy, łysiejący, Bronio! Bronio! Skąd się tu wzięłeś, gdzie Babka? Miraż był to tylko? Bronio jakoś niemrawo się gramoli, w łóżku był ze mną noc całą? Przykrywka to pewnie, sam już nie wiem. Ale nie koniec, coś dalej się porusza w pościeli i słyszę, jak przeklina głosem straszonym i smród mnie dolatuje wcześniej, zanim wyłoni się morda Maniutka, a za nim Żyły, opuchnięta, sina. O żuchwa, o pochwa, mruży Żyła, gdzie jesteśmy, co się dzieje? Cicho, żuchwa, Maniutek wychyla się niebezpiecznie z pościeli.

Bronio zaspany tymczasem w nogach siada i jakoś niemrawo tak zaczyna śpiochy z oczu wybierać i coś tam sobie skubać pomiędzy palcami u nogi.

O nie, nie skub, proszę, tylko nie to. I rzeczywiście, ledwie skubać zaczął, zaraz fala się burzy i obok łóżka ogromny łeb się wynurza, furcząc i bąble dając nosem. Hipopotam! I ryczy, trąca paszczą, tak że łóżko chwieje się i buja i bach, wywraca się. Do wody wpada Żyła, wrzeszcząc, i z okrzykiem „żuchwa!” wpada Maniutek. Wpadam i ja, tonę. Brudnozielone męty.

I właśnie wtedy budzę się. Leżę na deskach, z łóżka upadłszy. Butelka toczy się z brzękiem po podłodze. Ale sucho wokół, sucha pościel, rozrzucone ubrania, światło krzywe na suficie błądzi od przelatującej gwiazdy.

Co to się śniło? Zegar chrobocze na ścianie riki-tiki-tak i pić się bardzo chce, i kwili radyjko, skrzypi, chrobocze gdzieś zza ściany pomału.

Co to za noc, kto ją tu postawił? Co tutaj zaszło wczoraj? Spojrzałem wkoło. Za oknem miasto jakby lekko drżało. Łóżko skrzypiało, kołysało się lekko, dokąd płyniemy dzisiaj, kapitanie? Noc była piękna, ciało z czarną kością. Lipiec, proszę państwa. Żadnego spania, tylko elektryczność, pastylka gorzka, przegryziona na pół na języku. I szklanki wody szuka ręka po omacku.

Podziękowanie

Autor pragnie podziękować Ministerstwu Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a także wszystkim innym instytucjom i osobom, które pomogły mu w czasie pisania tej książki.

